

POLEXIT
PiS nie wymknie
się po angielsku

SZWEDZKI ŁUP
Czy odzyskamy
skarby z Potopu

MERKEL
Ostatnia
taka kanclerz

EMIL NIE JEST INNY
Jak pokochałam
swoje dziecko

JÓZEF NYKA
Na wyżynach
górskiej opowieści

Kraków 19 września 2021 nr 38 (3767)

cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

WIARA WYCHODZI Z KOŚCIOŁA

**W NUMERZE
DODATEK
MUZEUM
PAMIĘCI SYBIRU**




centrum
archiwistyki
społecznej

IV KONGRES ARCHIWÓW SPOŁECZNYCH



Weź udział w IV Kongresie
Archiwów Społecznych

Zarejestruj się na platformie:

kongres.cas.org.pl

Partner



Muzeum
Józefa Piłsudskiego
w Sulejówku



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.

IV Kongres Archiwów Społecznych dofinansowano ze środków
Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu

KS. ADAM

Boniecki: Nasza polska sekularyzacja

KARDYNAŁ WYSZYŃSKI NIE ZOSTAWIŁ NASTĘPCOM programu duszpasterskiego. Pisał: „Przyjdą nowe czasy, wymagają nowych światła, nowych mocy. Bóg je da w swoim czasie”. I nowe czasy rzeczywiście przyszły.

W pogrzebie Prymasa, w 1981 r., uczestniczyło może nawet 500 tys. osób. Teraz Watykan wyznaczył datę beatyfikacji, która z racji pandemii wykluczyła udział tłumów. Obliczono, że przed Świątynią Opatrzności zgromadziło się ok. 5-6 tys. osób, wiele spoza Warszawy (kard. Nycz, gospodarz uroczystości, prosił zresztą, żeby ze względu na pandemię uczestniczyć w beatyfikacji zdalnie). Wewnątrz świątyni koncelebrowało ok. 650 księży i 130 biskupów. Dzięki chórowi i orkiestrze trzygodzinna liturgia olśniewała wspaniałością. I niewątpliwie, gdyby beatyfikacja się odbywała, jak pogrzeb, na placu Piłsudskiego (wtedy plac Wolności), uczestników byłoby znacznie więcej, ale czy aż tylu, że mogliby – jak wtedy – wypełnić całą ogromną przestrzeń placu?

Czy mówiąc o nadejściu nowych czasów Prymas przeczuwał nadejście epoki szybko postępującej sekularyzacji, o której daremnie marzyły władze PRL i przed którą on sam starał się Polskę chronić? Dziś sytuacja w Polsce zdaje się coraz bardziej przybliżać do klasycznych przejawów sekularyzacji, polegającej na oddzieleniu sfery świeckiej od religijnych instytucji i norm, na zaniku wierzeń i praktyk religijnych oraz na marginalizacji religii przez jej przesunięcie do sfery prywatnej. Pamiętamy wysiłki władz PRL, żeby to osiągnąć: usunięcie lekcji religii ze szkół, likwidację Caritasu, ograniczanie tras procesji Bożego Ciała, organizowanie konkurencyjnych z kościelnymi obchodów milenijnych, „aresztowanie” pielgrzymującego obrazu Matki Boskiej, szykanowanie duszpasterzy itp. Pamiętamy też, że skutek tych wysiłków był odwrotny. Prymas mistrzowsko mobilizował naród wokół Jasnej Góry, będącej sanktuarium religijnym i narodowym, gdzie niegdyś gromadzili się Polacy ze wszystkich zaborów.



Jego pozycja była tak mocna, że bezradne władze musiały go uwięzić, a kiedy był potrzebny – oswobodzić.

Po ustrojowej transformacji faktycznie nadeszły nowe czasy. Choć niektórzy biskupi widzieli w tym „demokratyczny totalitaryzm”, zaczęliśmy się upominać o wyznaniową neutralność państwa i prawa mniejszości – ateistów i niepraktykujących katolików. Społeczna akceptacja dla angażowania się Kościoła w sprawy państwa spadała

błyskawicznie. Według badań CBOS z 90 proc. w 1989 spadła do 38 proc. w 1993 r. Masowy katolicyzm i traktowanie go jako komponenty narodowej tożsamości odchodziły do historii (pisze o tym w książce „Spokojna rewolucja” kanadyjska socjolożka Geneviève Zubrzycki, porównując doświadczenia polskie z doświadczeniami Québecu; w tym numerze publikujemy rozmowę z nią Piotra Sikory).

Geneviève Zubrzycki analizuje laicyzację, badając znaczenia religii w ochronie tożsamości narodowej. To ważne, ale już dobre kilka lat temu kanadyjska teolożka z Uniwersytetu w Montrealu Solange Lefebvre zwróciła mi uwagę na jeszcze jeden element kanadyjskiego doświadczenia „spokojnej rewolucji”. Otóż religia katolicka odgrywała tam ważną rolę w sferze życia duchowego. Domeną Kościoła było kierownictwo duchowe: od spotkania wiernych z kapłanem w konfesjonale, po wtajemniczenie w różne szkoły duchowości. Tu także nastąpiła rewolucja. Misję pełnioną przez Kościół przejęli psychologowie. Już nie spowiednik, a psychoterapeuta stał się poszukiwanym powiernikiem i kierownikiem duchowym.

Sekularyzacja nie powinna chrześcijan przerażać, bo każdy czas jest dla chrześcijaństwa dobry. U progu tego nowego mamy dwoje patronów: skutecznego w wielkich narodowych działaniach Prymasa i (przypadkowo, bo połączenie beatyfikacji obojga początkowo nie było zamierzone) znaną nielicznym, niewidomą zakonnicę ze skromnym dziełem Lasek, służącym niewidzącym fizycznie i duchowo ludziom. ©

TYGODNIK
POWSZECHNY

Nagroda „Czuły sygnalista” dla Przemysława Wilczyńskiego

Nagrodę przyznaną przez Koalicję na rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej nasz autor otrzymał za zwiększanie „widoczności problematyki rodzicielstwa zastępczego i dzieci >>> trudnych miejsc<<<”. Tym samym Przemek, razem z Martą Wroniszewską, autorką książki „Tu jest teraz twój dom. Adopcja w Polsce”, oraz z Michałem

Janczurą z radia TOK FM, został uznany jednym z nieformalnych rzeczników praw dzieci, które najbardziej tego potrzebują.

Teksty autora przeczytacie Państwo na [TygodnikPowszechny.pl/wilczyński](https://tygodnikpowszechny.pl/wilczyński)
Serdecznie gratulujemy!



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. GRAZYNA MAKARA / „TP”

22 Trybunalska niszczarka się zatka

KLAUS BACHMANN

Na tzw. reformie wymiaru sprawiedliwości stracili wszyscy: sędziowie, którzy uwikłali się w bieżącą politykę, obywatele, którym utrudnia dostęp do sądów, a nawet rządzący, którzy chcieli się pozbyć instytucji ograniczających ich władzę.



26 Emil nie jest inny

ROZMOWA Z MAGDALENĄ MOSKAL:

Niektóre zdania były dla mnie, jak zatruta studnia. Na przykład „co za brzydkie dziecko”, usłyszane z ust lekarki.



42 Angela Merkel przechodzi do historii

ROZMOWA Z ROBINEM ALEXANDREM:

Ona nie pójdzie w ślady Schrödera. Jest odporna na korupcję. Teraz, po wyborach, wycofa się z polityki.

32 Wiara wychodzi z Kościoła

ROZMOWA Z GENEVIÈVE ZUBRZYCKI:

Polacy nowocześni i proeuropejscy będą uważali, że muszą odrzucić jednocześnie ideologię prawicową i Kościół.



72 Przeróżne echo trąby

MAREK BIŁCZYK

Każdy z nas nosi w sobie ostatniego człowieka. Usiądźcie na balkonie i wyobraźcie sobie, że na ulicy już nigdy nie zobaczycie nikogo.



84 Przewodnik

BARTEK DOBROCH

Czy całe współczesne mówienie o górach i wodzenie w nie było tylko powtarzaniem tego, co napisał Józef Nyka?

6 Jesień szykuje się gorąca
KAROLINA LEWICKA

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

22 Trybunalska niszcarka się zatka
KLAUS BACHMANN

26 Emil nie jest inny
ROZMOWA Z MAGDALENĄ MOSKAŁ

29 Muzyk to też trochę robotnik
BARTOSZ JÓZEPIAK:
Limboski, zamiast koncertować w Polsce, maluje ściany w Niemczech

■ ■ **WIARA**

32 Wiara wychodzi z Kościoła
ROZMOWA Z GENEVIÈVE ZUBRZYCKI

36 Cichy raban
MARIUSZ SEPIOŁO:
Jak w polskich parafiach dbają o ekologię

39 Na coś więc Prawo
PAWEŁ RAKOWSKI SJ:
Wypowiedź papieża na temat judaizmu może niepokoić

■ ■ **ŚWIAT**

42 Angela Merkel przechodzi do historii
ROZMOWA Z ROBINEM ALEXANDREM

47 Nic nam się nie należy
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA:
Jak odchodząca kanclerz widziała sprawy polskie

TEMAT TYGODNIKA



MARZENA HMIELEWICZ / ADVENTURE PICTURES

12 Z ziemi szwedzkiej do Polski

MAREK KĘSKRAWIEC

W XVII wieku zrujnowali Rzeczpospolitą. Nigdy wcześniej w Europie nie dokonano tak metodycznej grabieży. Czy możemy się domagać zadośćuczynienia?

18 Nie ma do czego wracać

ROZMOWA Z HUBERTEM KOWALSKIM,
ARCHEOLOGEM:

Nie mam nic przeciwko temu, by dzieła Kopernika zrabowane z Fromborka nadal leżały w bibliotece w Uppsali.

■ **DODATEK SPECJALNY** ■

59 Muzeum Pamięci Sybiru

■ **FELIETONY** ■

58 WOJCIECH BONOWICZ **70** HANNA KRALL

84 JAN KLATA **85** PAWEŁ BRAVO

90 JACEK PODSIADŁO **90** BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA:

BORYS FIODOROWICZ, „SORRY, POLSKO”, 2021

Redaktor prowadzący:
MICHAŁ OKOŃSKI

49 Prześlona katastrofa
TADEUSZ IWAŃSKI Z ZACHODNIEJ UKRAINY: 30 lat wolności i zapaść demograficzna

52 Zakładnicy Kremła
MONIKA ANDRUSZEWSKA
Z KIJOWA: Nasiliły się represje wobec Tatarów Krymskich

■ ■ **HISTORIA**

54 Że pani taka wolna
KAMIL DWORACZEK:
45 lat temu rozpoczął działalność KOR

■ ■ **NAUKA**

66 Stułbio, pobudka!
KASPER KALINOWSKI:
Zwierzęta bez mózgu także potrzebują snu

69 Przestań się wiercić!
KATARZYNA DZIADOWICZ:
Mizokinezyja: dlaczego drażnią nas czyjeś drobne ruchy

■ ■ **KULTURA**

72 Przeraziłwne echo trąby
MAREK BIEŃCZYK

76 Karuzela ze skandalami
PIOTR KOŚCIEWSKI:
„Sztuka polityczna”: kontrowersyjna wystawa w warszawskim CSW

80 W akwarium z rekinami
JAKUB MAJMUREK:
„The Morning Show”, moralne wzburzenie i interesy

82 Zawód: przestępca
ANITA PIOTROWSKA o filmie „Najmro. Kocha, lubi, szanuje”

84 Kronika strasznych lat
LEKTOR o „Zapiskach o Annie Achmatowej” Lidii Czukowskiej

■ ■ **ZMYŚŁY**

86 Przewodnik
BARTEK DOBROCH

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Rosyjska ruletka**

Już wkrótce poznamy nowy skład Dumy Państwowej. Na czele listy partii Jedna Rosja został postawiony przez Putina jego wierny pretorianin, minister obrony Siergiej Szojgu – o zadumany Tuwijczyku pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

➔ **Lato w nauce [Podkast Powszechny]**

Jak zmienia się klimat dzisiaj, a jak zmieniał się sześćdziesiąt pięć milionów lat temu? Jak zaufać sztucznej inteligencji i o której godzinie w nocy drzewa najszybciej rosną? – na pytania odpowiada **ŁUKASZ ŁAMŻA** powszech.net/podkast

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

[WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA](http://WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA_SWIATA)

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

JESIEŃ SZYKUJE SIĘ GORĄCA

Odpowiedź na protesty coraz to nowych grup zawodowych
będzie testem propagandy sukcesu,
w jaką władza zdaje się sama wierzyć.

KAROLINA LEWICKA

POLSKA JEST W KOMFORTOWEJ SYTUACJI fiskalnej”, donosił jeszcze w sierpniu jeden z komunikatów po posiedzeniu rządu. Nieustannie o dobrej sytuacji finansów publicznych prawi minister Tadeusz Kościński – kilka dni temu chwalił się i posiadaną, i spodziewaną nadwyżką budżetową. Jest tak dobrze, że premier wcale nie wygląda niecierpliwie miliardów z Brukseli, bo na razie na Polski Ład starcza mu z państwowej kasy. Wszak PiS zlikwidował lukę podatkową – przypomniał szef rządu, przy okazji snując opowieść o „budżecie Tuska, przez który pieniądze przeciekały jak przez durszlak”. Propaganda sukcesu jest wszechobecna, ale jej ofiarą wkrótce może paść sam PiS – w ulicz-

nej konfrontacji z kolejnymi żądającymi podwyżek grupami zawodowymi.

Dotąd PiS się protestującym nie kłaniał. Budzili oni dysonans poznawczy u władzy, która sama o sobie myśli jak najlepiej, stąd krytykę bierze za akt wrogi, a społeczne niezadowolenie za dywersję. Dlatego nauczycieli PiS przetrzymał, na rezydentów napuścił TVP, a z osobami z niepełnosprawnościami i ich opiekunami obszedł się w prawdziwie bezwzględny sposób, czego symbolem byli sejmowi strażnicy wykręcający ręce matkom chorych dzieci.

Dotychczasowy *modus operandi* może być jednak dla rządzących ryzykowny. Bo stracili dawny powab, bo nie są już hegemonem

„Czerwony marsz”,
protest pracowników
sądów i prokuratur.
Warszawa,
10 września 2021 r.

polskiej sceny politycznej. Może też nowe „białe miasteczko”, ukonstytuowane w ten weekend w Warszawie [zob. tekst poniżej – red.], przypomni Jarosławowi Kaczyńskiemu pierwszą taką inicjatywę, z 2007 r., która walczyła przyczyniła się do przegranych przezeń przyspieszonych wyborów parlamentarnych. Z drugiej strony, PiS potrafi zachować się irracjonalnie lub – jak kto woli – niekonwencjonalnie, stąd próby wzięcia protestujących pod but wykluczyć nie można. Tak czy owak, jesień szykuje się gorąca.

Jako pierwsi dali upust swej frustracji rolnicy, których blokady dróg zorganizowała Agrounia. Na razie PiS próbuje ich obłaskawić specjalnym programem dla wsi w ramach Polskiego Ładu, niewykluczona jest też rychła dymisja niepopularnego wśród rolników ministra Grzegorza Pudy. Tyle że lider Agrouni Michał Kołodziejczak akurat buduje swoją pozycję polityczną i raczej PiS-owi nie odpuszczy. Już zapowiedział „fajerwerkowe” wsparcie dla protestu medyków. Od początku wakacji strajkują ratownicy medyczni. Długo byli ignorowani, resort zdrowia położył pieniądze na stół dopiero wtedy, gdy karetka zabrakło w stolicy, a rannych z dróg zaczęli zbierać strażacy. Ratownicy na razie bacznie przyglądają się skromnym propozycjom ministerstwa. Podwyżek pensji o 12 proc. domagają się – dla siebie, ale i dla wszystkich pracowników budżetówki – pracownicy sądów i prokuratur. W piątek przemaszewali przez stolicę i ogłosili swój „stan wyjątkowy”. Za nami też największy od lat protest środowisk medycznych, które połączyły siły.

Te wydarzenia to także pokłosie społecznej zmiany z ostatnich kilkunastu miesięcy. Jak wynika z analizy Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych zaprezentowanej podczas Forum Ekonomicznego w Karpaczu, PiS, przyczyniając się do poprawy kondycji materialnej sporej grupy Polaków, uruchomił przy okazji ich aspiracje: chcą więcej. Z drugiej strony pandemia spowolniła lub zahamowała nasze bogacenie się, stąd teraz silna potrzeba, by się odbić i tym samym odzyskać też utracone poczucie bezpieczeństwa. To ma być kluczowa emocja, a kto nią trafnie zarządzi, może wygrać następne wybory. ©

Autorka jest dziennikarką radia Tok FM

Polexit: niepotrzebny lęk

PAWEŁ BRAVO



MUSIMY SZUKAĆ ROZWIĄZAŃ DRASTYCZNYCH – orzekł w kwestii obecności Polski w Unii Europejskiej wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki. Dalszy wywód („Brytyjczycy pokazali, że dyktatura brukselskiej biurokracji im nie odpowiada”) pokazuje trop: skoro Partia, działająca w zastępstwie całej Polski, nie będzie się w stanie dogadać np. w sprawie cofnięcia zmian w sądownictwie, to spróbuje zagrozić Brukseli referendum na wzór brexitowego. Zaraz potem Terlecki gasił oburzenie, twierdząc, że rzekomo rozważany przezeń polexit to tylko „szopka”, wymyślona przez wrogie media, a tak w ogóle to trwa walka o wierność zasadom UE.

Skala reakcji była zrozumiała. Terlecki w przeciwieństwie do często wygłaszających antyunijne tyrady harcowników PiS bywa uważany za „usta prezesa”, czyli kogoś, kto rzuci – czasem na próbę – myśli, których nie może formułować sam Kaczyński. Po co zatem taka prowokacja? Czy to tylko wzmac-

nianie pozycji w trwających za kulisami przeprychankach o to, co teraz Bruksela zechce uznać za wystarczające ustępstwa w sprawie ustroju sądów i w zamian cofnie wnioszek o kary finansowe oraz zatwierdzi do wypłaty pierwszą transzę Krajowego Planu Odbudowy? A może retoryczna osłona niechybnych ustępstw, jakie wkrótce obóz władzy poczyni, nie mogą odpuścić „należnych” nam pieniędzy. Po drugiej stronie szefowa Komisji Europejskiej, szykując się do corocznego orędzia o stanie Unii, musi również okazać twardość (spodziewając się ataków ze strony europolsów, których radykalizm jest odwrotnie proporcjonalny do realnej władzy).

W najbliższych tygodniach obie strony najpewniej zawrą kolejny zgniły kompromis. W bilansie scysji zostanie niepotrzebny lęk prounijnych Polaków. Co gorsza, PiS po raz kolejny dezawuuje niebłahy spór o zakres kompetencji Brukseli, wikłając go w obronę swoich ustrojowych nadużyć. ©P

Medycy do władz: Szanujcie nas!

NA POCZĄTKU PANDEMII Ministerstwo Zdrowia miało dla medyków oklaski, pół roku później zaczęło wypłacać dodatki za walkę z COVID-19. Niesprawiedliwie, ale zawsze. Minął rok i wszystko, na co mogą liczyć pracownicy ochrony zdrowia, to kordon policji i barierki odgradzające manifestujących 11 września od przedstawicieli władzy.

30 tys., a może nawet 40 tys. – tylu medyków: pielęgniarek i położnych, diagnostów laboratoryjnych, ratowników medycznych, fizjoterapeutów, lekarzy i lekarzy dentyków, techników radioterapii, ale i przedstawicieli personelu niemedycznego, przeszło przez centrum Warszawy. Minęło już półtorej godziny od momentu, gdy czoło pochodu ruszyło, a z placu Krasińskich wychodziły kolejne grupy. Tak dużej demonstracji medyków nie było od wielu lat. Tak zdeterminowanych protestujących również.

Walczą o wyższe wynagrodzenia? Tak, ale nie tylko i nie przede wszystkim. Gdy spojrzeć na postulaty, od lat są niezmiennie: medycy chcą systemu, który dostrzeże człowieka. W pracowniku: by warunki wy-

konywania zawodu nie urągaly godności. By system nie zmuszał do pracy w wymiarze 300–400 godzin miesięcznie. I – przede wszystkim – w pacjencie. Bo o jakiej godności, o jakim bezpieczeństwie pacjenta, o jakiej jakości świadczeń można mówić, gdy jedna pielęgniarka opiekuje się na dyżurze trzydziestoma chorymi? „Szanujcie nas!” – pod takim hasłem, wypisanym flamastrem na szarej tekturze, trudno się nie podpisać.

Minister zdrowia powtarza, że koncentruje się na pacjentach. Trudno oprzeć się wrażeniu, że już wkrótce fala pandemii zweryfikuje dobre intencje Adama Niedzielskiego. Polityka rozlicza się nie z zamiarów, ale ze skutków. Ocena tych ostatnich jest zaś dla ministra, przynajmniej na razie, bezlitosna: Polska w 2020 r. i w pierwszych miesiącach 2021 r. ma jeden z najwyższych w Europie i wśród krajów wysokorozwiniętych wskaźników zgonów możliwych do uniknięcia – to nie tylko zgony covidowe, ale powiązane z pandemią, a raczej z tym, w jakim stopniu i na jak długo sparaliżowała ona niemal cały system opieki zdrowotnej.

Minister wchodzi w konfrontację ze środowiskami medycznymi w momencie, gdy Polska już od tygodnia notuje kilkudziesięcioprocentowe wzrosty zakażeń.

© MAŁGORZATA SOLECKA

Prąd od miliarderów na pewno nie będzie tańszy

„**PRZED WSZYSTKIM** chcemy (...) czystego powietrza dla mieszkańców Polski. Wiem, że to może zabrzmieć jak banał, ale chodzi o przyszłe pokolenia i jakość ich życia” – zapewniał niedawno Zygmunt Solorz na łamach dziennika „Parkiet”. Właściciel Polsatu oraz grupy energetycznej PAK zawarł sojusz z głównym akcjonariuszem spółki Synthos Michałem Sołowowem; wspólnie planują budowę sześciu małych bloków jądrowych w należącej do Solorza elektrowni węglowej w Pątnowie.

Nie jest dziełem przypadku, że Solorz nie wspomina o tej inwestycji w kontekście cen prądu, które biją właśnie w Europie rekordy za sprawą niewielkiej produkcji źródeł odnawialnych oraz drożących certyfikatów emisji dwutlenku węgla. Właściciel PAK i jego sojusznik zdają sobie bowiem sprawę, że do 2030 r. Polska wyłączy przestarzałe elektrownie węglowe o łącznej mocy 7,2 gigawatów – i że do tej pory na pewno nie powstanie duża siłownia atomowa, o której jedynie mówią kolejne rządy. Produkcja prądu ze źródeł odnawialnych nie rośnie w tempie, które pozwoliłoby założyć, że do tego czasu zielona energia pokryje ubytki wyłączonych mocy węglowych. Dla skazanych na kaprysy przyrody OZE dobrym uzupełnieniem jest oczywiście atom, ale włączenie prywatnych elektrowni jądrowych do krajowego systemu energetycznego oznacza konieczność zawarcia z inwestorami wieloletnich umów, w których Polska zagwarantuje im stałą cenę zakupu prądu. Mając zaś przy skroni pistolet w postaci widma blackoutów, rządzący raczej nie będą twardo negocjować.

Nic więc dziwnego, że oprócz Solorza i Sołowowa do nuklearnej stawki dołączyć chce Sebastian Kulczyk. Lata zaniedbań inwestycyjnych skazują Polskę na cenowy dyktat prywatnych inwestorów. Modułowy atom marzy się też Orlenowi i KGHM, możliwe więc, że już w perspektywie końca dekady polski rynek energetyczny faktycznie wyrwie się spod węglowego dyktatu. Ale o takim przykładzie – a taki zapewniłaby tylko duża siłownia jądrowa, z dawno już pokrytymi kosztami budowy – możemy zapomnieć.

© P MAREK RABIJ

KRAJ W SKRÓCIE

BRAK SŁÓW

Podczas ostatniej wizyty w Warszawie odchodząca kanclerz Niemiec Angela Merkel nie spotkała się (choć strona niemiecka wyrażała chęć rozmowy) z prezydentem Andrzejem Dudą. „Wyrządzenie jej despektów przy okazji pożegnalnej wizyty to nieznajomość geopolitycznego alfabetu”, skomentował b. wicepremier Jarosław Gowin.

POTOK SŁÓW

Miejmy nadzieję, że nie chodziło o skojarzenia historyczne, którym dał wyraz poseł Marek Suski podczas uroczystości 76. rocznicy uwolnienia żołnierzy AK z radomskiego więzienia UB. „Polska walczyła w czasie II wojny światowej z jednym okupantem, walczyła z okupantem sowieckim, będziemy walczyć z okupantem brukselskim”, stwierdził polityk PiS.

SŁOWA SKRZYDLATE

Czasami lepiej nie mówić. „Pani mnie pyta o ceny w sklepie, ceny rosnące, natomiast po drugiej stronie są rolnicy. Oni cieszą się z tego, że z wyjątkiem cen na trzodę chlewną rosną ceny pszenicy, rzepaku, nawet mleka. W związku z tym jest to »miecz obosieczny«”. To zaledwie niewielki fragment półtoraminutowej odpowiedzi premiera Morawieckiego na pytanie dziennikarki „Faktu”, kiedy był ostatnio w sklepie spożywczym i czy wie, ile kosztuje bochenek chleba.

RDC KASPER KALINOWSKI
POLSKIE RADIO opowie
Grzegorzowi Chłacie o zagadce ewolucji snu (tekst na s. 66).
Słuchaj na Mazowszu w środę 15 września o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC.
Warszawa 101 FM | Ostrow Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl

DR ANNA BARAN, PSYCHIATRA I SUICYDOLOG

Plan bezpieczeństwa

KRZYSZTOF STORY: W 2020 r. w Polsce życie odebrało sobie 5165 osób. To więcej, niż zginęło w wypadkach drogowych. Co zrobić, by zmniejszyć tę liczbę?



ARCHIWUM PRYWATNE

ANNA BARAN: Najpilniejsze to przeznaczyć odpowiednie środki na naukę umiejętności radzenia sobie z trudnymi sytuacjami życiowymi i kryzysami. To wsparcie powinno dotyczyć szkoły, rodziny, zakładów pracy, jednostek pomocy społecznej i zdrowotnej. Takich umiejętności uczy np. bezpłatna aplikacja „12 stopni planu bezpieczeństwa”, którą teraz opracowujemy. Gdyby każda osoba powyżej 14. roku życia miała te umiejętności, udałoby się zmienić tę statystykę.

Od kilkunastu lat liczba samobójstw powoli, ale systematycznie spada.

W Polsce jest ona na poziomie średniej w UE, wspólny jest też spadkowy trend. Nie widać także, by pandemia miała to znacząco zmienić. Martwi wzrost samobójstw u osób młodych. Ważne jest nauczanie ich, jak konstruktywnie i „ekologicznie” radzić sobie z problemami. „Ekologicznie”, czyli bez „zaśmieciania” mózgu np. alkoholem czy narkotykami. Zachowania samobójcze są związane z przemijającymi zmianami w mózgu, wymagającymi odpowiednio wcześniej prowadzonych treningów, np. radzenia sobie z emocjami. Leki i tradycyjne formy psychoterapii nie wystarczają.

Po latach starań w Narodowym Programie Zdrowia znalazł się Program Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym. Jak Pani ocenia planowane działania?

Pozytywnie, to potrzebna zmiana. Program zawiera zadania, które rekomenduje też WHO, a badania potwierdzają ich skuteczność. Ten program zawiera współpracę z mediami, edukację, monitoring i badania zachowań samobójczych oraz działań profilaktycznych.

A co może zrobić zwykły człowiek?

Ktoś, kto udzieli pierwszej pomocy osobie w kryzysie, może uratować jej życie. Chodzi o pomoc emocjonalną: zauważenie takiej osoby, wysłuchanie bez osądzania, poświęcenie jej czasu i uwagi. Uratowanie komuś życia to jedno z najpiękniejszych przeżyć, które jest nam dane doświadczyć.

TELEFON POMOCOWY dla dorosłych: 116 123, dla dzieci, młodzieży, rodziców i pedagogów: 800 800 605. Informacje: www.pokonackryzys.pl oraz <https://zwjr.pl>



WOJNA BEZ KOŃCA. W Syrii nie było i nie będzie Dnia Zwycięstwa – choć główne ofensywy ustały wiele miesięcy temu i kraj szedł z czołówek gazet, konflikt tli się nadal. Ledwie kilka dni temu ugodą negocjowaną przez wciąż obecnych w Syrii Rosjan zakończyło się oblężenie Dary niedaleko granicy z Jordanią. Miasto – w 2011 r. arena protestów, które rozpoczęły powstanie przeciw władzy Baszara al-Asada – kontroluje już armia rządowa. Z kolei w północno-zachodniej prowincji Idlib, której duża część pozostaje w rękach opozycji, trwają ciężkie walki. Na zdjęciu: ojciec z córką w ramionach ucieka podczas bombardowania prowizorycznego obozowiska dla uchodźców wewnętrznych niedaleko wsi Kafraja w prowincji Idlib, 7 września 2021 r. © © ŻYM

Bezprawie w wydaniu Łukaszenki



WOJCIECH KONOŃCZUK

SPĘDZILI ROK W ARESZCIE, TERAZ ZAPADŁ wyrok – 6 września sąd w Mińsku skazał Maryję Kalesnikawą i Maksima Znaka, dwoje liderów białoruskiej opozycji, na kary długoletniego więzienia, odpowiednio: na 11 i 10 lat. Zarzucano im m.in. stworzenie ekstremistycznej grupy i dążenie do zagarnięcia władzy.

To kolejny z długiej już listy wyroków wobec przywódców i uczestników antyreżimowych protestów – liczba więźniów politycznych sięga niemal 700. Ponad rok od sfałszowanych wyborów niemal wszyscy liderzy opozycji są na emigracji lub w więzieniach. Ponadto w ciągu minionego roku przez areszty przewinęło się (to znaczy: spędziło w nich kilka-kilkanaście dni, często otrzymując też drakońskie grzywny) ok. 35 tys. osób. Młyny wymiaru (nie)sprawiedliwości miały konsekwentnie i kolej przyszła już na tych, którzy ośmielili się np. pisać negatywne komentarze na temat milicji w sieciach społecznościowych. Wielu ukarano za to „przewinienie” nawet wyrokami do 2 lat więzienia. Nigdzie w Europie nie dochodzi dziś do łama-

nia praw człowieka na tak masową skalę, jak na Białorusi.

W efekcie reżimowi udało się zastraszyć społeczeństwo. Masowe represje są zresztą jedynym sposobem na utrzymanie władzy przez Alaksandra Łukaszenkę, który definitywnie stracił popularność, a pogarszająca się sytuacja gospodarcza tylko ten trend pogłębi. Lojalność ze strony struktur siłowych, odpowiedzialnych za państwowy terror, w połączeniu ze wsparciem Kremla – to przyczyny, dla których ten reżim utrzymuje się u władzy.

Nakłada się na to masowa migracja, którą władze w gruncie rzeczy wspierają, uznając, że wyjazd najbardziej aktywnych obywateli sprawi, iż problem sam się rozwiąże. Skale migracji politycznej można oszacować na kilkadziesiąt tysięcy osób. Od sierpnia 2020 r. tylko Polska wydała Białorusinom 12 tys. wiz humanitarnych i 150 tys. „zwykłych”, a Litwa odpowiednio 1 tys. humanitarnych i 20 tys. „zwykłych”. Jak długo ci emigranci zostaną za granicą, jest sprawą otwartą. Perspektywy sytuacji na Białorusi rysują się jednak w ciemnych kolorach. ©

Talibowie tłumią protesty kobiet

NA ULICE AFGAŃSKICH MIAST wychodzą ich mieszkańcy, domagający się poszanowania praw kobiet i swobód obywatelskich. Nowe władze zakazały zgromadzeń, które wcześniej nie zostaną zarejestrowane. Ci, którzy się nie podporządkowują, spotykają się z przemocą.

Od 15 sierpnia, gdy talibowie przejęli władzę w kraju, stopniowo narastały demonstracje. Początkowo kobiety gromadziły się w niedużych grupach. Z czasem były to już tłumy. W protestach brał udział zwłaszcza młodzi ludzie, w znacznym stopniu kobiety, którzy dorośli po amerykańskiej inwazji w 2001 r. Na miejsce protestów szybko przyjeżdżali talibowie uzbrojeni w pałki, bicze i broń palną, a następnie rozpędzali zgromadzonych. Według danych ONZ, od 15 sierpnia podczas demonstracji zginęły przynajmniej cztery osoby.

Także dziennikarze przychodzący relacjonować te wydarzenia spotykali się z przemocą. Podobnie jak demonstranci byli bici, a czasami też zatrzymywani. Gdy dwóch pracowników gazety „Etilaatroz”, Taki Dariabi i Nematullah Nakdi, po kilku godzinach wyszło na wolność, ledwie chodzili. W areszcie byli bici kablami, deptano im głowy i kopano. Z bólu kilkakrotnie tracili przytomność.

Talibskie władze zabroniły dziennikarzom relacjonowania protestów. Wyjaśniają, że te ograniczenia wiążą się jedynie z bezpieczeństwem samych reporterów, gdyż podczas niezapowiedzianych zgromadzeń może wydarzyć się wszystko.

Ostatnie zgromadzenie, na którym kobiety były niepokojone, to więc poparcie dla nowych władz. Na jednym z kabulskich uniwersytetów wystąpiło ok. 300 kobiet – niemal wszystkie ubrane w czarne nikaby zakrywające całe ciało, reszta miała niebieskie burki. Machały białymi flagami talibów, gdy przemawiający deklarowali swoje poparcie dla prawa szariat. W rozmowach z dziennikarzami kobiety utożsamiały się z linią nowych władz.

© PAWEŁ PIENIAŻEK z Kabulu

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

JEDNOŚĆ

Franciszek pojechał do Węgier i Słowacji. „Nie bójcie się dawać miejsca Słowu Bożemu i angażować świeckich: oni będą kanałami, przez które rzeka wiary ponownie nawodni Węgry”, mówił w Budapeszcie do biskupów węgierskich. „Wasze góry łączą w jeden tańców różnorodne szczyty i krajobrazy, przekraczają granice kraju, by łączyć w pięknie różne narody. Pielęgnujcie to piękno, piękno bycia razem” – zachęcił Słowaków (na zdjęciu papież z premierem Węgier Orbánem).



VATICAN MEDIA

SOLIDARNOŚĆ

„Jutro może być gorzej. Od naszych obecnych wyborów zależy przyszłość naszych dzieci i los naszego wspólnego domu. Wzywamy wszystkich, niezależnie od ich przekonań i światopoglądu, aby słuchali wołania Ziemi i ludzi ubogich, zwracali uwagę na swoje postępowanie i nie uciekali przed poświęceniami dla dobra planety, którą dał nam Bóg” – napisali we wspólnym oświadczeniu papież Franciszek, patriarcha Konstantynopola Bartłomiej I i arcybiskup Canterbury Justin Welby.

SPRAWIEDLIWOŚĆ

Sekretarzem Kongregacji ds. Duchowieństwa został chilijski ksiądz Andrés Gabriel Ferrada Moreira. Był on ofiarą wpływowego w chilijskim Kościele seryjnego pedofila ks. Fernanda Karadimy, a następnie jednym z głównych świadków w jego procesie.

Kobiety mówią, Watykan nie słucha

ZUZANNA RADZIK



KOLEJNY SYNOD BISKUPÓW PRZEDYSKUTUJE Ekskcytujący temat synodalności Kościoła, czyli tego, jak go decentralizować i włączyć wszystkich ochrzczonych w odpowiedzialność za wspólnotę. Wygląda jednak na to, że znów w decydowaniu o kształcie końcowego dokumentu nie wezmą udziału kobiety. O tym, czy kobiety – i tak w tym gronie nieliczne i reprezentujące zakony – będą mogły głosować, Watykan milczy. Nie jest nawet jasne, czy prawo głosu będzie miała s. Nathalie Becquart, choć jako pierwsza kobieta została podsekretarzem biura synodu, a jej poprzednicy mieli takie prawo.

Organizatorzy zdają się jak zwykle nie dostrzegać braku kobiet na tym zgromadzeniu. Było to widać na konferencji prasowej przedstawiającej dokument przygotowawczy synodu. Pierwsze pytania dziennikarzy dotyczyły właśnie kwestii kobiet: „W dokumencie przygotowawczym jest wzmianka, że należy wzmocnić rolę kobiet. Jakie macie oczekiwania?”.

Panelistki odpowiedziały, że „kobiety też są częścią ludu Bożego, więc i dla nich jest otwarty ten proces”. A także: „Kobiety muszą zacząć mówić, muszą zgłaszać się ze swoimi troskami i pomysłami”. Zacząć mówić? Kobiety mówią i piszą od dawna, a Watykan zachowuje się, jakby nic się nie działo. Nie, to nie kobiety muszą zacząć mówić, ale Kościół instytucjonalny i jego przywódcy muszą zacząć słuchać. Dziennikarze pytali też o kampanie domagające się praw kobiet do głosowania na synodzie. Kard. Mario Grech, sekretarz generalny Synodu, odpowiedział, że synod to nie tylko zebranie w Rzymie, ale zaczyna się on w diecezjach, gdzie kobiety mogą jak najbardziej brać w nim udział.

W 2018 r., demonstrując w Rzymie w sprawie głosu kobiet, skandowałyśmy do wchodzących na synod purpuratów: „Puk puk! Kto tam? Więcej niż połowa Kościoła!”. Czas znów szykować transparen-ty? ©

O synodzie pisze również Piotr Sikora na: powszech.net/synod

Prymas Wyszyński i Matka Czacka wyniesieni na ołtarze

BYŁEM PRZED DZIESIĄTĄ. Przed frontem Świątyni Opatrzności Bożej ustawiono telebim i kilka tysięcy krzeseł. Potem mówiono, że zgromadziło się tam około 6 tys. osób. Dla koncelebransów przygotowano 650 krzeseł. O godzinie 12 do świątyni wkroczył pochód towarzyszący delegatowi papieskiemu kard. Marcello Semerarze, prefektowi Kongregacji Spraw Kanonicznych. 130 biskupów zajęło miejsca.

Przebieg beatyfikacji nie różnił się od innych: prezentacja kandydatów na ołtarze, potem odczytanie Listu Apostolskiego papieża o wpisaniu w poczet błogosławionych kard. Wyszyńskiego i Matki Czackiej. Ukazano wizerunki obojga i wniesiono relikwie. W przypadku Wyszyńskiego jako relikwie potraktowano rękopis aktu osobistego oddania się Matce Bożej napisany podczas uwięzienia w Stoczku Warmińskim. Drugi relikwiarz zawierał fragment kości Matki Czackiej, a przedstawiał wyrzeźbione w drewnie dłonie Błogosławionej, czytające fragment Psalmu 126 napisanego alfabetem Braille’a.

W tych obchodach refleksory były skierowane przede wszystkim na postać błogosławionego Prymasa. Wielkiego człowieka, który tworzył naszą historię. Prymas budzi podziw. Błogosławiona matka Elżbieta Czacka porusza serca. © P. KS. ADAM BONIECKI

Pełną relację czytaj na: powszech.net/beatyfikacja

Ewangelia w mieście

WSPÓŁCZESNE miasta są znacznie bardziej zsekularyzowane niż wieś. Wierzący doświadczać więc pokusy, by z miasta uciec „i zamknąć się w małym wiejskim kościełku” – obrazowo mówił kard. Luis M. Sista podczas Kongresu Nowej Ewangelizacji, który odbywał się w Łodzi (9-11 września) i poświęcony był właśnie ewangelizacji miasta.

Gospodarz wydarzenia abp Grzegorz Ryś zauważył, że taka ucieczka jest przeciwieństwem doświadczenia pierwotnego chrześcijaństwa, które rozwijało się przede wszystkim w miastach.

Przez trzy dni kilkaset osób brało udział w rekolekcjach, wykładach, warsztatach – zastanawiając się nad możliwością rozwoju chrześcijaństwa we współczesnej przestrzeni miejskiej.

Wśród prowadzących i wykładawców znaleźli się m.in. świeccy profesorowie Kaja Kazimierska i Władysław Stróżewski oraz księża Tomasz Halík i Grzegorz Strzelczyk. Rekolekcje prowadziły Siostry i Bracia ze Wspólnot Jerozolimskich. Wielu uczestników podkreślało, że był to czas uczenia się, jak być Kościołem otwartym, dialogicznym i obecnym na peryferiach. © P. PS



MICHAŁ DYAKOWSKI

Lem jak istnienie

BYŁ WIELKIM PISARZEM, myślicielem, prorokiem. Dla mnie kimś bardzo bliskim nie tylko jako autor – czytałem go od wczesnej młodości – ale też jako człowiek. Dzisiaj widzę to wyraźnie – dziesięć lat wizyt w jego domu na krakowskich Klinach, nagrywania felietonów dla „Tygodnika” i rozmów, które złożyły się na książkę „Świat na krawędzi”, to największa przygoda mojego życia.

Bo czy nie jest przygodą obcowanie z kimś, kto nie tylko przejmując się sprawami tego świata, ale i ogarniając je na wielu poziomach równocześnie, a z chaosu informacyjnego buduje precyzyjne obrazy i mroczne na ogół wizje? Kto pochłania periodyki naukowe w kilku językach, śledząc postępy biologii molekularnej, inżynierii genetycznej, fizyki cząstek i astrofizyki – a równocześnie dba o regularne wysypywanie ziarna na balkonie, na który hurmą zlatują się wróble i inne ptaki? „Wie pan, czasem się martwię, że one któregoś dnia zjedzą za dużo i już nie odlecą”... A furia, jaką wzbudzała w nim polska polityka? Nieprawdopodobnie monolog, snute zwłaszcza wtedy, gdy coś go bardzo ziryutowało. Kunsztownie zbudowane, mordercze inwektywy, słowotwórczy gejzer, improwizacje każące pamiętać o prozie „Cyberiady”... Bywało strasznie, a zarazem niebywale śmiesznie, jak to z istnieniem, w którym tragedia często podszyta jest groteską.

Jego książki wciąż są czytane i odkrywa się w nich tropy prowadzące ku tematowi, które w rozmowach stanowiły tabu. Nie chciał rozmawiać o wojennej traumie, ale najbardziej przerażającą chwilę ze swojego życia opisał w jednej ze scen „Głosu Pana”. Jego prośbą się sprawdzają. Stanisław Lem obchodzi właśnie setne urodziny i żyje – tylko dlaczego nie mogę się z nim, jak dawniej, umówić „we czwartek o czwartek”?

© P. TOMASZ FIAŁKOWSKI

KULTURA W SKRÓCIE

ZŁOTE LWICE

Z festiwalu w Wenecji ze Złotym Lwem wyjechała Audrey Diwan, nagrodzona za film „Zdarzenie”. Srebrnego Lwa za reżyserię otrzymała Jane Campion („Pse pazury”), a za scenariusz Maggie Gyllenhaal („The Lost Daughter”). Paolo Sorrentino dostał Wielką Nagrodę Jury za autobiograficzny film „To była ręka Boga”, który, podobnie jak film Campion, w grudniu zobaczymy na Netflixie.

UCHO BISKUPA?

Za miesiąc na YouTube zadebiutuje serial komediowy „Ekler”. „Nie śmiejemy się z wiary czy religii. Śmiejemy się z rozpasanych biskupów. Inspiracją byli dla nas prawdziwi hierarchowie” – mówi biorący udział w produkcji Krzysztof Skiba. Serial ma też pokazywać bliskie związki hierarchów z politykami.

FROSTPUNK FT. DUKAJ

11 bit studios – polskie studio stojące m.in. za światowym sukcesem gry „This War of Mine” – ogłosiło współpracę z Jackiem Dukajem przy antologii opowiadań osadzonych w skutym lodem uniwersum gry „Frostpunk”. Pisarz będzie opiekunem artystycznym zbioru.

POŻEGNANIA

Aktorzy Wiesław Gołas i Jean-Paul Belmondo, lektor Tomasz Knapik – towarzyszyli pokoleniom miłośników kina. Belmondo i Knapik zmarli 6 września, pierwszy w wieku 88 lat, drugi młodszy o dekadę. Gołas odszedł 9 września w wieku 91 lat.



TADEUSZ IWAŃSKI

opowie o 30-leciu Ukrainy (tekst na s. 49) Pawłowi Sulikowi w „Popołudniu Radia TOK FM” w środę 15 września o godz. 15.40. 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl

Ile waży korupcja

ŁUKASZ LAMŻA



NAJPIERW ROZŚMIESZAJĄ, A POTEM ZASTANAWIAJĄ – właśnie takie badania naukowe wyszukują organizatorzy Nagród IgNobla, których 31. już ceremonia wręczenia, w formie online, odbyła się 9 września. Tradycyjnie brali w niej udział prawdziwi nobliści, w tym roku dziewięcioro. Impreza należy do najważniejszych wydarzeń w kalendarzu światowej nauki.

Nagrodzone badania zajmują różne miejsca na spektrum śmiech-namysł. Pokojową Nagrodę IgNobla wręczono za badania nad hipotezą, że u samców naszego gatunku owłosienie brody wyewoluowało po to, aby chronić przed ciosami w podbródek.

Laureaci pojawili się na ceremonii w sztucznych brodach. Komitet IgNoblowski nagrodził też – w kategorii „entomologia” – badania nad metodami tępienia karaluchów na łodziach podwodnych. Był to artykuł najzupełniej poważny i praktyczny, a motywacją do wyróżnienia go było najwyraźniej wyłącznie to, że „robaki są śmieszne”. W poprzednich latach z podobnych powodów nagradzano badania nad seksem, genitaliami, wydaliniami czy „rzeczami, które śmierdzą”.

W cenie jest też pomysłowość. Tegoroczną nagrodę z chemii przyznano za zbadanie, czy ciała siedzących w sali kinowej widzów emitują inny zapach w zależności od charakteru oglądanego filmu. Okazało się, że stężenie jednego ze związków – izoprenu – pozwala przewidzieć, czy film jest adresowany do dzieci, czy nie. Autorzy – rozpaczliwie próbując odnaleźć jakieś praktyczne zastosowanie dla swojego odkrycia – zaproponowali system automatycznego oceniania kategorii wiekowej filmów przy pomocy czujnika izoprenu na pokazach próbnych.

Z kolei Pavlo Blavatsky, laureat ekonomicznego IgNobla, wykazał, że w krajach o wyższym poziomie korupcji politycy mają większą nadwagę. Posłużył się algorytmem, który wyznaczył wskaźnik masy ciała BMI na podstawie 299 zdjęć ministrów z 15 krajów byłego Związku Radzieckiego. Jego wnioski są jednak niebezpieczne: być może dałoby się, przy braku innych danych, zastosować korelację korupcja-otyłość również na poziomie polityki lokalnej?

© P.

Z ZIEMI SZWEDZKIEJ DO POLSKI

W XVII w. zrujnowali Rzeczpospolitą.
Czy możemy się od nich domagać zadośćuczynienia?
Wszak nigdy wcześniej w Europie nie dokonano
tak metodycznej i dokładnej grabieży mienia.

MAREK KĘSKRAWIEC

8 WRZEŚNIA 1655 R. WOJSKA SZWEDZKIE wkroczyły do Warszawy. Był to początek katastrofy cywilizacyjnej, którą historycy porównują jedynie ze skutkami II wojny światowej. Przez Polskę przetoczyły się wojna, głód, epidemia dżumy, zostaliśmy też pozbawieni dzieł sztuki i najważniejszych księgozbiorów. Czy dziś, kiedy dawne potęgi kolonialne dyskutują o konieczności oddania zrabowanych podbitym narodom artefaktów, my również powinniśmy żądać zwrotu łupów wywiezionych do Szwecji?

W lipcu rząd Belgii obwieścił, że odda władzom Demokratycznej Republiki Konga 2 tys. zabytkowych przedmiotów wywiezionych, gdy funkcjonowała tam okrutna, prywatna kolonia króla Leopolda II. Na razie będzie to zadośćuczynienie formalne, ponieważ tysiące instrumentów i dzieł sztuki kongijskiej zmieni właściciela tylko w sensie prawnym. Faktycznie zostaną zwrócone dopiero, gdy w Kinszasie powstanie muzeum mogące zapewnić odpowiednie standardy przechowywania zabytków.

Dyskusje na ten sam temat toczą się w Wielkiej Brytanii, Niemczech,

Niderlandach, a zwłaszcza we Francji. Na zlecenie prezydenta Emmanuela Macrona już w 2018 r. powstał raport będący pokłosiem jego wizyty w Burkina Faso, gdzie obiecywał, że w ciągu kilku lat powstaną warunki dla zwrotu afrykańskiej spuścizny. W efekcie do Beninu i Senegalu trafiło już 27 wywiezionych dzieł, a w kolejce do rozpatrzenia są wnioski z Mali, Wybrzeża Kości Słoniowej, Czadu i Etiopii.

Zapóźnione, łupieżcze imperium

Problem, z którym mierzą się dziś dawne mocarstwa kolonialne, ma wymiar bardziej moralny niż prawny. Jak podkreśla dr Paweł Pietrzyk, dyrektor Archiwów Państwowych, dopiero od powstania konwencji haskiej z 1907 r. możemy mówić o ochronie dóbr kultury, dzieł sztuki, pomników i obiektów religijnych przed bombardowaniem, celowym niszczeniem, profanacją i rabunkiem. W praktyce bywa różnie, o czym przypomina historia II wojny światowej. Niemniej poszkodowane państwa mają już narzędzie pozwalające starać się o restytucję dóbr zawłaszczonych w XX w.

Kłopot w tym, że zasad konwencji nie da się bezpośrednio przenieść na rzeczywistość z dawniejszych czasów, kiedy zupełnie inaczej rozumiano prawa zwycięzcy w konflikcie zbrojnym. Dla Polski ma to istotne znaczenie, gdyż coraz częściej w przestrzeni publicznej pojawiają się żądania zadośćuczynienia ze strony Szwedów, odpowiedzialnych za ruinę Rzeczpospolitej w XVII w. Ostatnio przypominała o tym we wpisie na portalu społecznościowym Krystyna Pawłowicz, domagając się przy okazji meczu reprezentacji obu krajów podczas mistrzostw Europy, by Sztokholm zwrócił nam „zrabowany i wywożony flotyllami w czasie





MARZENA HMIELEWICZ / ADVENTURE PICTURES

Wydobyty z Wisły w 2012 r. fragment manierystycznej fontanny z Pałacu Kazimierzowskiego. Szwedzi usiłowali ją wywieźć z Warszawy podczas potopu.

potopu ogrom naszego narodowego dziedzictwa”.

Szwecja uważana jest dziś za symbol poprawności politycznej i spokojnej polityki międzynarodowej. 400 lat temu było to jednak zupełnie inne państwo: zaopóźnione cywilizacyjnie, ale zarazem łupieżcze imperium, które podczas wojny trzydziestoletniej (1618-48) obrabowało Niemcy i Czechy. Kiedy rok przed potopem tron objął młody i ambitny władca Karol X Gustaw, zastał kraj z pustym skarbem i wielką armią, której trzeba było płacić.

Jak podkreśla dr Katarzyna Wagner, historyczka z Uniwersytetu Warszaw-

skiego, która kataloguje polonika znajdujące się w Szwecji, strategia Karola X Gustawa była częścią planu utworzenia potężnego mocarstwa, w którym Bałtyk byłby morzem wewnętrznym. Aby tego marzenia dopełnić, król musiał odebrać Polsce Prusy Królewskie i oddalić zagrożenie rosyjskie w Inflantach. Na początek wybrał osłabioną politycznie Rzeczpospolitą, z armią uwikłaną w wojnę z Moskwą i królem Janem Kazimierzem skłóconym z magnaterią.

– Karol X Gustaw pożyczył pieniądze na wyprawę od szlachty, stąd potop nazywany jest w Szwecji „wojną na kredyt”. Spłacił ten kredyt zgodą na zorga-

nizowany rabunek Polski – mówi Wagner.

Szwedzi wyprawili się do kraju, który mimo kłopotów politycznych przeżywał wzrost gospodarczy dzięki handlowi zbożem, drewnem, mięsem wołowym i solą. Karol X Gustaw liczył, że przejmie to bogactwo i utworzy nowoczesne państwo absolutne. Przeliczył się. Mimo że bez trudu zajął większość najważniejszych miast, to w terenie panowali Polacy, atakujący szwedzkie konwoje. Symboliczne znaczenie miało też oblężenie Częstochowy, które pokazało, że wbrew obietnicom protestanckiego króla wojna będzie miała również charakter religijny. ➔



Kradli nawet gwoździe z trumien

→ – Masowe rabunki rozpoczęły się w 1656 r., kiedy Szwedzi zdali sobie sprawę, że nie utrzymają naszego kraju i nie ma szans na koronację Karola X Gustawa na króla Polski. Zwłaszcza że jako jednoczesny władca Litwy musiałby wtedy zaangażować się w odzyskanie od Rosji ogromnych terenów utraconych na wschodzie. Tym szwedzki król nie był zainteresowany – mówi prof. Mirosław Nagielski, historyk z Uniwersytetu Warszawskiego. – O jego skomplikowanej sytuacji politycznej świadczą negocjacje, jakie już po kilku miesiącach wojny prowadził z kupieckim konsorcjum holenderskim. Za cenę kilku milionów guldénów oferował mu wznowienie handlu polskim zbożem, ale do umowy nie doszło, bo Szwedzi co prawda opanowali Wiśłę, główną arterię komunikacyjną Polski, nie mieli jednak perły w tej koronie, głównego punktu zbytu zboża, czyli Gdańsk.

To bogate miasto obroniło się, gdyż oprócz licznych oddziałów miejskich dysponowało kilkutyśięcną armią zacięzną. Holendrzy zaś bez Gdańska nie wyobrażali sobie podpisania umowy na obrót zbożem. Woleli w połowie 1656 r.

wspólnie z Duńczykami odblokować port. Kłopot w tym, że nie bardzo było co do niego zwozić. Gdański eksport zboża spadł w trakcie potopu z ponad 40 tys. do kilkuset lasztów rocznie.

Kiedy wojna w Polsce przestała toczyć się według ambitnego planu politycznego, zmieniła się w łupieżczy najazd, który dotknął przede wszystkim Wielkopolskę i Prusy, gdzie najdłużej toczyły się działania wojenne, a także Mazowsze i Podlasie.

Jak podaje prof. Nagielski, największe straty dotknęły gospodarstwa drobno-szlacheckie i chłopskie. Brutalnie okradzione wsie dziesiątkowały epidemie czerwoności i dżumy, przez co ziemia leżała odłogiem i panował głód. Wyludnienie na niektórych terenach Podlasia sięgało nawet 70 proc. W dużych ośrodkach miejskich przeżyć było łatwiej, ale i tam liczba ludności spadła o ok. 40 proc. W sumie wojny z kozakami, Rosją i Szwecją doprowadziły do tego, że niemal 10-milionową dotąd Polskę w 1660 r. zamieszkiwało już tylko 5 do 6 mln ludzi.

Spektakularnym przykładem jest Warszawa, która przed wojną liczyła 20 tys. mieszkańców, po potopie zaś

miała ich już tylko 6 tys., a setki budynków zostało albo zniszczonych, albo splądrowanych. Stolica odbudowała się stosunkowo szybko, gdyż stanowiła centrum polityczne kraju, jednak wiele kamienic, willi i pałaców już się nie podniosło z upadku. Szwedzi kradli wszystko: sztucce, pościele, biżuterię, rzeźby, zdobione książki, szaty liturgiczne. Feldmarszałek Carl Gustaw Wrangel, naczelny łupieżca, pisał do swych ludzi w Warszawie, by idąc do Pałacu Ossolińskich zabrali z sobą doświadczonych kamieniarzy, którzy nie uszkodzą pięknych marmurów mających trafić do jednej z jego rezydencji w Szwecji. Z innych miast pochodzą podobne historie. Na Wawelu, grabionym kilkakrotnie, generał Paul Würtz osobiście wyrwał zdobienia grobowca św. Stanisława i kazał zabrać złoczoną trumnę, a z grobu Władysława IV jego ludzie skradli nawet srebrne gwoździe. Zrabowany majątek Würtz wywoził 80 furgonami.

Utopiony w Wiśle skarb

Nigdy wcześniej w Europie nie dokonano tak metodycznej i dokładnej grabieży mienia. Szwedzi okradali magnatów,



Po lewej: wnętrze biblioteki w Uppsali z kolekcją poloników.

Obok: szabla i tarcza wojewody Jana Zamoyskiego w zamku Skokloster

MARCIN JAMKOWSKI / ADVENTURE PICTURES

mieszczan i chłopów, nakładali na zajęte miasta wysokie kontrybucje, grożąc ich spalaniem, zajmowali spichlerze. Łupili i palili zamki, m.in. te na Szlaku Orlich Gniazd, np. Ogródzieniec.

Sposób, w jaki potraktowali Polskę, najlepiej pokazuje historia marmurów pochodzących z Pałacu Kazimierzowskiego – przepięknej, barokowej rezydencji Jana Kazimierza. Tam król miał swój ukochany ogród i kolekcję dzieł sztuki. Tam też uciekał od polityki, puszczając kraj samopas, o czym wieści docierały do Sztokholmu.

Wiosną 1656 r. Szwedzi dosłownie rozebrali cały bogato zdobiony fronton wraz z klatką schodową pałacu, po czym postanowili spławić go Wisłą w stronę Torunia i Elbląga, skąd miał żaglowcami dotrzeć do Sztokholmu. Nie wiadomo, czy barki były przeładowane, czy też stan wody na rzece był tak niski, w każdym razie transport utknął i zatonął. I być może tkwiłby tam po dziś dzień, gdyby nie dr hab. Hubert Kowalski, archeolog z Uniwersytetu Warszawskiego, który w 2009 r. odnalazł w Archiwum Głównym Akt Dawnych list burmistrza Warszawy do Jana Kazimierza. W liście tym

burmistrz informował króla o splądrowaniu pałacu i zerwaniu ze ścian marmurów, które niedługo potem zatoniły Szwedom w Wiśle. Artykuł naukowy na ten temat przeczytała dr Justyna Jasiewicz i powiadomiła znajomego – Marcina Jamkowskiego, dziennikarza, filmowca, byłego naczelnego „National Geographic”.

– Mail dotarł do mnie podczas pracy na Wyspę Wielkanocną. Ciśnienie od razu mi skoczyło, odpisałem jednym słowem: „SZUKAMY!” – wspomina Jamkowski. – Rozpoczęła się przygoda mojego życia. W akcję zaangażowali się naukowcy, nurkowie, policjanci z komisariatu rzeczno, mieliśmy echosondy, sonary, profilografy. Przez pierwsze dwa lata nie znaleźliśmy nic, co przypominałoby marmury. Raz wydawało się, że jeden z nurków wyłowił rzeźbę głowy, która ostatecznie okazała się kamieniem polnym. Kiedy indziej sądziliśmy, że mamy rzeźbę orła, ale to był tylko duży fragment kory z pnia drzewa. Zaczęliśmy się zniechęcać. I wtedy, trzeciego roku wyprawy, Hubert Kowalski odnalazł w archiwum list piaskarza pracującego na Wiśle, który po II wojnie świato-

wej prosił o zapomogę, przypominając że w czasach caratu wyłowił w okolicach Cytadeli marmury i delfina będącego fragmentem fontanny. To zawęziło nasze poszukiwania do jednego kilometra.

Późną jesienią 2011 r. poszukiwacze namierzyli regularnych kształtów kamień. Kiedy go wydobyli dźwigiem, okazał się ważącym tonę, oszlifowanym marmurem z nadproża pałacu. Takich marmurów wydobyli 6 ton, a kolejnego roku, gdy poziom Wisły stał się wyjątkowo niski, 8 ton. Do dziś uzbierało się w sumie aż 20 ton. Alabastrowe dekoracje, łuki, obramowania okien, elementy zdobione z herbami Wazów, fragmenty fontanny, maszkarony, płytki podłogowe, a także kule armatnie, drewniane koła i w końcu same armaty.

– Patrząc na dzisiejszą Szwecję może nam się wydawać to niepojęte, ale dla ówczesnych Szwedów marmury, kosztowności i wyposażenie wnętrz przywożone z Polski to były rarytasy. Ówczesne przekazy wspominają, że kiedy transporty zawiąły do portu w Sztokholmie, zbierały się tłumy mieszczan próbujących kraść, co popadnie. Król musiał wysłać do ich ochrony żołnierzy z muszkietami – opowiada Jamkowski. – Istnieją nawet relacje francuskiego posła z początku XVII w., który twierdził, że szwedzki król siedzi w sali tronowej na zwykłym zydłu, na klepisku.

Szwedzki opór, polskie niechłujstwo

Hubert Kowalski przypomina, że Szwecja w połowie XVII w. miała potężną armię, ale jednocześnie była ubogim krajem. I dlatego Karol X Gustaw miał świadomość, że militarne zdominowanie sąsiadów z południa to tylko początek drogi do stworzenia imperium. Wiedział, że do rozwoju państwa potrzebna jest wiedza, a ta zawarta była w książkach, pisanych zazwyczaj po łacinie i mających taką samą wartość w każdym miejscu w Europie. Dlatego księgozbiory rabowano na całego. Według wyliczeń Marcina Jamkowskiego Szwedzi ogłocili co najmniej 17 archiwów i 67 bibliotek, m.in. w Gnieźnie, Krakowie, Lublinie, Malborku, Poznaniu, Radomiu, →



Filmowany do „Uratowanych z potopu” największy średniowieczny dzwon w Szwecji, wykradziony z Torunia. Katedra w Uppsali.

→ Sandomierzu, Toruniu, Warszawie i Wilnie. Kradli archiwa miejskie, sądowe, a także zbiory biskupie i zakonne.

Wiślane odkrycie zaowocowało książką Jamkowskiego i Kowalskiego „Uratowane z potopu” oraz filmem wyreżyserowanym przez Jamkowskiego z Konstantym Kulikiem. Zdjęcia kręcono też w Szwecji, gdzie w muzeach znajdują się niezliczone zbiory poloników, wywiezionych podczas potopu. Jeden z największych jest w Skokloster, dawnym zamku Wrangla, gdzie można zobaczyć miecz koronacyjny Władysława IV oraz szable Jana Kazimierza i wojewody Jana Zamoyskiego. Pobliski kościół jest ozdobiony ołtarzem, amboną i chrzcielnicą zrabowanymi z archikatedry oliwskiej. Wrangel w bibliotece zgromadził też m.in. polskie teksty teologiczne, relacje z wojen prowadzonych przez Rzeczpospolitą, a także zbiory poezji Jana Kochanowskiego, Andrzeja Frycza Modrzewskiego, Samuela Twardowskiego i Piotra Skargi. Nie wia-

Szwedzi kradli wszystko, co miało jakąkolwiek wartość i wyglądało pięknie.

W ich muzeach i archiwach są dzieła Kopernika, pierwszy zapis „Bogurodzicy”, zbroje polskich królów, obrazy i dzwony.

domo, po co mu były, gdyż nie mówił po polsku.

Taka jednak była polityka Szwedów: kradli wszystko, co miało jakąkolwiek wartość i wyglądało pięknie. – W jednej z sal zamkowych zainteresowała mnie podłoga – opowiada Jamkowski. – Nie była z drewna, jak w sąsiednich pomieszczeniach, ale z czarnego marmuru. Dyrektor muzeum nie wiedział nic o jej pochodzeniu. Tymczasem my dokładnie

taką samą posadzkę wyłowiliśmy z Wiśły.

Polonika można dziś odnaleźć też w najstarszych muzeach Sztokholmu. Oprócz zbroi paradej Zygmunta Augusta, sprezentowanej przez Annę Jagiellonkę Janowi III Wazie, a więc legalnego obiektu, znajduje się tam również wiele zabytków zrabowanych. Znajdziemy tam zbroje: Władysława IV i husarskie, tarcze, ozdobne siodła, strzelby i róg myśliwski Zygmunta III Wazy, wykonany z rogu jednego z ostatnich turów zabitych w Puszczy Kampinoskiej. Są też турецkie chorągwie i namioty, w tym ten zdobyty przez Jana III Sobieskiego pod Wiedniem, a zrabowany już po potopie, podczas III wojny północnej.

Biblioteki w Uppsali, pierwszego szwedzkiego ośrodka naukowego, powstały dzięki rabunkom dokonywanym podczas wojny trzydziestoletniej w Niemczech i Czechach, oraz w czasie potopu w Polsce. W tamtejszych księgozbiorach znajdziemy najważniejsze dzieła

Kopernika wywiezione z Fromborka, a także Statut Łaskiego z pierwszym zapisem „Bogurodzicy”, w miejscowej katedrze można zaś obejrzeć polskie ornaty i kielich wysadzany perłami z napisem po polsku. Na wieży świątyni bije dzwon „Toruńczyk”, słynący z wyjątkowo pięknego dźwięku. To największy średnio-wieczny dzwon w Szwecji, a jego inskrypcja głosi, iż został „z Bożą pomocą zabrany z miasta Torunia”.

Potop szwedzki zakończył się traktatem pokojowym w Oliwie. Na jego mocy Polska rzekła się Inflant, zwierzchnictwa nad Prusami Książęcymi oraz pretekstu polskich Wazów do tronu szwedzkiego. Jedynym, do czego zobowiązali się Szwedzi, miał być zwrot zagrabionych archiwów i bibliotek (co udało się tylko częściowo), a także tzw. Metryki Koronnej, czyli wszystkich dokumentów, listów dyplomatycznych i instrukcji wychodzących z królewskiej kancelarii, nadań, nominacji, uchwał sejmowych, fragmentów archiwów grodzkich i ksiąg wieczystych. Był to szczegółowy zapis funkcjonowania państwa przez ostatnie dwa wieki, trudno więc się dziwić, że akurat na Metryce Koronnej zależało Janowi Kazimierzowi. Król wysłał po nią do Sztokholmu swego wysłannika Gotfryda von Schröera, który przywiózł do Polski zaledwie pięć skrzyń akt. Zdaniem prof. Wojciecha Polaka, przewodniczącego Kolegium IPN i historyka z UMK w Toruniu, Schröerowi bardzo się śpieszyło i kiepskie efekty jego misji można uznać za przejaw niechlujstwa królewskiego wysłannika.

Za poszukiwanie dzieł ze splądrowanych bibliotek zabrał się później jeszcze Jan III Sobieski, którego przedstawiciel przywiózł do kraju księgozbiór Zygmunta Augusta i niewiele więcej. Polska misja pojawiła się w Szwecji również tuż przed rozbiorami, ale jej efektem było zaledwie kilka kolejnych skrzyń. Nieliczne, XIX-wieczne restytucje zawdzięczamy już tylko prywatnym osobom.

Dwa kanony archiwistyki

Dlaczego Polsce nie zależało na zwrocie cennych dzieł sztuki, stanowiących o jej dorobku cywilizacyjnym i kulturalnym?

– Wówczas te rzeczy traktowano jako należne zwycięzcom łupy wojenne, więc na drodze prawnej zwrotu były niemoż-

Katalog sporów

ZAGRABIONE DZIEŁA SZTUKI i archiwa są od lat kością niezgody w stosunkach Polski z Niemcami i Rosją. Konflikt z tą ostatnią miał rozwiązać traktat ryski, kończący w 1921 r. wojnę polsko-sowiecką i zobowiązujący ZSRR do oddania dzieł wywiezionych podczas rozbiorów. Wróciło wtedy do Polski m.in. 15 arrasów wawelskich, miecz Szczurk obraz Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem”, pomnik księcia Józefa Poniatowskiego, obrazy Canaletta i ponad 7 tys. archiwaliów. Zwrócone zbiory były jednak tylko niewielką częścią zrabowanego majątku. Po II wojnie światowej komunistyczne władze PRL już nie podejmowały tego tematu, a w III RP kontakty są utrudnione z racji niechęci Rosji do przekazywania informacji o znajdujących się w tym kraju polonikach.

W PRZYPADKU NIEMIEC nie było żadnego porozumienia dotyczącego mienia wywiezionego podczas zaborów, natomiast po II wojnie światowej problemem stał się brak traktatu pokojowego między Polską i Niemcami, regulującego kwestie hitlerowskich grabieży. Na dodatek w 1953 r. władze PRL zostały zmuszone przez ZSRR, by jeszcze przed powstaniem NRD rzec się odszkodowań od Niemiec. Umowy zawierane w pierwszych latach III RP wspominają o problemie zwrotów tylko ogólnie, jednak od 2014 r. trwają konkretniejsze rozmowy na ten temat. Niemiecka strona twierdzi, że ma kłopoty ze skatalogowaniem zrabowanego mienia z uwagi na częsty brak dokumentacji; polskie MSZ oszacowało rok temu, że Niemcy zrabowali 516 tys. artefaktów oraz 22 mln woluminów, z których skatalogowanych jest niecałe 70 tys. Cały czas zdarzają się jednak pojedyncze zwroty. Np. w marcu 2020 r. protestancka parafia Tiergarten w Berlinie i katolicka parafia bazyliki Mariackiej w Gdańsku porozumiały się w sprawie oddania zrabowanego fragmentu ołtarza i jego podstawy.

© MKR

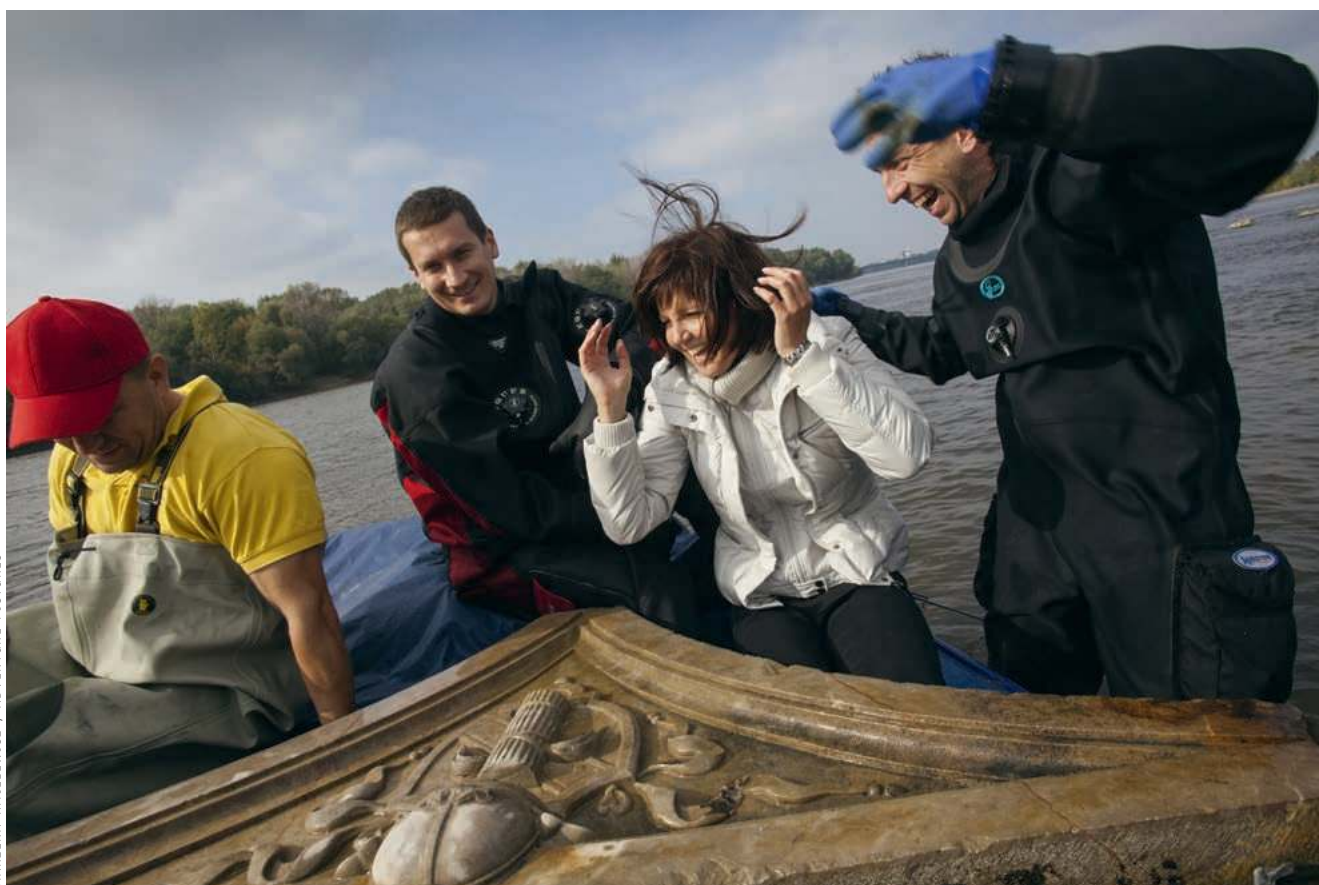
liwe – tłumaczy Marcin Jamkowski. – Szwedzka armia była o tyle wyjątkowa, że zorganizowała cały system grabieży i miała specjalne brygady, które kradły mienie oraz przejmowały składy celne, w których zbierano pieniądze za prawo przewozu towarów. Stworzono też machinę narzucania kontrybucji poszczególnym miastom, niezależnie, czy się poddały, czy też broniły zaciekle. Mieszczanie warszawscy musieli zaciągać kredyty, by podołać skali tych żądań. Niektórzy spłacali je potem nawet 40 lat.

Czy dziś mamy prawo domagać się od Szwedów, by płacili rachunki za grzechy sprzed ponad 350 lat? Zwłaszcza w sytuacji, w której wciąż nie możemy uregulować spraw związanych z mieniem utraconym w czasie II wojny światowej, brakiem traktatu pokojowego z Niemcami czy też lekceważącym stosunkiem ze strony Rosji, głuchej na kwestię polskich dzieł sztuki oraz archiwów zagrabionych podczas rozbiorów i późniejszych wojen?

Paweł Pietrzyk, dyrektor Archiwów Państwowych: – W archiwistyce obowiązują obecnie dwa kanony. Jeden mówi o tym, że dzieła wytworzone na danym terytorium przynależą do tego miejsca. Jednak druga zasada zakłada, iż źródła historyczne, które zrosły się przez lata z jakimś konkretnym zbiorem archiwalnym, powinny w nim pozostać. I na to powołują się od lat Szwedzi. Jednocześnie ich podejście do polskich archiwaliów i dzieł sztuki jest niezwykle dojrzałe: mają je świetnie skatalogowane, udostępniają chętnie do badań i nie ukrywają ich pochodzenia. Spójrzmy teraz na inny model postępowania. Dokumenty i dobra kultury polskiej były wywożone na wschód wagonami i tylko część z nich wróciła. Reszta nadal przebywa w Rosji i jest często skrzętnie ukrywana. W zasadzie wciąż nie mamy pełnej wiedzy, co tam jest, bo zbiory zostały rozproszone po wielu instytucjach. Nie są też w całości i w sposób poprawny skatalogowane, a Rosjanie pokazują nam tylko to, co chcą. Współpraca archiwalna jest dziś śladowa, na co oczywiście nakładają się nasze skomplikowane relacje polityczne.

Ze Szwecją stosunki są zupełnie inne, ale nie znaczy to, że mamy dziś szanse na restytucję jakichś zabytków. Choć np. prof. Polak uważa, że na drodze spokojnych negocjacji dyplomatycznych moglibyśmy starać się np. o zwrot dzieł

→



Komendant Piotr Kłys, dr hab. Hubert Kowalski, dr Justyna Jasiewicz i Marcin Jamkowski ze znalezionym w Wiśle królewskim herbem Wazów, Warszawa, 2011 r.

→ polskich poetów albo pierwszego wydania „Bogurodzyca”, gdyż nie mają one wartości dla Szwecji. Na razie nikt jednak głośno o tym nie mówi.

W przeszłości doszło tylko do jednego spektakularnego zwrotu. Chodzi o 16-metrową „Rolkę sztokholmską”, przywiezioną przez premiera Olofa Palme w 1974 r. Obraz przedstawia wjazd króla Zygmunta III Wazy na ślub z austriacką księżniczką na Wawelu w 1605 r. Szwedzi oddali go, gdyż nie był im potrzebny, można go było za to wykorzystać propagandowo przy okazji podpisywania umów gospodarczych z PRL. Niestety, tak intensywnie oglądali go różni dygnitarze partyjni, aż zaczął się kruszyć. W końcu trzeba go było pociąć – na szczęście w miejscach sklejenia arkuszy – a potem zakonserwować. Dziś taka wpadka byłaby już niemożliwa, być może więc przy okazji kolejnego kontraktu gospodarczego lub zakupu szwedzkiej broni coś jeszcze do Polski powróci.

© MAREK KĘSKRAWIEC

Nie ma do czego wracać

HUBERT KOWALSKI, ARCHEOLOG:

Nie mam nic przeciwko temu, by dzieła Kopernika zrabowane z Fromborka nadal leżały w bibliotece w Uppsali.

MAREK KĘSKRAWIEC: Czy Polska powinna domagać się zwrotu dzieł sztuki, które w XVII w. zrabowali z Polski Szwedzi?

HUBERT KOWALSKI: Nie jestem zwolennikiem takich działań. Przecież Polacy w swej historii również rabowali sąsiadów. Dla przykładu: podczas potopu Szwedzi wywieźli z Warszawy m.in. hełm Iwana IV Groźnego, który myśmy z kolei zabrali z okupowanego Kremla na początku XVII w. Dokąd on powinien wrócić? Do Polski czy do Rosji? Po drugie: tak ówczesnie wyglądało

prawo wojenne, zwycięzca miał prawo do łupów i wszystkie armie z tego korzystały.

A po trzecie: w Polsce wiele wspaniałych dzieł zalega w magazynach, niejednokrotnie nie zostały nawet fachowo opracowane czy zakonserwowane. Jeśli jakiś minister przekaze wreszcie wystarczające środki na to, byśmy mogli zadbać odpowiednio o nasze własne, bezcenne zbiory, to możemy – po latach – wrócić do rozmowy o zwrotach. Obecne warunki w wielu polskich muzeach są dalekie od ideału, kustosz i kuratorzy

siedzą w pomieszczeniach z obiektami. Czy do takich miejsc chcemy ściągać archiwalia ze Szwecji? Zajmijmy się najpierw skarbami, które mamy na miejscu, zamiast toczyć dyplomatyczne boje o zwrot mienia zagrabionego ponad 350 lat temu, które mogło w ogóle nie przetrwać, gdyby Szwedzi go nie ukradli.

Co Pan ma na myśli?

Nasze położenie geopolityczne jest bardzo niekorzystne. To, że przez ostatnich ponad 70 lat przez Polskę nie przetoczyła się żadna wojna, to ewenement w naszej historii. Dlatego nie mam nic przeciwko temu, by dzieła Kopernika zrabowane z Fromborka nadal leżały w Uppsali, jeśli dba się tam o nie wzorowo i nikt nie ukrywa ich pochodzenia. Być może gdyby Szwedzi nie spłądowali Pałacu Kazimierzowskiego, to nie wydobylibyśmy żadnych marmurów z Wisły, bo zostałyby zniszczone podczas ostatniej wojny. Pamiętamy też, że część archiwów, które Szwecja zwróciła nam w wyniku traktatu w Oliwie, została spalona przez Niemców podczas powstania warszawskiego.

Czyli można traktować polonika w Sztokholmie, Uppsali i na zamku w Skokloster jako bezpieczne miejsca, gwarantujące im przetrwanie?

Można tak to ująć. Biorąc pod uwagę ten właśnie aspekt, nie jestem nawet fa-

nem tworzenia w Warszawie centralnego magazynu dla kilku ważnych muzeów, gdyż byłby to cel na jedno bombardowanie. W Politechnice Warszawskiej mamy wspaniałe dokumenty, plany, mapy, które przetrwały wojnę, bo nie zgromadzono ich np. w Bibliotece Narodowej, gdzie wiele cennych zbiorów zniszczono za jednym zamachem przy użyciu miotaczy płomieni.

To, czy obiekt fizycznie znajduje się w Uppsali czy w Warszawie, nie ma większego znaczenia, jeśli jest odpowiednio zakonserwowany, zdigitalizowany i łatwo dostępny do badań. My w Polsce mamy problem ciągłych rachunków krzywd, rozpamiętywania przeszłości, a nie projektujemy swej przyszłości.

Traktat pokoju oliwskiego ma specjalny punkt dotyczący zwrotów. Dlaczego tak nam wtedy zależało na archiwach królewskich, a nie ma tam w ogóle mowy o dziełach sztuki, o mieczach koronacyjnych lub zbrojach królów polskich?

Metryka Koronna stanowiła najważniejszy zbiór dokumentów dla funkcjonowania państwa i jego ciągłości. Jeśli spłoną akta potwierdzające własność ziemi lub budynków, rodzi to poważniejsze konsekwencje niż kradzież cennych obrazów. Pamiętamy też, że prawo wojny traktowało je wówczas jak nalezne zwycięcy łupy. Teraz mamy

inną świadomość, ale nie powinniśmy z dzisiejszej perspektywy oceniać przeszłości. Poza tym tuż po potopie nie byliśmy w stanie ustalić, co zginęło, i żądać zwrotu wywiezionego mienia – chcieliśmy po prostu zakończyć wyniszczającą wojnę i ruszyć do przodu. Podpisaliśmy traktat ponad 350 lat temu, zgodziliśmy się na jego warunki, nie ma do czego wracać.

Szwedzi obrabowali też Niemcy, Czechy, Danię. Czy w tych państwach też pojawiają się głosy domagające się oddania zrabowanych dóbr?

Marginalnie. To specyfika naszej polityki, ale na szczęście polski świat nauki jest raczej wolny od takich głosów. Zresztą ostatnie wpisy prof. Pawłowicz nie stały się w Szwecji powodem do wielkiej dyskusji.

Ale w Polsce podtrzymywanie tego tematu może mieć jeden dobry skutek. Może uda się przekonać nasze władze, by sfinansowały wreszcie poważne, długotrwałe badania nad skatalogowaniem i zdigitalizowaniem naszych skarbów w Szwecji i w innych krajach, gdzie znajdują się wywiezione polonika. Zamiast pohukiwać na szwedzkich pilkarzy, sprawdźmy dokładnie, co tam mamy. ©

DR HAB. HUBERT KOWALSKI *jest archeologiem, dyrektorem Muzeum Uniwersytetu Warszawskiego.*

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabinj,
Mariusz Sepioto, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk,
Jacek Podsiadło, Dorota Mastowska, Zuzanna Radzik,
Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kaćka,
Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Lubiński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szmer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Drwale i nosiwody*



„STOICIE DZIŚ WSZYSCY PRZED OBLICZEM Wiekuistego, Boga waszego: naczelnicy pokoleń waszych, starsi, urzędnicy wasi, wszyscy mężowie Izraela: dzieci wasze, żony wasze, i obcy, który w obozie twoim; od rąbiącego drwa do czerpiącego wody

twoje” (Pwt 29, 9-10; tu i następane: Cyilkow).

Według tradycji to ostatni dzień życia Mojżesza, więc i ostatnia chwila, by odnowić przymierze synajskie. Izraelici mu się sprzeniewierzyli, mówiąc o złotym cielcu: „Oto bogi twoje Izraelu, które cię wywiodły z ziemi Micraim!” (Wj 32, 4). Teraz zebrali się wszyscy, jak 40 lat wcześniej pod Górą Synaj, i Mojżesz rozpoczyna ceremonię, zwracając się do zgromadzonych. Zgodnie z regułami sztuki oratorskiej otwiera apostrofę najdosłowniej, a kończy na poślednich. Kobiety plasują się za dziećmi – w domyśle płci męskiej? – przed obcymi i pracownikami fizycznymi. Nie są one w grupie, do której przywódca zwraca się „wy”, lecz wśród przyległości „mężów Izraela” – taka była ówczesna rzeczywistość.

Moją nadzieję budzą wersy 13-14: „A nie z wami tylko samymi zawieram dzisiaj to przymierze i tę umowę zaprzysiężoną, lecz z każdym, który tu z wami stoi dziś przed obliczem Wiekuistego, Boga waszego, i którego tu nie ma z wami dzisiaj”. Przymierze obejmuje też przyszłe pokolenia, a zatem również współczesne kobiety, które nie są już tylko przedłużeniem swoich ojców i mężów.

Intrygujący wydają mi się drwale i nosiwody. Dlaczego zostali wyróżnieni? Niektórzy komentatorzy widzą w nich sługi – odpowiednio płci męskiej i żeńskiej. Ktoś sugeruje, że to będąc jeszcze wówczas przy życiu osoby innych nacji, które przyłączyły się do wychodzących z Egiptu Izraelitów. Ciekawie rozgrywa to midrasz: chodzi o Kananejczyków, którzy przyszli do Mojżesza z wolą dołączenia do Dzieci Izraela, a on uczynił z nich drwali i nosiwodów. Wyjaśnijmy: owi Kananejczycy zdali sobie sprawę, że wkrótce zostaną zaatakowani przez Izraelitów, i chcieli się ubezpieczyć na tę okoliczność. Podjęli więc odpowiednie kroki, jeszcze zanim Izrael przekroczył Jordan.

Skąd ten midrasz? W rozdziale 9 Księgi Jozuego przychodzą doń Gibeonici i podstępem udaje im się zawrzeć z Izraelitami pokój. Wers 3 brzmi: „Chcieli tedy i oni chytrze sobie począć”, co sugeruje, że już wcześniej miało miejsce podobne zdarzenie. Czyżby jeszcze za czasów Mojżesza? Jak zareagował Jozue, gdy wyszło na jaw oszustwo Gibeonitów? Nie sposób było zerwać traktat: „przeznaczył ich onego czasu na drwali i wodziarzy dla zboru i dla ofiarnicy Wiekuistego” (wers 27).

„Stoicie dziś wszyscy przed obliczem Wiekuistego, Boga waszego” – rabini komentują w midraszu: „Kiedy dzieje się tak, że stoicie? Gdy wszyscy staje się jednością. Kiedy to powinno nastąpić? Dzisiaj!”. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Zła modlitwa*



JAKUB APOSTOŁ STAWIA PYTANIE NIEOBCE i nam, jeśli jeszcze nie zobojętnieliśmy na dolę i niedolę Ziemi i kosmosu. Zanieczyściliśmy niemiłosiernie lądy i oceany, ale też przestrzeń kosmiczną. W podejściu do rzeczywistości duch Kaina wciąż bierze

górną nad duchem Chrystusa. Apostoł mówi: „Skąd wojny i walki między wami? Czy nie z pożądliwości, które walczą w waszych ciałach? Pożądacie, a nie posiadacie; zabijacie i zadróscicie, a nie możecie osiągnąć; toczycie boje i wojny, a nic nie zyskujecie, bo się nie modlicie! Modlicie się, a nie otrzymujecie, bo się źle modlicie. Pragniecie zaspokoić tylko własne namiętności”.

Ostatnie zdanie daje do myślenia, zwłaszcza mającym się za głęboko wierzących, gdyż modlących się dużo i gorliwie. A takim szczególnie, według Jana od Krzyża, grozi popadnięcie w grzech łakomstwa duchowego. „Gromadzą [oni] osobliwe obrazy i różańce (...), przywiązują się do tego krzyża, bo jest odmienny od innych. Ujrzenie ich obwieyszonych agnuskami, relikwiami, imionami świętych, jak dzieci, które ozdabiają się świecidełkami”. Wszystko po to, „aby Bóg chciał tego, czego chcą [oni], a przeciwnie, pragnienie tego, czego Bóg pragnie, napawa [ich] smutkiem i odrzą do uzgodnienia swej woli z wolą Boga. Stąd też często sądzą błędnie, że to, co nie odpowiada ich upodobaniom i woli, nie jest wolą Bożą, a to, co ich zadowala, zadowala również i Boga. Mierzą więc Boga swoją miarą, a nie siebie Bożą”.

Prowadzi to do uprzedmiotowienia Boga i człowieka. Osoby sprowadza się do rzędu rzeczy tylko chwilowo użytecznych. Człowiek staje się towarem, który jest tyle wart, ile da się z niego wycisnąć. A kiedy zostanie wyeksploatowany, a więc stanie się nieprzydatny, niech szuka szczęścia gdzie indziej, świat jest wielki.

Jak to wygląda w praktyce? Prof. Zbigniew Lasocki z Uniwersytetu Warszawskiego twierdzi, że tylko 30 proc. naszego społeczeństwa wie, co to jest handel ludźmi. W tym procederze, mówi, głównie chodzi o „eksploatację seksualną kobiet” oraz przymusową pracę „cudzoziemców na granicy wydolności fizycznej i kompletnego zniewolenia”. A sposobów zniewalania jest wiele. Zmusza się ludzi np. do brania kredytów, które przejmują przestępcy, a dzieci i kobiety do żebractwa i kradzieży w sklepach. Zmusza się do zawierania fikcyjnych małżeństw. Szerzy się „handel ludźmi w celu pozyskiwania narządów”. A u nas, „w zakochanym w sobie katolickim kraju (...), w którym według szacunków jest 120 tys. ofiar handlu ludźmi i pracy przymusowej, Państwowa Inspekcja Pracy z dumą informuje, że nie zidentyfikowała żadnej takiej ofiary”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Ocalona z Jerycha

*Myśli nieczyste zakuwają
umysł w kajdany:
już to przez pożądliwość,
już to przez gniew,
już to przez smutek.*

EWAGRIUSZ Z PONTU



*Głęboki wgląd
i spokój kładą
kres uciążliwościom
egzystencji.*

ŚANTIDEWA



DZIŚ TROCHĘ INACZEJ: chcę się podzielić Słowem, które do mnie przyszło podczas Eucharystii sprawowanej w minioną sobotę.

Mszę odprawiałem na rozpoczęcie „Jerycha rowerowego” w Łodzi. Blisko trzysta osób zebrało się, aby na rowerach objechać nasze miasto, zatrzymując się w kilku miejscach, by się za nie pomodlić. Modlitwą była zresztą również sama jazda i związany z nią wysiłek (uczestnicy przejechali 50 kilometrów), ponieważ rowerzystów poprzedzał samochód, w którym wieziony był Najświętszy Sakrament, i każdy z nas, w każdym momencie, mógł się przy Nim odnaleźć przy pomocy najprostszej myśli czy pragnienia.

Jerycho jest modlitwą o zburzenie murów – trwa siedem dni i siedem nocy, zgodnie z narracją Księgi Jozuego (zob. Joz 6). Siedem dni i nocy modlitwy o to, by Pan rozwalil wszystkie mury, jakie oddzielają nas od Niego; które sami (wraz z innymi) z mozołem wybudowaliśmy, zwiedzeni pokusą, by bronić przed Nim swojego terytorium.

W trakcie mszy nieustannie powracała do mnie jedna myśl – tak natarczywa, że nie mogłem się nią na koniec nie podzielić z uczestnikami (tak jak teraz nie mogę się nią nie podzielić z Wami): w Jerychu ocalała tylko jedna osoba – nierządnicą Rachab... Ocalała ona i ci, których zebrała u siebie w domu, gdy padały mury miasta.

Ta konstatacja pozwala nam zupełnie na nowo odkryć, co jest, a co nie jest murem między mną a Bogiem. Zwykle bowiem mówimy, że owym murem jest grzech – że to on skutecznie oddziela nas od Pana. Historia Rachab uświadamia nam mocno, że to nie grzech, lecz raczej przekonanie o własnej bezgrzeszności jest murem między nami a Bogiem.

Grzech nie jest żadnym murem – Bóg burzy go łatwo, niezależnie od tego, jak wielkim ów grzech przedstawia się naszym oczom.

Murem, wobec którego wszechmogący Bóg pozostaje bezradny, jest niezachwiane przekonanie o własnej bezgrzeszności i związana z nim odmowa nawrócenia. Przez ten mur Bóg nie jest się w stanie przebić ze swoją łaską usprawiedliwienia (zob. Łk 18, 9-14, przypowieść o celniku i faryzeuszu w świątyni: „Ten odszedł do domu usprawiedliwiony, nie tamten”). Tak! Skutecznie odgradzamy się od Boga nie grzechem, lecz poczuciem własnej sprawiedliwości.

Finał usprawiedliwienia Rachab odnajdujemy w rodowodzie Jezusa zapisanym przez św. Mateusza: „Salmon ojcem Booza, a matką była Rachab” (Mt 1, 5). Pan nie tylko ocalił nierządnicę od śmierci, lecz uczynił członkiem swojej rodziny – swoją pra-, pra-, pra... prababką. Nie tylko obalił mur, ale w jego miejsce stworzył więź pokrewieństwa. ©

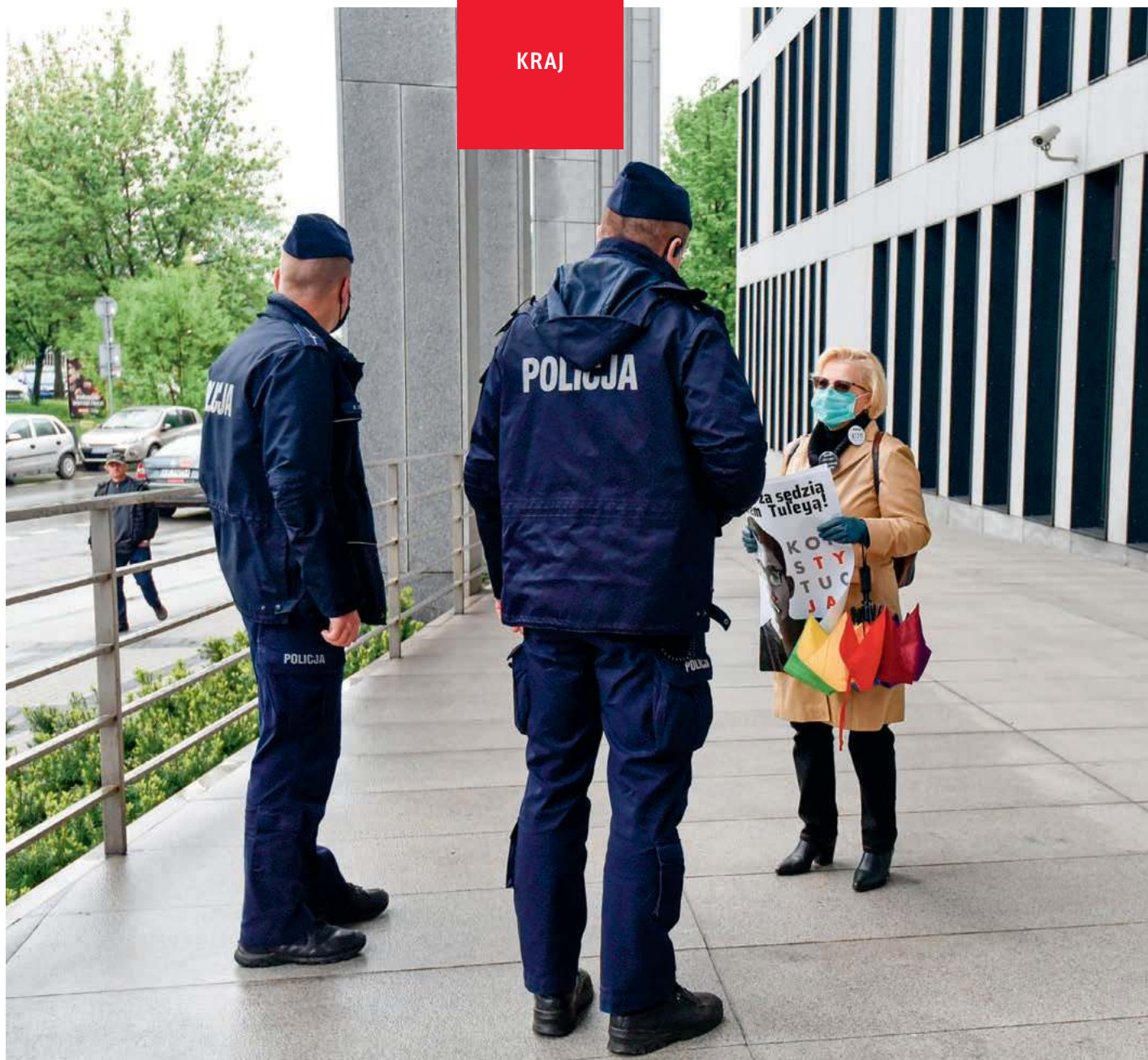
CZYTANIA LITURGICZNE (19 – 26 IX)

25. niedziela zwykła: Mdr 2, 12. 17-20;
Ps 54; Jk 3, 16 – 4, 3; Mk 9, 30-37;
Poniedziałek: Ezd 1, 1-6; Ps 126; Łk 8, 16-18;
Wtorek: Ef 4, 1-7. 11-13; Ps 19; Mt 9, 9-13;
Środa: Ezd 9, 5-9; Tb 13; Łk 9, 1-6;

Czwartek: Ag 1, 1-8; Ps 149; Łk 9, 7-9;
Piątek: Ag 1, 15b – 2, 9; Ps 43; Łk 9, 18-22;
Sobota: Za 2, 5-9. 14-15a; Jr 31; Łk 9, 43b-45;
26. niedziela zwykła: Łb 11, 25-29;
Ps 19; Jk 5, 1-6; Mk 9, 38-43. 45. 47-48.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ



TRYBUNALSKA NISZCZARKA SIĘ ZATKA

Na tak zwanej reformie sądownictwa stracili wszyscy: sędziowie, których uwikłała w bieżącą politykę, obywatele, którym utrudnia dostęp do sądów, a nawet rządzący, którzy chcieli się po prostu pozbyć instytucji ograniczających ich władzę.

KLAUS BACHMANN



Protest przed Sądem Apelacyjnym w Krakowie w sprawie przywrócenia sędziów odsuniętych od orzekania. Kraków, 18 maja 2021 r.

frontacyjny – kolokwialnie mówiąc: na rympał – musiała doprowadzić. Próby podporządkowania sobie sądownictwa odbywały się w wielu krajach, w tym w bezpośrednim sąsiedztwie Polski: w latach 90. na Białorusi, potem w Rosji i na Ukrainie za rządów Wiktora Janukowycza. Stąd wiadomo, że jeśli wprowadza się politykę partyjną na sale rozpraw, jeśli rząd próbuje sterować wyrokami sądów, wydłuża to postępowania, bo sędziowie, którzy nie chcą poparzyć rąk gorącymi kartoflami podrzucanymi przez polityków i zachować apolityczność, będą się wyłączać i unikać podejmowania decyzji, które narażają ich na konflikt z etyką zawodową i ostracyzm środowiska. Jak działa sędzia stojący przed dylematem: albo narazić się rządowi, albo wydać wyrok, który zostanie podważony przez drugą instancję? Tak samo jak wtedy, kiedy nie wie, jaką opcję wybrać – przedłuża sprawę, aż sytuacja stanie się bardziej klarowna.

Proszę mi to skasować

Nic dziwnego, że na skutek reformy polskie sądownictwo niemal się zatkało i sprawy kiedyś rozstrzygane w ciągu kilku tygodni trwają teraz kilka miesięcy. Nie powinno nikogo dziwić, że nawet nominaci PiS w Sądzie Najwyższym nie przychodzą do pracy albo orzekają niezgodnie z linią tej partii – nie wiadomo, jak długo ten rząd będzie jeszcze rządzić, nie wiadomo, co następna władza zrobi z jego nominatami. To trochę jak w tym brytyjskim żarcie, gdzie członek Izby Wyższej staje przed sądem za korupcję, otrzymawszy łapówkę od obu partii za oddanie głosu, i odpowiada na pytanie sędziego, jak w końcu głosował: „Zgodnie z moim sumieniem, Wysoki Sądzie”.

Wkrótce nawet najbardziej zdyscyplinowani nominaci PiS – sędziowie Trybunału Konstytucyjnego – staną przed takim dylematem. Zamiast kontrolować rząd i parlament, jak przewidywała to konstytucja z 1997 r., Trybunał funkcjonuje niczym rządowa niszczarka: jeśli rządowi z jakiegos powodów przestaje się podobać jakaś ustawa, odsyła ją na aleję Szucha, by tam ją unieważniono.

Ostatnio poszedł krok dalej, wykorzystując tę niszczarkę do unieważnienia orzeczeń Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Rozpatrując odwołanie wniesione przez firmę Xero Flor (stąd potoczna, używana w prasie nazwa tej sprawy), sędziowie w Strasburgu orzekli, że w składzie polskiego TK, który wcześniej rozpatrywał skargę firmy, zasiadał nieprawidłowo wybrany sędzia, tzw. dubler, co narusza prawo do niezawisłego sądu. Polski rząd się nie odwołał od tego wyroku (choć mógł), zamiast tego każe teraz Trybunałowi w Warszawie orzec, że tenże nie jest sądem i wobec tego nie podlega jurysdykcji Strasburga.

Trybunał będzie potrzebował niezwykle zdolnych rzeczników, aby zaintrygować publiczność wyjaśnić, dlaczego raz jest, a raz nie jest sądem. Dla mediów będzie to zabawne widowisko, ale skutki zabawne już nie będą. Europejska Konwencja Praw Człowieka jako prawo międzynarodowe ratyfikowane przez Polskę przed niemal 30 laty jest częścią polskiego porządku prawnego i na co dzień jest stosowana przez sądy powszechne. Jeśli trybunał w Strasburgu twierdzi, że TK, orzekając z udziałem nieprawidłowo mianowanego sędziego, nie jest sądem (w rozumieniu Konwencji), i sam trybunał uzna, że nim nie jest (aby się wyłączyć spod jurysdykcji Strasburga), będzie to silny argument dla sądów powszechnych, aby w razie wątpliwości stosować tzw. rozproszoną kontrolę konstytucyjną. Polega ona na tym, że każdy sąd, zamiast wysłać Trybunałowi Konstytucyjnemu pytanie o konstytucyjność danego przepisu, sam to sprawdza. PiS od przejęcia Trybunału walczy jak lew, aby tę ocenę ograniczyć tylko do niego. Teraz sam stwarza potężny wyłom w tej strategii: i znowu reforma gryzie własny ogon.

Ma ona jeszcze bardziej absurdalne skutki. Jeśli TK sam się uwolni spod władzy ETPC, to odpada też jako ostatnia instancja krajowa dla skarżących, którzy na końcu swojej drogi szukają sprawiedliwości w Strasburgu. Nie muszą już składać skargi konstytucyjnej (jak np. wspomniana firma Xero Flor), aby potem udowodnić, że wyczerpali wszystkie instancje w Polsce. I kolejny absurd: podmiot, któremu TK z udziałem nieprawidłowo wybranego sędziego przyznał rację, może potem żądać odszkodowania w Strasburgu za to, że Polska – choć przecież na

GDY PiS TWIERDZI, ŻE SĘDZIOWIE SĄ polityczni albo „upolitycznieni”, ma rację, bo tacy się stali w wyniku tzw. reformy sądownictwa. Skoro atakuje się najbardziej neutralną światopoglądowo profesję, to jej przedstawiciele się bronią i choćby w ten sposób tracą nimb neutralności w oczach obywateli. Kiedy PiS mówi, że są „nadzwyczajną kastą”, to też ma w pewnym sensie rację: sędziowie byli i są dość hermetycznym środowiskiem o silnym poczuciu solidarności grupowej. Również do tego PiS się przychylił.

Łatwo było przewidzieć, do czego taka reforma, przeprowadzona w sposób kon-

MAREK LASZYK / REPORTER

→ gruncie krajowym wygrał – pozbawiła go prawa do sądu...

Bałagan byłby mniejszy, gdyby polski rząd zdecydował się odwołać od wyroku w sprawie Xero Flor i czekał na wyrok Wielkiej Izby ETPC (czego nie uczynił zapewne w obawie przed kolejną przegraną). Bałagan byłby mniejszy nawet wtedy, gdyby Polska po prostu wypowiedziała Konwencję, bo wówczas Trybunał w Strasburgu straciłby w ogóle kompetencję do oceny polskiego sądownictwa. Wtedy Polska miałaby podobny status co Białoruś, która nigdy nie ratyfikowała Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, albo Turcja, która ją w 2016 r. zawiesiła.

Skutki prawne dla obywateli byłyby umiarkowane, wiele bowiem gwarancji Konwencji pokrywa się z gwarancjami praw człowieka w unijnym traktacie lizbońskim, którego częścią jest Karta Praw Podstawowych. A w UE, inaczej niż w Strasburgu, za naruszenia grożą nie tylko umiarkowane odszkodowania dla pokrzywdzonych, lecz wielomilionowe kary. Być może dlatego polski rząd ucieka się teraz do użycia swojej ulubionej niszczarki właśnie przeciwko traktatowi lizbońskiemu.

Wiele wskazuje, że niszczarka się zatka.

Kto kogo przeczeka

W warunkach rządu mniejszościowego posiadanie takiej niszczarki jest bronią obosieczną, którą opozycja może skierować przeciwko rządowi. Może w zamian za poparcie ważnej dla obozu władzy ustawy w parlamencie zażądać, by inną, niewygodną dla siebie ustawę skierować do oceny przez TK, by ten ją uznał za niekonstytucyjną. Wtedy PiS stanie przed diabelską alternatywą: albo zdezwuuje własny trybunał jako narzędzie do walki politycznej, albo utraci własny projekt ustawy. Lewica mogła to np. zrobić wiosną przy głosowaniu ratyfikacji unijnego Funduszu Odbudowy, stawiając jako warunek poparcia rewizję przez TK stanowiska w sprawie ustawy aborcyjnej.

Teraz podobny nacisk wywiera Komisja Europejska, wysyłając przez kilku swoich komisarzy sygnał, że uwolni Krajowy Plan Odbudowy dopiero, kiedy TK orzeknie – w postępowaniu wszczętym na wniosek premiera Morawieckiego – że prawo unijne stoi jednak ponad konstytucją. Rząd liczył na to, że Komisja zatwierdzi plan (a zatem uruchomi wy-

Jak działa sędzia
stojący przed dylematem:
**albo narazić się rządowi,
albo wydać wyrok,**

który zostanie podważony
przez drugą instancję?

Przedłuży sprawę,
aż sytuacja stanie się
bardziej klarowna.

płatę zaliczki), zanim TK wyda swój wyrok – ten moment przekładano już kilkakrotnie, najnowszy termin posiedzenia to 22 września.

Ale Komisja odwróciła kij i teraz czeka, aż TK zrobi pierwszy krok. W tej sytuacji rząd i sędziowie TK muszą wybrać, czy uprzeć się przy tezie o wyższości naszej konstytucji nad prawem UE i stracić pieniądze, które PiS już rozdysponował do wydania w Polskim Ładzie, czy nakazać sędziom wydanie wyroku, zgodnie z którym jednak konstytucja nie stoi nad prawem UE. Stąd teraz taki popłoch w obozie władzy – politycy nie tylko wpadli w pułapkę, którą sami zastawili, ale doprowadzili nawet do tego, że czas gra na ich niekorzyść. Im dłużej prezes Julia Przyłębska odracza posiedzenie, tym dłużej Polski Ład musi czekać na pieniądze z Brukseli.

Tu zresztą mamy kolejny paradoks: gdyby Trybunał Konstytucyjny był jeszcze niezależny od rządu, premier Morawiecki mógłby tego użyć jako argumentu w negocjacjach w Brukseli, tak jak Niemcy to robią ze swoim trybunałem albo rządy Danii, Irlandii, Holandii i Francji kiedyś robiły w odniesieniu do referendów przeciwko kolejnym traktatom europejskim. Tłumaczyły wówczas swoim partnerom z innych krajów, aby nie żądali od nich takich koncesji, które potem mogą paść w referendum albo zostać zakwestionowane przez niezależny sąd konstytucyjny. Pozostałe państwa zazwyczaj ustępowały.

Fałszywe analogie

Prawnie rzecz biorąc, problemu sprzeczności między prawem UE i konstytucją

nie ma – konstytucja jest najwyższym prawem w kraju, ale ona sama uznaje, że prawo międzynarodowe jest nadrzędne wobec prawa krajowego. Jeśli rząd uważa, że wyroki i odpowiedzi na zapytania pre-judycjalne wydawane przez TSUE wykraczają poza jego zakres jurysdykcji, to musi ślać skargi do Luksemburga, nie na aleję Szucha.

Popularne ostatnio wśród polityków rządowych przykłady pozornie podobnych sporów w innych krajach nie mają tu nic do rzeczy. Niemiecki Trybunał Konstytucyjny nigdy nie orzekał o wyższości ustawy zasadniczej wobec prawa UE, lecz jedynie o tym, w jakich ramach rząd i parlament muszą negocjować treść regulacji przyjmowanych w Brukseli. W sławnym wyroku z 1974 r. (zwanym potocznie „Solange”) uznał, że zakres swobód i praw obywatelskich, na jaki rząd i parlament mogą się zgodzić w kolejnym traktacie wspólnotowym, nie może być mniejszy niż zakres przewidziany w ustawie zasadniczej. Innymi słowy: traktaty mają chronić obywateli niemieckich tak samo albo lepiej niż ustawa zasadnicza, inaczej nie wolno ich ratyfikować. W Polsce mamy teraz odwrotną sytuację: rząd chciałby, aby sędziowie byli mniej niezależni (i bardziej zależni od rządu), a tym samym obywatele chronieni gorzej, niż przewiduje traktat lizboński, który upiera się przy pełnej niezależności sędziów.

Ostatni spór między niemieckim Federalnym Trybunałem Konstytucyjnym a TSUE jeszcze mniej nadaje się do porównania z wnioskami premiera Morawieckiego do naszego TK. Tamten dotyczył sposobu, w jaki TSUE i Europejski Bank Centralny rozważały interesy zainteresowanych stron, kiedy podejmowały decyzje dotyczące zakupu obligacji skarbowych krajów członkowskich. Sędziowie z Karlsruhe stwierdzili, że niedostatecznie uwzględniono interesy oszczędzających (dla których polityka EBC jest niekorzystna). Potem władze banku rozważyły te interesy jeszcze raz i przesłały swoje rozważania do Bundestagu, który je przyjął. Niezadowoleni skarżący ponownie złożyli skargę do Karlsruhe, która została odrzucona, bo FTK uważa sprawę za zamkniętą. EBC polityki nie zmienił, Bundestag nie musiał zmieniać konstytucji i Niemcy nie muszą wystąpić z UE.

Gdyby polski Trybunał Konstytucyjny orzekł wkrótce, że stosowanie wyroków

i odpowiedzi na zapytania prejudycjalne TSUE dotyczące sądownictwa narusza konstytucję, to PiS stanąłby przed kolejnym problemem: albo Polska musiałaby wystąpić z UE, albo trzeba by zmienić konstytucję tak, aby była zgodna z traktatem lizbońskim.

Tak zrobiły władze Niemiec i Polski, kiedy okazało się, że europejski nakaz aresztowania jest sprzeczny z ich konstytucjami, bo przewiduje ekstradycję własnych obywateli za granicę. Ciekawe też, jak PiS mógłby teraz zmienić konstytucję, nie mając nawet zwykłej większości – i to tylko po to, aby rozwiązać problem, który sam stworzył. Jest trzecia opcja, najbardziej prawdopodobna: Komisja Europejska ponownie zaskarży Polskę do TSUE. Na końcu tej drogi stoją nie tylko kary finansowe za każdy dzień naruszenia traktatu w sprawie Izby Dyscyplinarnej oraz tzw. ustawy kagańcowej dyscyplinującej sędziów, ale i dalsze odwlekanie akceptacji polskiego KPO (a więc podstaw finansowych Polskiego Ładu) do czasu, kiedy rząd zniweczy swoją własną reformę.

Trochę śmiesznie brzmią obecne utyskiwania polityków rządowych na „podwójne standardy UE, która kazała zawiesić Izbę Dyscyplinarną w ciągu tylko jednego miesiąca”. Mówią to politycy, którzy z pogwałceniem zasad parlamentaryzmu odbierali opozycji możliwość dyskusji, aby przeprowadzić „projekty poselskie” w ciągu dwóch dni przez Sejm i Senat i skłonić „swojego” prezydenta do jej podpisania w nocy. Jeśli teraz, w obliczu Senatu opanowanego przez opozycję i utraty większości sejmowej, faktycznie potrwa to trochę dłużej, rząd zawsze może uruchomić swoją sprawdzoną niszcarkę: TK nagle uzna, że przepisy o Izbie Dyscyplinarnej oraz ustawa „kagańcowa”, a może nawet ustawa o Krajowej Radzie Sądownictwa są niekonstytucyjne. Niszcarka zadziała szybciej niż parlament, a w obliczu kar liczyć się będzie każdy dzień.

Konflikt będzie się tlił

Już obecnie, zanim zapadnie wyrok TSUE o karach finansowych, nasuwa się wniosek, że na reformie sądownictwa stracili wszyscy: sędziowie, których uwikłała w bieżącą politykę, obywatele, którym utrudnia dostęp do sądów, a nawet rządzący, i to obojętnie, czy za punkt odniesienia bierzemy propagandowe cele re-

Gdyby Trybunał
Konstytucyjny orzekł,
że stosowanie wyroków
TSUE narusza konstytucję,
**PiS stanąłby
przed problemem:**
albo Polska musiałaby
wystąpić z Unii, albo
trzeba by zmienić konstytucję.

formy o „usprawnieniu i odpolitycznieniu” sądownictwa czy ukryte intencje rządzących, którzy chcieli się po prostu pozbyć instytucji ograniczających ich władzę.

To ostatnie się udało, ale w wąskim zakresie, jedynie w przypadku Trybunału Konstytucyjnego, który – porównując jego działalność sprzed i po 2016 r. – niemal przestał działać. Tzw. reforma osiągnęła jedno – i to przetrwa wszystkie próby naprawy i odwrócenia jej skutków – spolaryzowała i upolityczniła sędziów. A sprawy o wyższości konstytucji nad prawem UE mają potencjał, aby ten podział jeszcze pogłębić.

Większości polskich sędziów dotychczas udało się omijać miny, jakie zakładała reforma sądownictwa w ich miejscach pracy. Kiedy się rozstrzyga spór sąsiedzki czy kwestie spadkowe albo sądzi drobnych przestępców, nie trzeba się odwoływać do konstytucji i prawa unijnego. Pewnych spraw jednak nie da się prowadzić w oderwaniu od nich – perypetie wokół frankowiczów pokazują to dobitnie, tak samo jak sprawy dotyczące ekstradycji.

Sprawa kredytów frankowych ciągnie się latami, ocierała się kilkakrotnie o TSUE i ostatnio o Sąd Najwyższy. W sprawach o ekstradycję w ramach Unii od 2018 r. każdy sąd w innym kraju musi sprawdzić, czy Polska jest praworządna, a jeśli nie jest (tak sądy zazwyczaj uznają), czy może to negatywnie wpływać na prawa oskarżonego. Teraz ta logika rozszerzy się na kolejne obszary: czy w ramach wzajemnego uznania wyroków cywilnych w UE sąd francuski może uznać rozwód przed polskim sądem, jeśli orzekł

tam sędzia mianowany przez obsadzoną przez PiS Krajową Radę Sądownictwa?

Z każdą nową falą wniosków o nominację, jakie KRS wysyła do prezydenta, rośnie w systemie liczba sędziów, którzy poza Polską sędziami nie są, i tym samym rośnie prawdopodobieństwo, że wyroki i decyzje polskich sądów nie będą poza Polską uznawane. Czy wtedy oskarżony przed polskim sądem, którego sąd z udziałem nieprawidłowo wybranego sędziego uniewinnił, musi się liczyć z ponownym procesem (i skazaniem) przed sądem zagranicznym?

Zasada *ne bis in idem*, że nie wolno karać dwa razy za to samo, dotyczy tylko procesów przed sądami. Co jednak, jeśli sąd, który uniewinnił oskarżonego, nie był sądem, bo nie był prawidłowo obsadzony? W ten sposób – przy buńczucznych hasłach na temat naszej suwerenności – sądy zagraniczne nie tylko będą decydować o kształcie polskiego sądownictwa, ale nawet o winie lub jej braku Polaków sądzonych przed polskimi sądami.

Kiedyś, na końcu tej drogi, którą PiS zapoczątkował w 2016 r., trzeba będzie sędziów z nieprawego łóża odsunąć od orzekania, poddać weryfikacji albo w dialogu z Komisją Europejską i Komisją Wenecką doprowadzić do tego, aby mogli oni orzekać w sposób niepodważalny. Do tego momentu sądownictwo będzie podzielone na tych, którzy obecny rząd uważają za zagrożenie dla ich statusu, i tych, którzy swój status właśnie PiS zawdzięcza. Zachowanie partyjnej neutralności staje się coraz trudniejsze z każdym kolejnym wyrokiem TSUE i ETPC, a także z każdym kolejnym unikiem rządu i jego Trybunału Konstytucyjnego. Z każdym nowym, prawnie wątpliwym, ale groźnym postępowaniem dyscyplinarnym, które jednocześnie zaciera granice między tymi, którzy są politycznie niewygodni dla rządzących, i tymi, którzy popełnili pospolite przestępstwa.

Instytucjonalnie i prawnie da się ten konflikt zażegnać – w końcu powstanie kompromis, który Bruksela zaakceptuje. Tyle że w sądach, w samorządzie sędziowskim, w pamięci sędziów konflikt będzie się nadal tlił. A owa „nadzwyczajna kasta” będzie tak podzielona, skłócona i upolityczniona, jak nigdy wcześniej. W ten sposób PiS dopiero stworzył problem, który sześć lat temu błędnie rozpoznał i obiecywał rozwiązać.

© KLAUS BACHMANN



Magdalena Moskal z synem Emilem.
Kraków, wrzesień 2021 r.

Emil nie jest inny

MAGDALENA MOSKAL:

Niektóre zdania były dla mnie jak zatruta studnia. „Co za brzydkie dziecko”. Da się zrozumieć, jeśli słyszy się to od czterolatka. Ale od lekarki?

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Kiedy pokochałaś Emila?

MAGDALENA MOSKAL: Najpierw zaczął kochać go mój mąż. W nocy wstawał do Emila, podawał mu butelkę, usypiał. Nie karmiłam go piersią, wiedziałam, że to będzie dla mnie zbyt duże obciążenie.

Chodzi o przywiązanie?

Bałam się, że urodzę człowieka, który spędzi całe swoje dzieciństwo, a może nawet całe krótkie życie, na OIOM-ach, a ja będę do niego przykuta. Jeszcze w ciąży interesowaliśmy się z mężem małopolskimi hospicjami, gdzie ewentualnie Emil mógłby się znaleźć, gdyby potrze-

bował specjalistycznego sprzętu. Wtedy jeszcze nie wiadomo było, jak dalece niekształcone są jego drogi oddechowe i pokarmowe.

Jak się dowiedziałaś, że Emil ma zespół Pfeiffera?

Na połówkowym USG. Znaczący czas: brzuch jest wydatny, bliscy wiedzą o dziecku, ja się cieszę, bo ciąża planowana. A tu okazuje się, że jest wada, o której nie wiemy prawie nic, za wyjątkiem tego, że należy do ciężkich. Mieszkaliśmy wtedy częściowo w Berlinie, mąż tam pracował. W Polsce neurochirurg, który zobaczył Emila na USG, powiedział, że takie

dziecko widział pierwszy raz, kiedy asystował przy operacji w szpitalu Charité. Dodał, że na Zachodzie już się takie dzieci nie rodzą, że niedługo nie będzie na kim ćwiczyć. Mówił to, kiedy leżałam na koźetce z dzieckiem w brzuchu.

Dlatego wróciliście do Polski?

Wróciliśmy, bo starsze dzieci rosły. Nie byłam gotowa na pełnoetatową emigrację, z uczeniem dzieci niemieckiego i angielskiego jednocześnie, tęskniłam, jak by to powiedzieć, za Polską. Mój zawód jest osadzony w języku.

Zespół Pfeiffera to rzadka wada – jedno na sto tysięcy urodzeń. Troszkę więcej rodzi się dzieci z innymi wadami twarzoczaszkowymi, czyli z zespołami Aperta i Crouzona. Tyle że trudno odróżnić je w brzuchu. Na moją prośbę zostały wykonane badania prenatalne, chciałam mieć dokładniejszą wiedzę, gdyż tym schorzeniom często towarzyszy wrodzona niepełnosprawność umysłowa.

To wtedy staje się ważne?

Bardzo. Oglądając w internecie zdjęcia dotkniętych tymi chorobami osób, myślałam sobie, że jeśli Emil ma tak wyglądać, to może lepiej, żeby był niepełnosprawny intelektualnie, że będzie mu łatwiej żyć.

Ale ta niepewność paradoksalnie ułatwiała mi życie. W pewnym momencie zaproponowano mi wykonanie rezonansu magnetycznego, ale gdy tylko wchodziłam do tuby, zaczynałam „pipczeć”. Chociaż zdjęłam zegarek i biżuterię, nadal świeciłam na metalowo. I nie udało się wykonać tego badania. Myślałam więc, że może to jedna wielka pomyłka, bo nie ma ostatecznego potwierdzenia.

Żadnych wahań?

Pytasz o aborcję? Nie myśleliśmy. Ale chcę z całą mocą zaznaczyć, że jestem zwolenniczką prawa kobiety do samostanowienia, bo to ona będzie potem dźwigać wszystkie ciężary. Aborcja pojawiała się jako sugestia ze strony osób myślących według klucza: macie dwójkę zdrowych dzieci, po co sobie robicie kłopot.

Też pytam: po co?

Ciąża była tak duża, że nie wyobrażałam sobie, jak miałabym to teraz wykonać. I mimo wszystko jakoś w Emila wierzyłam. Czytałam dużo książek, żeby zażyć niepokój, chciałam czas ciąży po prostu przetrwać. Na pewien sposób byłam sparaliżowana decyzyjnie. A w szóstym miesiącu złamałam nogę, więc zostałam unieruchomiona dosłownie. Sześć tygodni w gipsie.

A kryzys w związku?

To miejska legenda, że mężczyźni częściej porzucają kobiety i dzieci z niepełnosprawnością. Może powstała po to, by usprawiedliwić tych, którzy rzeczywiście tak robią? Tymczasem z badań wynika, że prawie trzy czwarte ojców zostaje. A jednak usłyszałam od bliskiej i pomocnej osoby: „Dobrze, że z tobą w ogóle został”. To samo wybrzmiewało na szpitalnych korytarzach: „Jaki świetny ojciec!”. A jakoś nikt nie chwali w ten sposób matek. Opowieści o niepełnosprawności mocno wpisują się w patriarchalne tło – pewnie rzeczy można bardziej mężczyznom, a nie wypada kobietom.

Matkom?

A jeszcze bardziej matkom wielodzietnym. A matkom dzieci z niepełnosprawnością nie wolno prawie niczego. Magdalena Jutrzenka prowadzi na Instagramie profil „Lekarka na roślinach”, m.in. dla tych, którzy wpłacili 8 milionów na genetyczny lek dla jej synka Aleksa, który miał zahamować rozwój SMA – rdzeniowego zaniku mięśni. Jutrzence udało się zgromadzić tę sumę, wyjechała do Stanów, lek został podany. Z kolejnego pobytu w Stanach, połączonego z kontrolą zdrowotną, wrzucała zdjęcia do mediów społecznościowych i dostawała uwagi, że matka dziecka z niepełnosprawnością je w restauracji, jakim prawem? Że to przekracza czyjeś normy, zresztą tych obserwatorów, którzy powinni być jej życzliwi.

Słowem: matka dziecka z niepełnosprawnością nie może jadać w restauracji i kupić markowych butów temu dziecku. Ale nie może też pojawić się w Sejmie, co obserwowaliśmy w 2018 r., kiedy kobiety i ich dzieci stamtąd wyrzucano, choć chciały po prostu przypomnieć o swoim istnieniu. W ogóle uważam, że sytuacja osób z niepełnosprawnościami przypomina znaną skądinąd frazę: niech sobie będą, ale niech się nie obnoszą. Kobieta nie może też legalnie pracować, kiedy

pobiera zasiłek dla matki dziecka niepełnosprawnego, nawet gdy dziecko jest w przedszkolu czy w szkole.

Gdy Igor Jarek, będący opiekunem córki z orzeczeniem, otrzymał Nagrodę Krakowa Miasta Literatury UNESCO za powieść „Halny”, pracownicy z MOPS-u upomnieli go, że ma się opiekować dzieckiem, a nie „bawić się w literaturę”.

Ten zasiłek wynosi 1970 zł. Sama pobierałam go przez kilka pandemicznych miesięcy, nie biorę go, odkąd podpisałam umowę na książkę, czyli od sierpnia zeszłego roku, bo nie można wtedy pisać ani prowadzić zajęć, nawet na umowę-zlecenie. A kiedy pracowałam jako rzeczniczka prasowa Bunkra Sztuki, zarabiałam na tyle mało, że pensja nie starczała na nianię, która opiekowała się Emilem. My i tak jesteśmy szczęściarzami, bo poza kosztem aparatu słuchowego za kilka tysięcy złotych, gimnastyka i okazjonalna rehabilitacja Emila kosztuje nas tyle, co przy zdrowych dzieciach. Inaczej będzie np. z operacją Le Fort III, czyli wyciągnięciem środka twarzy za pomocą zewnętrznej aureoli, którą robią dobrze i bezpiecznie w Stanach, ale kosztuje co najmniej 200 tys. zł.

Wiesz, co mnie w tej całej sytuacji jeszcze uderza? Że osoby z niepełnosprawnością służą do gapienia się, do zaspakajania cudzej satysfakcji.

Satysfakcji?

Uspokajamy się, patrząc na cudze nie-szczęście. Głazimy myślą, jak to jest fajnie, że nie nam się to przytrafia. O tym już przecież pisała Susan Sontag. Że to inni, nie my, że to dzieje się kilka rodzin dalej. Świetnie ten podział widać w placówkach oświatowych, nawet tych integracyjnych. W ludziach istnieje naturalna potrzeba gradacji społecznej – że ktoś jest wyżej od nas, ale niżej ktoś inny. W przedszkolu integracyjnym, do którego uczęszcza Emil, jak w każdym innym tego typu miejscu, wyodrębniły się różne grupki. Rok temu zorganizowałam mu urodziny i okazało się, że ludzie wcale nie są zadowoleni z tego, że wszystkich zaprosiłam na wspólne świętowanie. Dlatego zapragnęli podkreślić swoją odrębność. Okazało się, że po imprezie Emila odbyła się *after party* – słowem, na imprezie numer 1 już były plany imprezy numer 2 z samymi zdro-

wymi dziećmi. A one wszystkie o tym wiedziały.

Dzieci nie były w stanie się zintegrować, bo już były podzielone?

Niepełnosprawność jest jak bezrobocie, obniża cię na drabinie społecznej atrakcyjności. Ludzie uważają, że dają ci coś wyjątkowego przez samą swoją obecność.

Aż tak?

Obywatele bez niepełnosprawności z tymi z niepełnosprawnością mają słabo związany interes wspólny. Stąd bierze się powszechna niechęć i wykluczanie osób, które obniżają nasze poczucie fajności. Mało jesteśmy ugruntowani sami w sobie, za mało się akceptujemy, więc jeśli jeszcze ktoś się inny przyklei – taki Emil z niepełnosprawnością – to natychmiast nasze ratingi lecą w dół. A my się przecież chcemy wspinać po drabinie społecznej. Jeśli przy takim powszechnym podejściu przeforsowany zostanie pomysł z integrowaniem w szkołach dzieci o różnym stopniu niepełnosprawności, to zdarzy się katastrofa.

Jako społeczeństwo nie jesteśmy gotowi do wspierania osób z dysfunkcjami?

Od wychowawczyni mojej córki słyszałam, że część rodziców nie zgodziła się na wspieranie dziecka z orzeczeniem o niepełnosprawności: na wspólne siedzenie w ławce itp. Obowiązek opieki spada więc na tych kilka osób, które nie zaprottestowały.

Musimy wszyscy, powtarzam: wszyscy, poczuć się odpowiedzialni za wspólną integrację. To nie jest tak, że osobę z niepełnosprawnością dokleja się na zdjęciu, tylko trzeba codziennie samego siebie pytać, czy zrobiłam wszystko jak należy i czy uczę tego swoich bliskich. I mówię to też jako matka zdrowych dzieci.

Emil wie, że jest inny?

Dawkowaliśmy mu tę wiedzę adekwatnie do jego wieku i możliwości. Pierwsze, co zauważył, to kciuki. Jego rączka nie wygląda dokładnie tak jak rączki innych dzieci. Mówiliśmy, że jego kciuki bardzo kochamy, całowaliśmy je i przytulaliśmy. A potem pokazywaliśmy, że jego kciuki służą do tego samego, co u innych ludzi. Do tego stopnia, że gdybyśmy je zoperowali, wyglądałyby lepiej, lecz straciłyby możliwości chwytne, czyli →

→ przedłożylibyśmy estetykę nad funkcjonalność. To byłby absurd. Emil uwielbia szyć i pleść warkocze – wykonuje mnóstwo manualnych czynności, które są trudne nawet dla dziecka bez niepełnosprawności ruchowej.

Jest też dzieckiem z niedosłuchem, musi mieć aparat słuchowy. Kiedy go ściąga – a nawet z nim – zaczyna się zabawa w głuchy telefon. Czyli Emil coś usłyszysz, ale niedokładnie.

Kiedyś przyszedł z przedszkola i mówi, że uczyli się filizanki. Może coś lepił z gliny? – myślę. Drażę, pytam, jaka to filizanka, okazuje się, że „raz, dwa, trzy będziesz ty”. To nie była filizanka, tylko wyliczanka. A potem ciocia logopedka mówi, żebyśmy ćwiczyli sylaby z „c” i „z”, bo przy niedosłuchu bardzo trudno rozróżnić głoski dźwięczne i bezdźwięczne. Jeśli przebywamy w miejscu publicznym i dochodzi nas zlepek głosów, jak to się zdarza np. w kawiarni, to Emil słyszy ogólny chaos. I ja często służę mu jako tłumaczka. Czyli rozmawiam z kimś piętro wyżej, na poziomie dorosłych, a Emil pyta: a co? A kiedy muszę rozmawiać przy nim z lekarzami, to staram się, by w rozmowie nie padały słowa, które będą wartościujące. Jestem rzeczniczką prasową Emila w sytuacjach społecznych.

A te niepożądane słowa?

Np. lekarka, która mówi do niego „mój fajferek”. Emil nie jest fajferkiem, nikt nie ma prawa tak o nim mówić. Bardzo ważne jest to, co powiedzą osoby, które są pierwsze w kontakcie z matką i z dzieckiem. Spoczywa na nich ogromna odpowiedzialność – nie mogą pozwolić sobie na bezmyślne szafowanie językiem. Niektóre usłyszane zdania były dla mnie jak zatruta studnia. Piłam z niej latami. „Co za brzydkie dziecko”. Jeśli słyszy się to od czterolatka, da się zrozumieć. Ale jeżeli słyszymy to od lekarki genetyczki?

Reagowałaś?

Początkowo zamierałam, nie umiałam wydobyć z siebie słowa. Z czasem zaczęłam reagować, ale to zawsze są koszty emocjonalne, które potem muszę gdzieś nadrobić.

Najważniejszą kwestią w języku, ale nie tylko, jest to, żeby zobaczyć osobę z niepełnosprawnością, żeby jego, jej choroba czy dysfunkcja nie przysłała nam człowieka.

Matki dzieci
z niepełnosprawnością
nie mogą jadać w restauracji
i kupować markowych butów.
I nie mogą pojawić się
w Sejmie. Ich sytuacja
przypomina znaną
skądiną frazę:
**niech sobie będą,
ale niech się nie obnoszą.**

Powiesz teraz, kiedy pokochałaś Emila?

Późno. Przez pierwszy rok byłam w zadaniach, nie wychodziłam praktycznie ze szpitala, Emil miał operację za operacją. Kiedy miał niecały rok, założono mu zastawkę, bo wodogłowie pooperacyjne hamowało go w rozwoju. Wtedy zaczęłam z nim chodzić do Maltańskiego Ośrodka Wczesnej Interwencji, zaoferowano nam zajęcia z logopedką i oligofrenopedagogką, mogliśmy też skorzystać z bezpłatnych zajęć psychologicznych dla rodzeństwa dzieci z niepełnosprawnością. Właśnie u Maltańczyków zobaczyłam, że mam małego chłopczyka, który w zasadzie nie różni się od zdrowych dzieci, tak samo tęskni, cieszy się, smuci, potrzebuje uwagi i miłości. Widziałam, ile troski i ciepła Emil dostaje od ludzi, którzy nie są jego rodzicami. Pani logopedka z identyczną sympatią mówiła o Emilu i swoim dziecku, które było jego rówieśnikiem.

A kiedy pokochały Emila Twoje dzieci?

Agatka nie widzi, że Emil wygląda inaczej, u niej to przyszło naturalnie. U Kuby przebiegało skokowo – być może starszy brat pokochał Emila wtedy, kiedy musiał go bronić.

Miłość przez zadanie?

Kiedyś na urodzinach spotkały się dzieci, które Emila znały, ale były też wśród nich i dzieci, które widziały go po raz pierwszy. Emila przed niektórymi przykrościami broni niedosłuch, ale komentarz „co to za dziecko zombie” usłyszał Kuba. Po godzinie zabawy Kuba przy-

szedł do nas mówiąc, że bardzo by chciał już wracać. Dopiero w domu rozplakał się i zrelacjonował, co się wydarzyło. Najpierw powiedział chłopcu od zombie, że tak się nie mówi, i zapytał: „A jak ty byś się poczuł, gdybyś to usłyszał?”, a dopiero potem dodał, że Emil jest jego bratem. Czyli w pierwszej kolejności odwołał się do umowy społecznej, a dalej do amoralnego familizmu, czyli: „nie krzywdzimy naszych”. Dzieci po reakcji Kuby stanęły murem za Emilem.

Kiedy Emilka pokochali dziadkowie?

Na początku zaoferowali wsparcie techniczne. Jeśli trójka dzieci była w trzech różnych miejscach, a w którymś momencie dwójka z nich w różnych szpitalach, to potrzebowaliśmy pomocy.

A emocje?

Teściowa radzi sobie inaczej niż ja, to znaczy dużo się modli, pokłada w Bogu zaufanie. Ja szukam wsparcia tam, gdzie ono powinno być, czyli na ziemi, w społeczeństwie, w państwie. W pewnym momencie zobaczyła, że Emil nie różni się od innych wnucząt, jego niepełnosprawność nie jest dla nas dotkliwa.

A Twoja mama?

Martwi się. Dużo w życiu przeszła, jeden mój młodszy brat zmarł w czasie porodu. I tak jak nie przegadałyśmy momentu jej utraty, tak nie przegadałyśmy momentu odzyskania przeze mnie Emila.

W sensie?

Wiem, ile mnie kosztowała walka o Emila i ile mogłaby kosztować jego utrata. I próbuję sobie wyobrazić, ile kosztowała mamę utrata dziecka przy porodzie. Dramatyczna, bo wystarczyłaby podjęta w dobrym momencie decyzja o cesarskim cięciu. Nie byłoby sytuacji: dziecko umiera, a nad kobietą, która dostała krwotoku, lekarze krzyczą: „Ratujcie ją, bo jak jeszcze ona nam umrze, to prokurator tu od nas nie wyjdzie”.

Kim są przyjaciele Emila?

Teraz jest nim chłopiec, który ma ciemniejszą karnację. Emil znajduje przyjaciół niekoniecznie wśród miłych białych rodziców i ich dzieci.

A Twoje myślenie o przyszłości Emila?

Kiedyś szukałam hospicjów, potem przedszkoli specjalnych, teraz Emil pójdzie do szkoły Montessori. Wiadomo, że będzie miał nauczyciela wspomagającego, ale nie ma stwierdzonej niepełnosprawności intelektualnej. Interesuje się czytaniem. Jest we mnie przeświadczenie, że jeśli będzie umiał czytać, to nigdy nie będzie do końca samotny.

Czym Emil najbardziej Cię zaskoczył?

Poczuciem godności i chęcią dążenia do samodzielności. Kiedyś w trakcie zabawy Emil mówi, że będzie się musiał od nas wyprowadzić, więc ja nadstawiam ucha, a on dodaje, że tu nie będzie miejsca na jego samochód. Dla niego to naturalne, że będzie prowadził samochód. I w sumie dlaczego by nie: skoro potrafi szyc i pleść warokocze, to na pewno będzie w stanie przerzucać biegi. Dorosłość Emila będzie zależeć od tego, jak pójdą kolejne operacje oraz jak się zmieni nasze społeczeństwo w stosunku do osób z niepełnosprawnościami, albo w ogóle innych niż większość. Zamiast odbudowywać Pałac Saski, można zainwestować w mieszkania wspomagane dla osób z niepełnosprawnościami, jak to się dzieje w Niemczech.

Emil postawił Ci pytanie, na które nie wiedziałas co odpowiedzieć? „Dlaczego ja się taki urodziłem?”.

Co odpowiedziałaś?

Że tak się zdarza. I że my cię bardzo, bardzo kochamy takim, jaki jesteś. Nie wiem, czy to dla niego satysfakcjonująca odpowiedź, ale jedyna, której mogę udzielić.

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA

MAGDALENA MOSKAL (ur. 1979) jest redaktorką i nauczycielką akademicką. Pracowała jako redaktorka w Wydawnictwie Czarne, Wydawnictwie M i w Znaku oraz jako rzeczniczka prasowa w Galerii Sztuki Współczesnej Bunkier Sztuki. Prowadzi zajęcia na edytorstwie UJ. Publikowała w „Dwutygodniku”, „Nowej Europie Wschodniej” i nieregularniku reporterskim „non/fiction”. Jest matką trójki dzieci. Jej książka „Emil i my. Monolog wielodzietnej matki” ukaże się na początku września w Karakterze.



MATERIAŁY PRASOWE SONY MUSIC POLSKA

Michał Limboski, wrzesień 2016 r.

Muzyk to też trochę robotnik

BARTOSZ JÓZEFIAK

Pewnie gdyby Limbo wciąż mieszkał w Warszawie lub Krakowie, to włączyłby mu się „polski mental”. Że jak to: artysta, a z wálkiem malarskim biega?

LIMBOSKI, MUZYK Z OŚMIOMA PŁYTAMI na koncie, wielbiciel dźwięków amerykańskiego Południa, artysta koncertujący po całej Polsce. Gdy jego kariera zaczęła nabierać rozpędu, nagle rozbiła się na dwóch rafach. Pierwsza nazywała się: pandemia. Druga: Prawo i Sprawiedliwość. Dzisiaj Limboski mieszka w Berlinie, dorabia układając tynki na budowach.

Jego historia jak w soczewce skupia los polskiego artysty Anno Domini 2021.

To jest Polska, nie Norwegia

Michał Limboski zaliczył raptem pół roku szkoły muzycznej w Pile, co nie było przeszkodą w rozwijaniu kariery. Studiował wiedzę o teatrze i grę na gitarze jazzowej. Pierwsze płyty wydawał własnym sumptem lub przez ↗

→ awangardowe wytwórnie. Od 12 lat jeździ z koncertami po kraju. Zaliczył chyba wszystkie sytuacje z filmu „Polskie gówno” Tymona Tumańskiego, demaskującego kulisy muzycznej branży. Koncerty organizowane bez dachu nad sceną albo bez ochrony sceny – wszystko w ramach oszczędności. Najtańsze hostele, awarie nagłośnienia, kluby pozbawione garderoby, gdzie bonus dla artystów oznaczał jedną darmową kawę. Wieczne wymówki organizatorów imprez, próbujących zapłacić połowę umówionej stawki. Smutne dyrektorki domów kultury w powiatowych miastach forsujące ambitne muzyczne projekty z cichym przyzwoleniem burmistrza. Energii – i pieniędzy – starczało im zwykle do czerwca, bo kiedy przychodziły Dni Powiatu czy dożynki, władarze nagle objawiali własne muzyczne zainteresowania. Domagali się ściągnięcia do miasta Bajmu lub gwiazd disco polo. W wakacje zazwyczaj kończył się budżet gmin na jakąkolwiek muzyczną działalność do końca roku.

– To jest Polska, nie Norwegia. Pomocy dla artystów nie ma i nigdy nie było. Ale nie chcę tu rysować jakiejś czarnej wizji. Cieszyliśmy się z zespołem na te koncerty po małych miastach, nawet jeśli przychodziła garstka osób. Bo właśnie o koncerty w tym całym biznesie chodzi. O to, żebyś złapał energię z publicznością – opowiada Limboski, dopijając pszeniczne piwo w knajpce na berlińskim Friedrichshain, gdzie rzucił go los.

Tekst za smutny

Lata grania przyniosły Limboskiemu dwie nominacje do Fryderyków i jako taką rozpoznawalność. Podpisał pierwszą umowę z wielką wytwórnią: Sony, której efektem były płyty „W trawie. I inne jeszcze młode” oraz „Poliamoria”, druga nominacja do Fryderyków i koncerty na Męskim Graniu. Pojawiły się też prawdziwe pieniądze, co w tej branży oznacza, że z poziomu minimalnej krajowej wskazujesz na zarobki rzędu 5 do nawet 15 tysięcy miesięcznie.

Limboski był na najlepszej drodze, by zostać Szanowanym Artystą Krakowskim zapraszany do jury konkursów piosenki studenckiej. Albo, co równie prawdopodobne, popularnym muzykiem z repertuarem pop-rock. Takim obrotem spraw zachwycona byłaby na pewno wytwórnia, zwłaszcza po sukcesie piosenki „W trawie”.

– Współpraca z dużą wytwórnią to jest promocja, jakiej nigdy nie dostaniesz w tej małej, niezależnej – mówi Limboski. – Ale to jest też wielka szkoła autocenzury. Wytwórnia musi zaakceptować każdą piosenkę, zanim wyda pieniądze na nagranie. Wysyłasz im demo, a oni odpowiadają: może tekst jakiś inny byś zrobił, bo ten jest za smutny. A artysta, który myśli kategoriami: „czy ta piosenka będzie budzić zainteresowanie wytwórni?”, idzie drogą wprost do piekła. Sony to część ogromnej korporacji medialnej. Ludzie, którzy tam pracują, to menadżerowie, sprzedawcy. Po prostu siedzą tam i próbują tak wydać pieniądze korporacji, żeby móc się z tego potem jakoś wytłumaczyć. Po dwóch płytach wiedziałem już, że trzeba znaleźć jakiś sposób, żeby się z tego kontraktu wykręcić.

Szczęście kolejny raz uśmiechnęło się do Limboskiego. Udało mu się nie tylko zerwać kontrakt z Sony, ale też znaleźć nową wytwórnię: Agencję Muzyczną Polskiego Radia.

– To była najfajniejsza współpraca w moim życiu – opowiada. – W Polskim Radiu pracowali ludzie, którzy znali się na muzyce, a do tego oferowali promocję jak w dużych wytwórniach. Dla mnie i kolegów z branży było tak: jeżeli twoja płyta nie przekona żadnego z dziennikarzy w Trójce, to znaczy, że coś ci nie wyszło. To była wyrocznia.

Efektom współpracy była płyta „Ucieczka Saula”, koncert w legendarnym studiu Trójki, kalendarz gęsto zapisany datami kolejnych koncertów. Kariera nabierała rozpędu.

Koniec wyroczni

15 maja 2020 roku. Pandemia szaleje, a piosenka Kazika „Twój ból jest lepszy niż mój” awansuje na 1 miejsce listy przebojów Trójki tylko po to, by za chwilę zostać zdjętą z listy pod naciskiem kierownictwa radia. Co było dalej, wszyscy wiemy: narodowy skandal, który rozpoczął *exodus* muzyków i dziennikarzy z radiowej Trójki. Mało znaną konsekwencją tej sytuacji było także rozstanie Limboskiego z Polskim Radiem.

Przed tą awanturą przyszłość Limboskiego rysowała się kolorowo. Na horyzoncie majaczyły kolejne płyty i nagrania. Po akcji z Kazikiem Limbo stwierdził, że o żadnej współpracy z Polskim Radiem nie może być mowy. Żadnej nowej płyty już nie wydadzą, żadnego sin-

gla z prośbą o recenzję nie będzie już do Trójki wysyłał. Tym bardziej że prawie żaden ze znanych mu dziennikarzy już tam nie pracował. Zrozumiał, że ważna część polskiego świata muzyki odeszła i już nigdy nie wróci.

Limbo miał do Kazika ogromny sentyment, bo wychowywał się w Wąlczu, czyli mieście, gdzie muzycy nie przyjeżdżali na koncerty. Raz miał przyjechać Stanisław Soyka, ale jednak koncert odwołał, bo się sprzedało 15 biletów. A Kazik przyjeżdżał do pobliskiej Piły co roku, i Michał co roku autobusem na te koncerty jeździł. Dla Limbo Kazik to wzór etyki pracy, a jego piosenka w całej tej aferze była tylko pretekstem. Według Limbo obecna władza od lat niszczyła Trójkę z premedytacją.

– Rozgłosnia z tradycjami, muzyczna opoka małej polskiej klasy średniej została z premedytacją rozmontowana – mówi. – Te kilka procent słuchaczy Trójki to właśnie byli ludzie, którzy przychodzili na moje koncerty. Dziś w Trójce królują kolędy i pieśni żołnierzy wyklętych. Straciliśmy tę wyrocznię. Zarówno jako słuchacze, jak i muzycy. Ja się starzeję, nie mam ochoty tkwić w Polsce i czekać na najgorsze.

Polityka była jednak tylko jedną z plag, która uderzyła w artystów. Prawdziwym armagedonem stała się pandemia.

Stara płyta nikogo nie obchodzi

– Lockdown przyszedł w momencie, gdy byłem zaraz po wydaniu dobrze przyjętej płyty „Ucieczka Saula” – opowiada Limboski. – Mieliśmy koncerty zabukowane na cały sezon. To miał być pierwszy taki sezon dla mojego zespołu, zebranie płać pracy wykonanej przez ostatnie lata. Wszystko ucięło się z dnia na dzień. Tragedia tym większa, że nawet koniec lockdownu nie rozwiązuje problemu. Rynek działa bowiem w ten sposób: artysta wydaje płytę, piosenki grają w radiu, nagle ruszają wywiady, koncerty, telefon nie przestaje dzwonić. Wszyscy czują, że twórca jest na topie. Nagle machina promocyjna staje. Nie da się wrócić do raz przerwanej trasy koncertowej, bo nikogo już nie obchodzi twoja płyta wydana dwa lata temu.

A ponieważ koncerty to od dawna jedyné źródło zarobków dla artystów, Limboski musiał żyć z oszczędności. Gdy tylko lockdown zelżał, ruszył jednak w trasę, ale była to trasa wyjątkowa,

w wersji *light*. Jak najmniej muzyków, nagłośnienia i sprzętu. Tylko on i bluesman Bartek Sosnowski, z którym Limbo nagrał singiel „Odmrożeni”. Panowie grali za niewielkie pieniądze, sami się nagłaśniali.

Przed pandemią koncert wyglądał np. tak: klub czy dom kultury, kilkaset osób kołysze się do rytmu, kilkadziesiąt tańczy i skacze pod sceną. Teraz wygląda to raczej tak: sto osób pousadzanych na leżakach, w odstępach i w maskach. Publiczność jakaś smutna, wycofana, podminowana. Choćby wszyscy się starali, to i tak nie ma prawa się udać.

W latach przed pandemią Limbo żył pomiędzy Krakowem, Warszawą a Berlinem, gdzie mieszkała jego dziewczyna Marcela. Teraz postanowił wybrać jeden kierunek: zachodni.

Momentem granicznym był protest przedsiębiorców przeciwko restrykcjom sanitarnym w Warszawie. Nigdy na strajki nie chodził, protesty to nie jego bajka, tym razem jednak się wybrał, trochę z ciekawości. Zjawili się około 30 protestujących, drugie tyle osób przypadkowych, jak Limbo, spokojnie powiewających chorągiewką, którą ktoś wetknął im w rękę. Kilkudziesięciu dziennikarzy. I tysiące policjantów, Pałac Kultury obstawiony sukami. Policjanci mieli rozkaz, żeby tej garstki protestujących nie dopuścić pod Pałac Prezydencki. Dopiero po dwóch godzinach wypuścili ludzi z kordonu. Limbo wrócił do domu i oznajmił Marceli: to dobry moment, żeby się wynieść.

Tam, gdzie nas nie znają

Marcela z dumą prezentuje dwupiętrowe mieszkanie. Znaleźć taki lokal w dobrej cenie na berlińskim Friedrichshain to dar od losu. Mówimy o mieście, gdzie na lokatorów urząda się wielomiesięczne castingi. Ale Marcela zawsze miała szczęście.

Pochodząca ze Stalowej Woli artystka próbowała sił w krakowskim światku artystycznym. Okazało się, że praca w sektorze „kultura” w Polsce to zadanie ekstremalne. Organizowała koncerty i pokazy filmów, słamy poetyckie, grała w teatrze, menadżerowała po klubach. Zarobki: minimalna krajowa lub umowy śmieciowe, praca w weekendy, popołudniami i nocami, oczywiście bez płatnych nadgodzin. – Niewiele osób chce robić niszowe rzeczy, a jeszcze mniej chce za to

Koncert wygląda teraz tak:

100 osób pousadzanych
na leżakach, w odstępach
i w maskach.

Publiczność wycofana,
podminowana.

Choćby wszyscy się starali,
to i tak nie ma prawa się udać.

płacić. Po paru latach masz wrażenie, że znasz wszystkich i robiłaś już wszystko.

Uciekła do Berlina, gdzie już nie miała problemu z dobrze płatną robotą. Pracowała w szkole aktorskiej i dla festiwalu techno, była menadżerką kultury i aktorką. Robiła zajęcia z teatru ruchu i własny performance, sprzedaje swoje obrazy. Limboski przez kilka lat dojeżdżał do Berlina, potem zamieszkali w Warszawie. Gdy Limbo rzucił hasło emigracji, nie trzeba było jej długo przekonywać. Mieszkanie i nową pracę w Berlinie znalazła w tydzień.

Ale Limboski też miał szczęście, bo w nowym berlińskim gniazdku nie mógł podłączyć kuchenki elektrycznej. Zagałdał do ekipy remontującej mieszkanie po sąsiedzku. Robotnikami byli, rzecz jasna, Polacy. Poprosił, żeby mu tę kuchenkę podłączyli, a przy okazji dopytał, czy nie potrzebują kogoś do roboty. Potrzebowali.

Krzysiek i jego teść Jacek mieszkają w Świecku, zaraz przy granicy z Niemcami. Na budowy w Berlinie dojeżdżają 80 kilometrów w jedną stronę. Do ekipy potrzebowali człowieka od wszystkiego i Limbo został kimś takim. Malowanie, beton, paroizolacja, suche tynki, kopanie rowów – Limbo wszystkim chętnie się zajmował. Dwa dni w tygodniu pracował na budowie, resztę czasu komponował, nagrywał, dawał lekcje muzyki. Chłopaki uratowali mu tyłek, bo bez tej budowlanki z finansami byłoby kruczo. Pracy fizycznej się nie boi, bo muzyk to też trochę robotnik, przecież nanosił się człowiek ciężkich sprzętów w swoim życiu.

Pewnie gdyby Limbo wciąż mieszkał w Warszawie, to włączyłby mu się „polski mental”. Że jak to: artysta, a z wa-

kiem malarskim biega? W Krakowie nigdy nie zagrałby na ulicy. A tutaj nie miałby z tym problemu, bo taki właśnie jest Berlin – miasto bez napinki. Tutaj pozostaje anonimowy. Co mu nie przeszkadza, wyznaje m.in. zasadę: „wolni jesteśmy tylko tam, gdzie nas nie znają”. Dla pisarza, pod którego oknem kopie rów, nie jest żadnym muzykiem, tylko robotnikiem z Polski.

– Jestem fizycznie blisko Polski i mojej publiczności, a mentalnie mam daleko i służy mi to. Mam więcej czasu, założyłem podcast „Nashamannah”, gdzie rozmawiam z ludźmi o muzyce, sztukach walki i duchowości. Ta dramatyczna zmiana w moim życiu miała też pozytywne skutki.

Limbo próbuje przypomnieć sobie, jaki miał plan, przyjeżdżając tutaj. I wychodzi mu, że nie miał żadnego. Po prostu są w życiu sytuacje, gdy jakieś miejsce ci mówi: chodź, będzie fajnie. Możesz tutaj zostać. I tak właśnie Limbo czuje się w Berlinie, a wałek malarski w dłoni w nim czym mu nie przeszkadza.

Polski duch po angielsku

Piątkowy wieczór, Limbo i Marcela dopijają wino na balkonie. Domofoon. Znajomi wpadają bez zapowiedzi. Mieszkają się narodowości: USA, Polska, Czechy, Izrael. Limboski opowiada o nowym projekcie. Nagrywa płytę z Raymondem Thompsonem, soulowym muzykiem z Teksasu, którego poznał w Berlinie. Piszą piosenki po angielsku, choć Limbo chce, żeby czuć w nich było także i polskiego ducha. Nowa płyta będzie gotowa za kilka miesięcy. Wymiesza się w niej soul, gospel i elektronika. Limboski wierzy, że pójda za nią kolejne berlińskie projekty.

Chwilę wcześniej dzwonił budowlanec Krzysiek. Dopytywał, czy Limbo jednak nie wpadnie w przyszłym tygodniu, bo szykuje się grubsza budowa. Limbo grzecznie odmówił. Jeśli nie uderzy kolejny lockdown, zamierza objechać Polskę z koncertami.

Dochodzi druga w nocy, goście zbierają się do wyjścia. Limbo bierze gitarę, Roland z USA łapie swoje skrzypce, reszta odpina rowery od stojaków. Ekipa przenosi się do parku, rozkłada na ławkach i trawnikach. Ulice wciąż są pełne ludzi, Limboski i Roland śpiewają „Cross Roads Blues” Roberta Johnsona, nocni grajkowie wzbudzają ciekawość przechodniów. Grają do rana. © BARTOSZ JÓZEFIAK

WIARA WYCHODZI Z KOŚCIOŁA

PROF. GENEVIÈVE ZUBRZYCKI, SOCJOLOŻKA:

Polacy nowocześni i proeuropejscy będą uważali, że muszą odrzucić jednocześnie ideologię prawicową i Kościół.

PIOTR SIKORA: Czy czeka nas w Polsce upadek katolicyzmu?

GENEVIÈVE ZUBRZYCKI: Trudno powiedzieć, ale historia Québecu może was wiele nauczyć. Do lat 60. XX w. Québec był podobny do Polski pod względem poziomu religijności oraz związku między tożsamością narodową i katolicką. Ale wówczas dokonała się radykalna zmiana.

W socjologii religii Polska, Irlandia i Québec (czy Kanada francuska) są często postrzegane jako wyjątki od reguły sekularyzacji i modernizacji, która dokonała się w XIX i XX w. W Québecu – przez rolę, jaką odgrywał tu katolicyzm w kształtowaniu i zachowaniu tożsamości narodowej po podbiciu kraju przez Brytyjczyków w 1759 r. – Kościół katolicki był niezwykle silny, zarówno gdy chodzi o kontrolowanie życia jednostek, jak i organizacji życia społecznego. Dostarczał właściwie wszystkich dóbr publicznych, kontrolował szpitale, szkoły, uniwersytety.

I co się wydarzyło w latach 60.?

Kilka rzeczy: zmiana polityczna związana ze śmiercią długoletniego i wpływowego premiera, który był blisko związany z Kościołem, a jednocześnie był politykiem skorumpowanym. Przez to Kościół także postrzegano jako skorumpowany. Młodzi aktywiści, głównie lewicowi, podjęli wówczas działania, by budować świeckie pań-

stwo dobrobytu. Udało im się przejąć z rąk Kościoła służbę zdrowia, opiekę społeczną i edukację, a jednocześnie znacjonalizować zasoby naturalne, które dotąd były w posiadaniu federalnego rządu Kanady, oraz wielkie firmy będące własnością biznesu anglo-amerykańskiego.

Co równie ważne, doprowadzili oni do nowego samorozumienia narodu – uwolnionego od mesjanistycznego mitu francuskich Kanadyjczyków, których misją jest ewangelizowanie rdzennych ludów Ameryki i obrona prawdziwej wiary przed herezją protestancką. W tym mesjanistycznym pojmowaniu patronem wszystkich francuskich katolików w Ameryce Północnej był Jan Chrzciciel jako ten, kto zapowiada nadejście cywilizacji. Francuscy Kanadyjczycy uznali cywilizacyjną misję Francji za swoją. Nawet jeśli *de facto* żyli raczej na wsi, byli biedniejsi i gorzej wykształceni niż ich anglosascy sąsiedzi, to – myśleli – ich serce było czystsze i mieli wyższe cele życiowe niż tylko biznes. Ten ostatni zostawiali protestantom i Żydom.

Lewicowy ruch polityczny lat 60. wyzwolił mieszkańców Québecu jednocześnie od dominacji anglofońskich Kanadyjczyków, amerykańskiego biznesu i Kościoła katolickiego, który zresztą był postrzegany jako siła opresyjna, kolaborująca z Brytyjczykami. Gdy dodamy do tego, że był to czas rewolucji seksualnej, emancypacji kobiet



LEISA THOMPSON



i rozwoju ruchów antykolonialnych – sekularyzacyjna zmiana dokonała się bardzo szybko. W 1959 r. do kościoła chodziło ok. 90 proc. Quebecczyków. 10 lat później – kilkanaście procent. Nazwaliśmy ten proces „spokojną rewolucją”.

Z tego, co Pani mówi, wynika, że podobieństwa między Québeciem lat 60. a Polską lat 90. są pozorne.

Tak. Po pierwsze Kościół w Polsce nie był postrzegany jako kolaborant, a raczej jako istotna siła w opozycji przeciw komunistom. Dało mu to ogromną moc symboliczną. Poza tym sam komunizm zsekularyzował instytucje społeczne: edukacja była świecka, kobiety mogły pracować, aborcja była legalna. W momencie zmiany politycznej w Polsce Kościół był po stronie zwycięzców.

Problem w tym, że szybko chciał coś uzyskać: wartości chrześcijańskie w mediach i edukacji, sugestie, na kogo ludzie powinni głosować, domaganie się zakazu aborcji. Kościół powrócił do polityki. I to wywołało reakcję – aprobata dla niego zaczęła się znacznie zmniejszać.

Różnica pomiędzy Polską a Québeciem, która spowolniła sekularyzację waszego kraju, polegała też na tym, że w Polsce dużo więcej ludzi postrzegało swoją wiarę i praktyki religijne jako niezależne od instytucjonalnego, hierarchicznego Kościoła.

Spowolniła, ale nie na długo.

W badaniach Pew Research Center sprzed kilku lat okazało się, że Polska jest najszybciej sekularyzującym się krajem świata.

Dziś Kościół w Polsce powtarza błędy wczesnych lat 90. Od kilku lat wraca zaangażowanie polityczne, z naciskiem na kwestię aborcji. Hierarchowie znów identyfikują się mocno z rządem i – ogólnie – z prawicą. W połączeniu ze zmianą pokoleniową →

GENEVIÈVE ZUBRZYCKI jest socjolożką, profesorką University of Michigan. Zajmuje się związkami między tożsamością religijną a narodową. Wielokrotnie przebywała w Polsce na stażach badawczych. Opublikowała m.in. „Krzyże w Auschwitz. Tożsamość narodowa, nacjonalizm i religia w postkomunistycznej Polsce” (Nomos, Kraków 2014). Niedawno ukazał się polski przekład jej ostatniej książki „Spokojna rewolucja. Tożsamość narodowa, religia i sekularyzm w Québecu” (Nomos, Kraków 2021).

→ skutkuje to nasileniem procesu odchodzenia od Kościoła. Badania socjologiczne pokazują, że dotyczy to zwłaszcza niezdecydowanych: teraz deklarują się jako niewierzący. A także praktykujących nieregularnie: przestają w ogóle praktykować.

Trudno przewidzieć, co się stanie. Ale mam poczucie, że obecna pozycja Kościoła w Polsce zaczyna bardziej niż w latach 90. przypominać tę z Québecu lat 60. i że Polska stoi u progu „spokojnej rewolucji”. Prawo i Sprawiedliwość – z którym Kościół jest bardzo blisko – usiłuje zdominować życie społeczne. Odrzucenie PiS może być odrzuceniem całego „pakietu” – pewnej formy życia społecznego powiązanej z Kościołem i praktykowaniem religii katolickiej. Tworzy się sytuacja, w której ludzie, którzy chcą być Polakami nowoczesnymi, proeuropejskimi, opowiadającymi się za równymi prawami także dla osób LGBT+, będą uważali, że muszą odrzucić jednocześnie ideologię prawnicową i Kościół.

Czy szybkość sekularyzacji Québecu nie pokazuje, że w tamtym czasie katolicyzm już był zsekularyzowany – w tym sensie, że pełnił bardziej rolę społeczną i kulturową niż w istocie religijną?

Tak, religia była zsekularyzowana, bo była polityczna, czy raczej: wykorzystywana politycznie. A także – bo była ściśle powiązana z tożsamością narodową. I tu Polska jest do Québecu podobna. Katolicyzm to sposób bycia Polakiem. Problem w tym, że tak było przez długi czas, ale, jak sądzę, już nie jest.

Pokazuje Pani, że widać to w używanych symbolach – których rolę w procesach społecznych uważa Pani za niezwykle ważną. Do takiego symbolu odnosi się oryginalny tytuł Pani ostatniej książki: „Dekapitacja świętego”.

To nawiązanie do wydarzenia z ostatniej parady ku czci św. Jana Chrzyciela. Jak mówiłam, był on niezwykle ważną postacią dla „przedsekularnej” tożsamości francuskich Kanadyjczyków. Przez sto lat organizowano 24 czerwca doroczne parady ku czci św. Jana, w których wieszono jego figurę. Uczestnictwo w nich było wyrazem narodowo-religijnej tożsamości. Lewicowi aktywiści sprzeciwiali się tym paradom. Podczas ostatniej z nich doszło do zamieszek, figura Jana Chrzyciela

Sekularyzację Polski spowolniło to,

że wielu ludzi postrzegало swoją wiarę i praktyki religijne jako niezależne od instytucjonalnego, hierarchicznego Kościoła.

została wywrócona i odpadła jej głowa. Ze względu na historię Jana z Ewangelii (został ścięty, a jego głowę przyniesiono Herodowi w misie) było to wydarzenie o wielkiej mocy symbolicznej.

Dostrzega Pani wydarzenia o podobnej mocy dzisiaj w Polsce?

Dokładnie takich – nie. Tamto wydarzenie, „dekapitacja świętego”, wiązało się z odrzuceniem ważnych dotąd symboli i stworzeniem dzięki temu nowej tożsamości. W Polsce mamy do czynienia nie z odrzuceniem symboli, lecz z ich przekształceniem – ale również w celu stworzenia nowej tożsamości.

Dobrym przykładem jest „tęczowa Matka Boska”. Nie zostaje „zdekapitowana” i odrzucona. Ale pomalowanie aureoli na tęczowo jest znaczące – wskazuje, że możesz być Polką lub Polakiem, katoliczką lub katolikiem, bez odrzucania wartości ludzi LGBT+. Widzę tu polskich katolików próbujących uwolnić katolicyzm od prawicowej polityki. I uratować główne przesłanie tej religii – miłość. Matka Boża kocha także osoby homoseksualne.

Skąd się zatem biorą społeczne napięcia, a nawet walki związane z takim przekształceniem symboli? Skąd opór kościelnej hierarchii?

To walka o znaczenie używanych kategorii, o to, co to znaczy być katolikiem i Polakiem. Dlatego użyty został obraz Matki Bożej. Ona jest królową Polski, uosobieniem kraju. Dlatego tęczę aureolę domalowano jej, a nie innemu świętemu.

Być może dla instytucji Kościoła byłoby łatwiej, gdyby obraz został „zdekapitowany”, odrzucony. Wtedy by można powiedzieć ludziom, którzy go odrzucili: nie jesteście jednymi z nas. Ale ci ludzie

mówią hierarchom: katolicyzm i polskość nie jest waszą własnością; my też jesteśmy częścią jednego i drugiego. To wyzwanie dla Kościoła, bo oni nie chcą po prostu odrzucić symboli i odejść.

Te napięcia i wysiłki, by przekształcić symbole, świadczą o żywotności wiary. Czy to nie paradoks, że kościelna hierarchia stoi w opozycji do takiego procesu?

Jako socjolożka religii powiedziała-bym: pokazuje to, że Kościół jest ludzką instytucją, tworzoną przez jednostki z ich własnymi interesami, wartościami, polityczną agendą. Nie zaskakuje mnie taka reakcja biskupów.

W latach 90. spotkałam w Polsce księży, którzy uważali, że Kościół nie musi być liczny, jeśli ma to uratować jego istotę – przesłanie miłości. Uznawali, że nie stanie się nic złego, jeśli ludzie, którzy chodzili do kościoła z powodów politycznych, ale nie identyfikowali się z istotą wiary, przestaną przychodzić. Z mojej perspektywy taka sekularyzacja (mniej ludzi w kościołach) nie jest w istocie sekularyzacją, lecz pogłębieniem wiary. Teraz mamy coś przeciwnego, ale analogicznego: jest grupa ludzi, którzy chcą być w Kościele, ale Kościół ich nie chce z obawy przed „zanieczyszczeniem”.

Sekularyzacja to pojęcie wieloznaczne i przez to problematyczne. Może znaczyć albo oddzielenie religii i instytucji publicznych, albo pewien proces wewnętrzny wiary, albo zaprzestanie zewnętrznych religijnych praktyk. Często lepiej używać innych pojęć, bardziej precyzyjnych.

Na przykład?

Niektórzy socjologowie religii wolą mówić o prywatyzacji wiary w opozycji do religii publicznej. Albo o deinstytucjonalizacji – gdy instytucje państwowe zostają oddzielone od wpływu religii. Ja jestem zainteresowana procesem oddzielania narodowej tożsamości (na poziomie indywidualnym i grupowym) od religii. Np. oddzieleniem polskości i katolicyzmu. To obszar nadal mało zbadany. Historycznie te tożsamości się spletały – badam, jak to się działo. Ale też – współcześnie – oddzielają się. Ciekawe, jak to się dzieje.

We współczesnym Québecu – co zauważa Pani w swojej książce – religijne symbole są używane w świeckim sensie, jako wyraz

dziedzictwa kulturowego i tożsamości narodowej. Czy to znaczy, że oddzielenie się nie udało?

To bardziej skomplikowane. W Québecu katolickie symbole są używane, by obronić świecką tożsamość quebecką przed wszystkimi religiami. Zachowanie krzyża w parlamencie (do 2019 r.) miało znaczyć: „Jesteśmy Quebeczycami, kiedyś byliśmy katolikami, ale odrzuciliśmy katolicyzm i możemy używać jego symboli w czysto świeckim sensie, jako znaków naszej tradycji. Bo nie chcemy, by przyszli tu muzułmanie albo sikhowie i zagrozili naszemu świeckiemu społeczeństwu”. Podobnie jest z tradycyjnymi nazwami ulic i miejscowości – niemal każda pochodzi od tego lub innego świętego. Imigranci, którzy są religijni, muszą wiedzieć, że przybywają do kraju, który kiedyś był katolicki, a teraz jest świecki.

Czyli chodzi tu o instrumentalne, świeckie wykorzystanie tradycji religijnej. W Polsce też istnieje takie zjawisko – środowiska nacjonalistyczne wykorzystują symbolikę religijną w swoich marszach do celów, które *de facto* są sprzeczne z ideami Ewangelii, np. do wzniesienia niechęci wobec uchodźców.

W obu przypadkach religia jest instrumentalizowana dla celów politycznych. Jest jednak znacząca różnica. W Québecu robi się to jawnie w imię sekularyzmu. To bardziej przypomina procesy, które mają miejsce we Francji. U was marsze nacjonalistów mają na celu obronę tożsamości Polski jako kraju katolickiego. We Francji i w Québecu, gdy broni się tradycji katolickiej, to wyłącznie jako historycznego dziedzictwa – nie jako aspektu tego, kim jesteśmy teraz. Ponieważ teraz jesteśmy (podkreśla się to wyraźnie) zsekularyzowani. Polscy nacjonaliści bronią wizji Polaka-katolika. Choć faktycznie nie ma to wiele wspólnego z religią jako taką.

Czy da się jednak odseparować dziedzictwo przeszłości od tego, kim jesteśmy dzisiaj? Przecież dziedzictwo nas kształtuje. Nie sądzę, by projekt użycia religii w czysto świeckim sensie mógł się powieść.

Dlatego w Québecu istnieją w tym względzie spore napięcia. Wielu krytykuje próby wykorzystania doświadczenia własnej – kiedyś – religii przeciwko

Trwa walka o to, co to znaczy być katolikiem

i Polakiem. Użyto w niej obrazu Maryi, królowej Polski, jej wcielenia. Dlatego tęczową aureolę domalowano jej, a nie innemu świętemu.

wyznawcom innych tradycji religijnych. Lecz wielu obecnych polityków i działaczy społecznych wyrosło ze „spokojnej rewolucji” i napływ imigrantów muzułmańskich przypomina im to, co oni sami odrzucili w latach 60. Najwyraźniej widać to w pokoleniu kobiet po sześćdziesiątce, feministek, które podjęły wysiłek emancypacji z patriarchalnej kultury katolickiej – gdy widzą przyjeżdżające kobiety z zasłoniętymi twarzami, nie mogą tego zaakceptować.

Czymś innym jest to, że pewne środowiska w Polsce chcą zatrzymać muzułmańskich imigrantów za polską granicą, w obawie, że zagrozą oni katolicyzmowi.

Może nie tylko termin „sekularyzacja” jest zbyt szeroki i niejasny, lecz także pojęcie „religia”? Np. polityczne formy katolicyzmu pozbawione tego, co u źródła było istotą chrześcijaństwa, są religią, ale w sensie innym niż ewangeliczny.

W Stanach Zjednoczonych trwa żywa debata na ten temat. Niektórzy podkreślają, że islamiści nie są prawdziwymi muzułmanami. Inni odpowiadają, że religia to nie tylko teksty źródłowe, ale także ludzie i to, co robią w imię tej religii. Myślę, że ta debata nie ma końca.

W jednym z ważniejszych swoich znaczeń religia jest tym, co daje ostateczny sens życia i orientację życiową. Są filozofowie, którzy przekonują, że ludzie potrzebują czegoś takiego i że religia – w tym sensie tego słowa – istnieje nawet tam, gdzie oficjalne religie ustępują. Czy da się dostrzec coś takiego w Québecu?

Myślę, że za coś takiego można uznać wartość równości, a także uznanie dla do-

bra wspólnego. To są oczywiście wartości chrześcijańskie – więc w tym sensie Québec pozostaje wierny swemu dziedzictwu. Paradoksalnie, „spokojna rewolucja” miała swoje źródła w personalizmie chrześcijańskim lat 40. i tamtym pragnieniu stworzenia bardziej sprawiedliwego, otwartego, egalitarnego społeczeństwa. Neoliberalizm jest w Québecu dużo słabszy niż w innych częściach Kanady. To z Québecu rozpowszechniło się w Kanadzie uznanie dla życia rodzinnego czy praw mniejszości seksualnych.

Jak do tej sytuacji odnoszą się nieliczni praktykujący katolicy?

Są niewidoczni. Nie występują publicznie jako katolicy. Jest to o tyle ciekawe, że większość zasad tzw. „rozsądnego dostosowania”, czyli takiego ułożenia reguł społecznych, które uwzględnia sposób życia wyznawców różnych religii, ma na względzie katolików.

Myślę, że większość postaw ksenofobicznych i antyimigranckich w Polsce ma u źródeł lęk, że takie rozsądne dostosowanie jest niemożliwe.

W Québecu utworzono komisję, która miała zbadać wszelkie przypadki problemów z integracją imigrantów. Podróżowała po kraju, spotykała się i rozmawiała. Okazało się, że większość konfliktowych przypadków dotyczy konkretnych ludzi i najlepiej je rozwiązywać na lokalnym poziomie – w konkretnej klasie, przy udziale nauczyciela, ucznia i rodziców, albo w miejscu pracy. I większość tych spraw daje się dość łatwo rozwiązać. Trudniejsze (choć mniej liczne) są konflikty w przestrzeni publicznej – np. na pływalniach. Okazało się, że w tych sprawach bardzo pożyteczne są jasne wytyczne ze strony władz. Jeśli takie konflikty nie są wykorzystywane w grze politycznej, dają się rozwiązać.

Imigranci są znacznie mniej groźni, niż ludzie sobie wyobrażają. Przyjeżdżają do nowego kraju, by polepszyć los swój i swoich dzieci. Nie mają zamiaru nawracać na swoją wiarę i obalać zastanego porządku. Tam, gdzie są przyjmowani z otwartością, jak w Kanadzie, gdzie nie są zamykani w gettach, odwzajemniają to i zasadniczo się integrują. Tak naprawdę nie ma się czego bać. Zwłaszcza gdy jest się społeczeństwem o tak silnej tożsamości jak wasze.

©P Rozmawiał PIOTR SIKORA

Cichy raban

MARIUSZ SEPIOŁO

Mimo że oponenci wyzywają ich od „zielonych nazistów”, coraz więcej polskich katolików chce chronić planetę przed ekologiczną katastrofą. Zaczynają skromnie – od parafialnych ogrodów.

TRZEBA STRZEC ZIEMI, ABY ZGODNIE z wolą Boga mogła nadal być źródłem życia dla całej rodziny ludzkiej” – napisał na Twitterze papież Franciszek w kwietniu 2015 r. Miesiąc później rozwinął tę myśl w encyklice „Laudato si”. Mówił tam nie o „czynieniu sobie ziemi poddaną”, lecz o jej strzeżeniu, objęciu troską i ochroną, tak jak chroni się i troszczy o życie ludzkie. Także wielu polskim księżom nauka Franciszka stała ością w gardle.

Sześć lat po publikacji encykliki oczywiste jest, że globalne ocieplenie i degradacja środowiska to nie mrzonki, ale wyzwania i problemy, których skutki dotykają coraz częściej zwykłych ludzi. I choć papieskie tezy wciąż z trudem przenikają do głów i serc hierarchów, to w parafialnych „dołach” widać zainteresowanie tematem. Rośnie grupa katolików świadomych zagrożeń i próbujących im przeciwdziałać mimo wszystko.

Owady i ludzie

Tak się dzieje w parafii św. Michała Archaniola w Jastrowiu w Wielkopolsce. Od sześciu lat kieruje nią ks. Andrzej Wachowicz, żwawy, nieustannie zajęty mężczyzna, który niewiele ponad rok temu zainteresował się pszczelarstwem. W ogrodzie za plebanią postawił kilka uli. Zaczął studiować sztukę pozyskiwania miodu i innych cennych owoców pracy pszczół.

Siadamy w ogrodzie, do kawy dodajemy miodu rzepakowego z parafialnej pasieki, a proboszcz przestrzega: – Naukowcy mówią, że jeśli wyginą pszczoły, ludzkość przestanie istnieć.

Pszczoły to tylko początek. Ponad rok temu ks. Wachowicz usłyszał o inspiro-

wanych encykliką grantach z Caritasu, które wspierały m.in. tworzenie parafialnych ogrodów. Wysłał wniosek i uzyskał dotację. Dzięki niej ożywił ogród, w którym dziś organizuje ekologiczne zajęcia dla dzieci, młodzieży i dorosłych.

Ogród to niemal zamknięty, samowystarczalny ekosystem. Woda deszczowa gromadzona w dwóch zbiornikach nawadnia kwiaty, drzewa owocowe, warzywa i krzewy. Rośliny dobrano takie, żeby pszczoły mogły czerpać z nich pyłki. Są także kabaczki, pomidory, ogórki, słoneczniki. W pobliżu plebanii trzeba dbać o estetykę kwiatów, ale dalej swobodnie i niemal bez ludzkiej ingerencji (a także bez sztucznych nawozów i oprysków) rosną warzywa i owoce: jabłka, maliny, jeżyny. Rosną bujnie, na naturalnym kompoście z resztek i odpadów. W ten sposób ekoobiegi się zamyka.

Po pracy można usiąść na ławce w ogrodzie św. Ambrożego, który wspólnie zbudowali parafianie: zjeść kiełbasę z grilla albo upiec ją nad ogniskiem w pobliskim minilasku. Dzieci przychodzą tu pograć w piłkę – obok wolno rosnącego

zagajnika jest boisko. No i próbują miodu prosto ze słoika.

Bo dla proboszcza najważniejszy element tego ekologicznego łańcucha to ludzie: – W pracach ogrodniczych pomagają parafianie. Przychodzą z własnej woli, widać, że to dla nich ważne – tłumaczy ks. Wachowicz.

W utrzymaniu ogrodu, zagajnika, lasu i pasieki pomaga pani Halina. Mówi, że pracuje, bo lubi. Ale też czuje się przez to potrzebna, doceniona. – Mąż nie żyje, dzieci odchowane, wyjechały do szkół i do pracy – opowiada. – Czasem do nich jadę i wtedy też pomagam w ogrodach. Bo każdy ma przy domu warzywa i owoce. Tak ich wychowałam.

Umocnienie ducha

Ze swoją ekoparafią ks. Wachowicz był pionierem w Polsce. Ale dziś już nie jest. Program Caritas, dofinansowany ze środków Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, wystartował w 2019 r. W jego ramach można dostać wsparcie na ekologiczne inwestycje i projekty edukacyjne.





MARIUSZ SEPIŃSKI

*Ks. Andrzej Wachowicz
z parafii św. Michała Archanioła w Jastrowiu
prowadzi pasiekę w parafialnym ogrodzie.
1 września 2021 r.*

Wezwania, by „czynić sobie ziemię poddaną” nie bierze dosłownie. – Wszystko w życiu trzeba robić rozumnie. Tak też należy korzystać z zasobów, jakie daje ziemia. Nie możemy jej bezmyślnie eksploatować, wykorzystywać do własnych celów bez względu na konsekwencje – podkreśla ks. Dobroński.

Inne odcienie zieleni

Katolików wrażliwych na kwestię ochrony środowiska reprezentuje też o. Stanisław Jaromi, franciszkanin, przewodniczący Ruchu Ekologicznego św. Franciszka z Asyżu (REFA). Jednym z projektów organizacji były „Ogrody Świętego Franciszka”. Celem było tworzenie naturalnie rozwijających się zagajników, choć niekoniecznie na terenie wokół kościołów czy plebanii, za to często we współpracy z lokalnymi organizacjami pozarządowymi. REFA prowadziła także kampanię edukacyjną pod hasłem „Czyńcie sobie ziemię ukochaną!”, przypominając o konieczności walki ze smogiem i krytykowała offroadowców, niszczących lasy i rozjeżdżających polne drogi użytkowników motocykli i quadów. Promowała też ideę „Czasu dla Stworzenia”, czyli miesiąca modlitw w intencji „świata stworzonego”. Wydarzeniu patronował abp Wojciech Polak.

Od roku działa program „Zielone Parafie”, stworzony przez polski oddział Światowego Ruchu Katolików na rzecz Środowiska (The Global Catholic Climate Movement – GCCM). W Polsce obecny jest od trzech lat. Promuje tzw. przesłanie „Laudato si”, czyli życie według zasad papieskiej encykliki. Piotr Abramczyk, lider polskiego oddziału GCCM, uważa, że „polski Kościół się zieleni”.

Program działa od ponad roku. – Obecnie uczestniczy w nim 112 parafii, jeszcze nie we wszystkich diecezjach, ale we wszystkich województwach – wylicza Magdalena Kadziak z polskiego oddziału Światowego Ruchu Katolików na rzecz Środowiska.

„Zielone Parafie” promują różne proekologiczne inwestycje w pobliżu kościoła lub plebanii: zbiorniki na deszczówkę, czujniki smogu, kompostow-

niki, stacje rowerowe, nasadzenia drzew, aż po wymianę pieców i fotowoltaikę. Wspierane są także działania edukacyjne, warsztaty i spotkania dla dzieci i młodzieży.

W zdecydowanej większości to parafianie zgłaszają się do udziału w programie. Ale są też księża. – Ci, którzy już biorą udział w programie, są do niego bardzo entuzjastycznie nastawieni – mówi Magdalena Kadziak. – Co o tym decyduje? Moim zdaniem przede wszystkim osobiste doświadczenie, praktyka. Jeśli dany ksiądz przekona się, że zanieczyszczenie środowiska czy globalne ocieplenie może być również lokalnym problemem, jest bardziej skłonny się zaangażować. W jednej z parafii proboszcz zauważył problem palenia śmieciami w piecu. W końcu postanowił o tym powiedzieć podczas kazania.

Udział w działaniach proekologicznych może mieć też wymiar pastoralny. – To temat ciekawy szczególnie dla młodych osób, a więc dla księży może być to droga dotarcia do nich, przestrzeń komunikacji, która ostatecznie zbliży ludzi do Kościoła – uważa Magdalena Kadziak.

Nie da się

Oddolny entuzjazm jednak nie zawsze dociera do kościelnej „góry”. W kwestii ekologii polski Kościół podzielony jest tak samo jak w innych. Z jednej strony abp Stanisław Gądecki wzywa do „ekologicznego nawrócenia” (na stulecie Lasów Państwowych), a Caritas z udziałem środowisk NFOŚiGW finansuje proekologiczne inwestycje. W 2019 r. z okazji niedzieli miłosierdzia episkopat ogłosił list, w którym poparł przeciwdziałanie marnowaniu żywności, ograniczanie zużycia plastiku, szerzenie wiedzy o zmianach klimatu i promowanie odnawialnych źródeł energii. Prymas Wojciech Polak powiedział w rozmowie z magazynem „Drzewo Franciszka”: „Kościół nie jest przeciwko ekologii. Mogę z pełną świadomością powiedzieć, że Kościół był, jest i zawsze będzie proekologiczny. Czym bowiem jest ekologia, jeśli nie troską o dobro wspólne, na straży którego Kościół stoi od samego jego zarania?”.

Z drugiej strony środowisko katolików podejmujących ekologiczne wyzwania ciągle jest słabo słyszalne. W tej kwestii niewiele zmieniło się od „ekologicznego rachunku sumienia”, ułożonego

– Znajdujemy się na granicy Puszczy Knyszyńskiej, parafia jest w większości wiejska. I choć coraz więcej osób jeździ do pracy w Białymstoku, to dla nas przywiązanie do środowiska naturalnego jest czymś naturalnym – mówi ks. Aleksander Dobroński, proboszcz w Kozinicach koło Białegostoku, jeden z beneficjentów programu.

W parafii zrealizowano projekt „Z miłości do natury”. Posadzono rośliny, krzewy i byliny, zamontowano system odprowadzania i retencjonowania deszczówki, zbudowano system nawadniania. Oprócz tego dzieci szkolne poznały encyklikę papieską i dowiedziały się, jak być „eko” na co dzień.

– Była to inicjatywa dwóch parafianek, które dowiedziały się o programie Caritas i same napisały wniosek. Moje zadania polegały na koordynowaniu – opowiada proboszcz. Zapewnia, że nie bał się w parafii wprowadzać nowinek, podejmować tematu niezbyt często poruszanego w polskich kościołach: – Dbanie o najbliższe otoczenie umacnia ducha i rozwija człowieka na różnych polach.

→ w latach 80. przez abp. Henryka Muszyńskiego i bp. Romana Andrzejewskiego. Krytykujący destrukcyjną działalność człowieka wobec natury ks. Wacław Hryniewicz był obiektem obelg i drwin. O. Jaromi – jak mówił w rozmowie z „Gazetą Radomszczańską” – często od decydentów słyszy: „Nie da się”.

Głośni są za to dostojnicy kościoła, którzy mówią o „ideologii ekologizmu” i porównują ją z innym „wrogiem” stojącym u bram chrześcijańskiej cywilizacji, czyli „tęczową zarazą”. Abp Marek Jędraszewski „ekologizm” uważa za „niebezpieczne zjawisko”. „Adam jest kimś, kto nazywa zwierzęta, a więc nad nimi panuje i nie znajduje wśród nich kogoś, kto byłby partnerem dla jego życia, dlatego otrzymuje małżonkę. To jest wizja człowieka i świata, którą głosi chrześcijaństwo i która jest także wizją głęboko zakorzenioną w judaizmie” – mówił w rozmowie z Telewizją Republika. Zgodził się z nim m.in. ks. Andrzej Maryniarczyk z KUL, który na antenie Radia Maryja wywodził, że „ideologia ekologizmu” głosząca, że „świat jest ateistyczny, bez Boga”, „wsparta jest ewolucjonizmem, który także był propagowany przez marksizm”.

Jeszcze dalej idzie ks. Tadeusz Guz z KUL, dla którego ekologia to nie odrębny

Środowisko
katolików podejmujących
ekologiczne wyzwania
ciągle jest słabo słyszalne.
Nieduże inwestycje
w infrastrukturę to za mało,
by skutecznie wpływać
na powszechną świadomość.

dział nauki, ale „ateistyczny, materialistyczny i nihilistyczny neokomunizm”, którego celem jest „radykalna negacja Boga jako stwórcy Polski, Polaków i Polek, zwierząt i roślin”. Podczas konferencji w Lublinie, współorganizowanej przez o. Tadeusza Rydzika, mówił: „Ta ideologia jest odmianą zielonego nazizmu”.

Pszczółka umarła

Nieduże, często odosobnione inwestycje w infrastrukturę to wciąż za mało, by skutecznie wpływać na powszechną świadomość. – W konserwatywnej społeczności bardzo trudno mówić o proble-

mach o charakterze globalnym – przyznaje Magdalena Kadziak. – Nie wszystkim łatwo przychodzi pogodzenie nauki z wiarą, czego dowodem jest nie tylko podejście do ekologii, ale choćby spora niechęć do szczepień.

W Polsce ekologia zbyt często bywa polityczną pałką w rękach zwalczających się obozów. Dyskusja o globalnym ociepleniu automatycznie staje się zakładniczką politycznej wojenki. – To na pewno nie pomaga w budowaniu świadomości co do zmian klimatycznych. Zdążyliśmy się przekonać, że Kościół ma lewą i prawą nawę – mówi Magdalena Kadziak. A jeśli trudno przebić szklany sufit, pozostaje działać indywidualnie, lokalnie, po cichu, u podstaw. „Robić raban” – jak chciał papież Franciszek – a jednocześnie nie wzbudzać hałasu.

Dlatego jednym z najważniejszych elementów ekoparafii ks. Wachowicza jest edukacja dzieci. – Kiedy słyszą, że idą do ogrodu na plebanie, to podskakują z radości – mówi proboszcz. – Edukacja dzieci to jedno. Drugie to świadomość, jaką każde z nich zanoszą do domu, do rodziców, krewnych, znajomych. Uczą się uważności, wrażliwości, cierpliwości do innego stworzenia. Wiedzą, że każde życie jest cenne i o każde trzeba dbać. Jestem pewien, że potem to zapracentuje. Wyrosną z nich mądrzy, wrażliwi ludzie. Za nic w świecie nie powiedzą, że „pszczoła zdechła”. Powiedzą: „umarła”.

Pytam księdza, czego sam nauczył się od pszczoł. Chwilę milczy. – Pracowitości i cierpliwości – mówi. – Pszczoły są swojej pracy oddane bez reszty. Żyją według stałego rytmu i cyklu, według ściśle określonego podziału ról. Po czterech tygodniach umierają z przepracowania. Dla mnie to jak historia Jezusa, który poświęcił się dla nas. A poza tym pszczoły są oddane królowej, matce. Tak rozumiem sens kapłaństwa: totalne oddanie, poświęcenie aż do końca dla Jezusa i Kościoła.

Nauczył się też, że planeta jest jedna. Żeby służyła wszystkim, potrzebna jest równowaga. – Żeby pszczoły mogły żyć i pracować, musimy oddać im dokładnie tyle samo, ile zabraliśmy – tłumaczy. – Jeśli wybierzemy kilogram miodu, musimy dać im kilogram pszczelego pokarmu. To prosta zasada, która pokazuje ważną rzecz. Że nie jesteśmy na tym świecie sami. © MARIUSZ SEPIOŁO

Starosta Wrzesiński informuje, że w siedzibie Starostwa Powiatowego we Wrześni przy ul. Chopina 10, 62-300 Września, w terminie 30 września do 20 października 2021 r. w godzinach 8.00–14.00 zostanie wyłożony do wglądu zainteresowanych projekt operatu opisowo-kartograficznego dotyczącego realizacji zadania pn. „Modernizacja ewidencji gruntów i budynków w zakresie założenia kartotek budynków i lokali w obrębach ewidencyjnych: Białe Piątkowo, Biechowo, Bugaj, Chlebowo, Chrustowo, Czeszewo, Gorzyce, Kębłowo, Kozubiec, Książno, Lipie, Mikuszewo, Nowa Wieś Podgórna, Orzechowo, Pałczyn, Rudki, Skotniki, Szczodrzejewo, położonych w Gminie Miłosław”.

Każdy, czyjego interesu prawnego dotyczą dane ujawnione w projekcie operatu opisowo-kartograficznego, ma prawo zapoznać się w podanym terminie z wyżej wymienioną dokumentacją, uzyskać niezbędne wyjaśnienia i zgłosić do projektu ewentualne uwagi, które zostaną odnotowane w protokole.

Skorzystanie z tego prawa leży w interesie zainteresowanych i ma na celu między innymi ujawnienie ewentualnych błędów i nieprawidłowości na tym etapie postępowania. Niestawienie się w terminie i miejscu określonym w niniejszej informacji nie stanowi przeszkody do kontynuowania procesu modernizacji, zatwierdzenia operatu opisowo-kartograficznego i ujawnienia nowych danych w ewidencji gruntów i budynków.

Uwaga: Należy zabrać ze sobą dokument tożsamości.

Nap podstawie ustaw z dnia 17 maja 1989 r. – Prawo geodezyjne i kartograficzne (Dz. U. 2020.2052 t.j.) oraz przepisów rozporządzenia Ministra Rozwoju Regionalnego i Budownictwa z dnia 29 marca 2001 r. w sprawie ewidencji gruntów i budynków (Dz. U. 2019.393 t.j.).

Na cóż więc Prawo

PAWEŁ RAKOWSKI SJ

Mało prawdopodobne, by papież zarządził odwrót ze ścieżki, na którą Kościół wszedł na Soborze. Ale jego niedawna wypowiedź na temat judaizmu faktycznie może niepokoić.

FRANCISZEK PODCZAS AUDIENCJI GENERALNEJ 11 sierpnia wygłosił kolejną katechezę z cyklu o Liście do Galatów. Wyszedł od pytania św. Pawła: „Na cóż więc Prawo?” (Ga 3, 19). Następnie próbował zdefiniować „Prawo”, odnosząc je do Prawa Mojżeszowego, dziesięciorga przykazań lub innego zbioru przepisów i zasad. Prawo jest, według papieża, przeciwstawione „nowości życia chrześcijańskiego, ożywianego przez Ducha Świętego”. Jedną z konkluzji katechezy brzmiała: „Prawo jednak nie daje życia, nie oferuje wypełnienia obietnicy, ponieważ nie jest w stanie jej urzeczywistnić”.

Słowa te stały się zarzewiem sporu ze stroną żydowską – bo Prawo pisane wielką literą (a tak było zarówno w oryginalnym, włoskim tekście katechezy, jak i w tłumaczeniu na polski) odnosi się do żydowskiej Tory. Rabin Rasson Arosi w imieniu Wielkiego Rabinatu Izraela poprosił kard. Kurta Kocha (stojącego na czele watykańskiej Komisji ds. Kontaktów Religijnych z Judaizmem) o wyjaśnienia. W jego liście padają zarzuty, że katecheza „nie tylko przedstawia wiarę chrześcijańską jako zastąpienie Tory, ale stwierdza też, że ta druga nie daje już życia, co [z kolei] zakłada, że żydowska praktyka religijna w naszych czasach stała się zbędna”. Rabin dodał, że „jest to w istocie integralna część »nauczania pogardy« wobec Żydów i judaizmu, które – jak sądziliśmy – Kościół już całkowicie odrzucił”.

Z zarzutami polemizował na łamach „L'Osservatore Romano” abp Victor Manuel Fernández z Argentyny, stwierdzając, że „słowa papieża, zaczerpnięte



FRANCO ORIGLIA / GETTY IMAGES

Franciszek podczas spotkania z przedstawicielami wspólnoty żydowskiej w synagodze rzymskiej, 17 stycznia 2016 r.

ze św. Pawła, odzwierciedlają głębokie przekonania niektórych tradycji żydowskich”. Potem opublikowano odpowiedź kierowanej przez kard. Kocha Komisji: zacytowano słowa Franciszka z 2015 r.: „wyznanie chrześcijańskie znajduje swoją jedność w Chrystusie; judaizm znajduje swoją jedność w Torze”. List ten został odczytany przez rabinów jako znak pojednania.

Ale pytanie o relacje z Żydami nie jest jedynym, które można sobie postawić po wysłuchaniu katechezy Franciszka.

Powrót do starego

Sformułowania z papieskiej wypowiedzi faktycznie przypominają język przedsoborowego nauczania o Żydach, a reakcja strony żydowskiej jest uprawniona, ponieważ stoi za nią bolesna pamięć o przemocy wobec wspólnot żydowskich na przestrzeni wielu wieków – uzasadnianą kościelnym nauczaniem o Izraelu. Teologia ta, w wielkim skrócie, polegała na obarczeniu Żydów zbiorową odpowiedzialnością za zabicie Jezusa, czego konsekwencją miało być porzucenie Izraela przez Boga i zastąpienie go nowym ludem, Kościołem. Stare Przymierze miało być zastąpione Nowym, a karą za

niewierność było zniszczenie przez Rzymian Świątyni Jerozolimskiej.

Teologię tę odrzucił jednak Sobór Watykański II. A sformułowanie, które padło w katechezie z 11 sierpnia, stoi w opozycji do soborowej deklaracji „Nostra aetate”. Stąd silne emocje wokół słów papieża.

Trudno uwierzyć, że Franciszek, wychylony na relacje ze wspólnotami żydowskimi, jak i w ogóle wyznawcami innych religii, mógł utożsamiać się z takim właśnie rozumieniem słów swojej katechezy. Jest też mało prawdopodobne, żeby miała ona oznaczać odwrót ze ścieżki, na którą Kościół wszedł na Soborze. Wyrazem tego jest jasna odpowiedź watykańskiej Komisji, jak i noworoczne życzenia (Rosz Haszana) Franciszka skierowane 6 września do Żydów, „którzy wiernie postępują w Prawie Pańskim”.

Tora i Ewangelia

Audiencja z 11 sierpnia powinna nas jednak niepokoić. Fakt, że stara teologia z taką łatwością przebiła się do papieskiej katechezy, znaczy, że w Kościele ciągle ma się ona dobrze. To sygnał ostrzegawczy, że lekcja budowania relacji chrześcijańsko-żydowskich na nowej, soborowej teologii nie została jeszcze przyswojona ➔

→ przez wspólnotę katolicką. Cierpi na tym teologia, która stara się odpowiedzieć na podstawowe pytanie o to, jak rozumiemy Boga, w którego wierzymy. Problem pogłębiają powierzchowna znajomość Pisma Świętego i kłopot z używaniem właściwej terminologii.

Wystarczy prześledzić homilie lub katechezy, w których poruszany jest temat „prawa”, aby uzmysłwić sobie, że w dużej mierze mamy do czynienia z wąskim rozumieniem tego terminu. Najczęściej jest sprowadzony do legislacyjnego pojęcia tego, co wolno, a czego nie wolno. Tymczasem Prawo, pisane wielką literą, w przypadku judaizmu odnosi się zawsze do Tory. To tłumaczenie jest niefortunne, ponieważ może wprowadzać w błąd czytelników, którzy nie zdają sobie sprawy, czym Tora jest dla Żydów. Wydaje się, że rozwiązaniem mogłoby być używanie tu słowa „Tora”. Oczywiście zdefiniowanie Tory nie jest proste: w wąskim rozumieniu może oznaczać Pięcioksiąg Mojżesza, w najszerszym – całą spuściznę religijną, łącznie z tradycją ustną. To depozyt wiary, objawienie, nauczanie, które stoi w centrum judaizmu. Choć trzeba być ostrożnym z analogią, to jednak podobne trudności znajdujemy, kiedy chcemy zdefiniować Ewangelię – może chodzić o tekst napisany przez jednego z czterech ewangelistów, ale też o to, co uwidacznia się w życiu każdego chrześcijanina, o świadectwo wiary.

A co katolicyk kaźnodziejie rozumieją, kiedy przeciwstawiają sobie „Prawo” (lub „prawo”) i „łaskę”? Nadzieja na to,

by żyć jedynie dzięki łasce Ducha, bez przykazań, płynęła z ogromnych oczekiwania pierwszych chrześcijan wobec chrztu oraz otrzymanego w nim Ducha Świętego. Tymczasem okazało się, że wśród ochrzczonych nadal miał miejsce grzech. Nauka o przykazaniach okazała się boleśnie konieczna, nikt nie był w stanie żyć w pełni w Duchu Świętym, a we wspólnotach chrześcijańskich zaczęło się kształtować to, co dziś nazywamy sakramentem pokuty i pojednania.

Czas debat i konfliktów

Papieska katecheza dotyczyła teologii św. Pawła. Żadnego listu Apostoła nie można czytać w oderwaniu od całego jego dorobku, ponieważ jego teologia prezentuje się w Nowym Testamencie *in statu nascendi*, kształtuje się pośród różnych okoliczności i zwrotów akcji. Paweł nauczał w formie listów, a nie pisanych latami traktatów. Były one szybką, jak na tamte czasy, odpowiedzią na aktualne wyzwania teologiczne i pastoralne, przed którymi stały pierwsze wspólnoty. Z biegiem czasu wymagały korekt i doprecyzowań.

Czytając listy Pawła, zanurzamy się więc w gorący czas debat i konfliktów oraz obserwujemy proces opuszczania synagog przez uczniów i uczennice Jezusa. Wspólnoty czekały na powtórne przyjście Chrystusa, nie było zatem czasu na wprowadzanie pogan w zawiloci żydowskich przepisów, zarówno Tory pisanej, jak i ustnej, oraz wszystkich pozostałych zwyczajów i praktyk. Echa tego napięcia

słyszymy wyraźnie w Liście do Galatów. W kolejnych listach Paweł jest w odniesieniu do Prawa bardziej powściągliwy, a najlepszy przykład to List do Rzymian, w którym znajdziemy kluczowe dziś dla naszych relacji z Żydami słowa: „Bo dary łaski i wezwanie Boże są nieodwołalne” (Rz 11, 29). Nawet najmocniejsza krytyka, jaką Paweł kierował w listach wobec swoich żydowskich oponentów, była zawsze krytyką wewnątrz judaizmu, ponieważ Paweł pisał z żydowskiej perspektywy, jako faryzeusz i znawca Tory, której przestrzegał (o czym papież wspominał w swojej katechezie).

Jaki jest Bóg

Podtrzymywanie starej nauki nie tylko wpływa na nasze relacje ze wspólnotami żydowskimi, ale też trzęsie podstawami naszej teologii w dosłownym tłumaczeniu tego słowa: nauki o Bogu. Jeśli Prawo (Tora) nie daje już życia, a wspólnota Kościoła zastąpiła Izrael, znaczyłoby to, że Bóg na przestrzeni dziejów zmienia zdanie i odwołuje swoje przymierza oraz błogosławieństwa. Byłby więc Bogiem zmiennym, niewiernym swoim słowem, niekonsekwentnym w swych działaniach.

Jaką wobec tego możemy mieć pewność, że ofiara przymierza na krzyżu jest tą ostatnią? Czy Bóg mógłby zmienić zdanie i uznać chrześcijan za niegodnych, a następnie znaleźć inny sposób na zawarcie przymierza z nową wspólnotą? Takich pytań po „Nostra aetate” nie ma już sensu zadawać.

© PAWEŁ RAKOWSKI SJ



„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

Rejestracja w internetowym kiosku Stowarzyszenia „De Facto” umożliwi bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego” osobom z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciółom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na
powszech.net/dostepny



TYGODNIK POWSZECHNY

Zostań

PATRONEM PODKASTU POWSZECHNEGO

Wybierz próg wsparcia za 12 zł miesięcznie
i otrzymaj w prezencie „Wiślną 12” – opowieść
o niezwykłych ludziach i adresie magicznym.

Wspieraj nas na:

[Patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego](https://patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego)

Ciesz się nagrodami i słuchaj podcastów
tworzonych z myślą o Tobie!



Zeskanuj i posłuchaj
podkastu o ul. Wiślniej 12



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO



PATRONITE

Zapraszam!
Michał Kuźmiński

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻYNA MAKARA

ANGELA MERKEL PRZECHODZI DO HISTORII

ROBIN ALEXANDER, DZIENNIKARZ I BIOGRAF USTĘPUJĄCEJ KANCLERZ:

Ona nie pójdzie w ślady Schrödera.
Jest odporna na korupcję. Teraz, po wyborach, wycofa się z polityki.



ŁUKASZ GRAJEWSKI: Angela Merkel od lat jest czołową postacią światowej polityki. Czy również w 2000 r., gdy zostawała szefową CDU, i w 2005 r., gdy wygrała po raz pierwszy wybory, wzbudzała tak powszechne uznanie?

ROBIN ALEXANDER: Angela Merkel była od początku dość niezwykła. Z trzech powodów: pochodziła ze wschodnich Niemiec, była kobietą i naukowcem z obszaru nauk ścisłych. A do tego pochodziła z rodziny ewangelickiej, podczas gdy Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna [CDU – red.] to przecież partia założona przez katolików w Niemczech Zachodnich. Merkel wniosła więc wiele czynników, które wcześniej były obce.

Ponad dwie dekady temu mówiono głównie o jej wschodnioniemieckim pochodzeniu. Ona sama nigdy nie chciała tego podkreślać. Podejrzewano, że milczała z powodów taktycznych, w końcu czterech na pięciu niemieckich wyborców mieszka w zachodnich landach. Merkel pochodzi zresztą z bardzo specyficznej rodziny, nietypowej dla NRD. Ojciec był pastorem, a matka nauczycielką, z zakazem nauczania. Wychowywała się w domu parafialnym, gdzie kształcono pastorów, ale i wychowywano niepełnosprawne dzieci. Ona nigdy nie była zwolenniczką NRD.

Merkel najchętniej podkreślała przede wszystkim to, że pochodzi ze świata nauki. Z tego była autentycznie dumna, że – w przeciwieństwie do wielu polityków – wcześniej w życiu zajmowała się czymś innym. Natomiast swoją płęć zaczęła podkreślać dopiero w ostatnich latach, i to raczej ze względu na to, że bardzo feministycznie nastawione media niemieckie w kółko o to pytały.

W jaki sposób, pomimo tej początkowej podejrzliwości, udało się jej przekonać do siebie wyborców?

W zasadzie to nikogo za bardzo nie przekonała. W tym czasie kanclerzem był socjaldemokrata Gerhard Schröder. Jego najważniejszą reformą była tzw. Agenda 2010, czyli wprowadzenie szeregu liberalnych rozwiązań w polityce gospodarczej i społecznej. Te reformy zostały wprowadzone mimo silnych w Niemczech tradycji socjalnych. Schröder popadł z powodu

tej reformy w kłopoty polityczne. Tyle że Merkel jako szefowa CDU chciała w tym czasie jeszcze dalej idących reform gospodarczych. W 2003 r. CDU na swoim zjeździe partyjnym w Lipsku przegłosowała jeszcze bardziej neoliberalny program od reform Schrödera.

Tak naprawdę, choć wtedy Schröder szorował po dnie, to Merkel i tak niemal przegrała wybory w 2005 r. Wprawdzie ludzie chcieli odwołać urzędującego kanclerza, ale już niekoniecznie chcieli głosować na nią. W ten sposób Merkel zdobyła władzę i potem już nigdy więcej nie wspominała o swoich neoliberalnych pomysłach. Utworzyła wielką koalicję z socjaldemokratami, która – oprócz niewielkich wyjątków, np. reformy emerytalnej – prowadziła w obszarach gospodarki i spraw socjalnych politykę będącą przeciwieństwem tego, o czym Merkel mówiła jeszcze w trakcie kampanii.

W swojej najnowszej książce „Machtverfall” („Upadek władzy”) pisze Pan, że Merkel nie planuje, tylko reaguje na to, co przynosi nowy dzień. To dość sprzeczny obraz względem polskiego postrzegania Niemców, którzy wszystko muszą mieć doskonale zaplanowane.

Merkel podejmuje decyzje zawsze w bezpośrednim odniesieniu do danej sytuacji. Jest wybitym taktikiem, niezbyt dobrym strategiem, a jak już padnie pytanie o cele... Wielu dziennikarzy uważa, że ona ma jakiś cel. Tylko że jakoś nigdy o nim nie mówi.

W Polsce dość powszechnie przypisuje się jej snuć i realizację dalekosiężnych planów.

To warto przyrzeć się jej najważniejszym decyzjom. Weźmy odejście od energetyki atomowej, które po raz pierwszy uchwalił zresztą rząd Schrödera. Wtedy Merkel jeszcze protestowała: argumentowała, że potrzebujemy energii jądrowej jako technologii przejściowej. Gdy sama stanęła na czele rządu, to osłabiła decyzję Schrödera poprzez wydłużenie czasu funkcjonowania wszystkich reaktorów. Następnie nadchodzi marzec 2011 r., katastrofa w elektrowni w Fukushima i Merkel błyskawicznie zmienia zdanie. Inny przykład to otwarcie granic w 2015 r. Jeszcze rano 4 września 2015 r. Merkel przekonywała węgierskiego ambasadora, że nigdy nie zgodzi się na przyjęcie uchodź-

ców. „Nigdy, nigdy, nigdy” – powtarzała i dodawała, że trzeba trzymać się regulacji dublińskiej [zgodnie z tzw. regulacją Dublin III osoby ubiegające się o azyl powinny składać wnioski o ochronę w pierwszym kraju UE, do którego dotrą – red.]. A co się dzieje tego dnia wieczorem? Decyduje o otwarciu granicy. I nagle konwencja dublińska nadaje się do reformy.

Otwarcie granicy przez Merkel opisuje Pan jako spontaniczną decyzję kanclerz.

Interpretację, za którą się tutaj opowiadamy, kwestionowały tylko dwie grupy. Z jednej strony skrajna prawica nie akceptowała takiego przedstawienia wydarzeń, twierdząc, że to na pewno musiał być jakiś wielki plan islamizacji w wydaniu Merkel, Junckera i Sorosa. Natomiast skrajna lewica twierdziła, że to przecież musiał być jej humanitarny odruch. Jej, czyli *de facto* nas samych, bo tak trzeba odczytywać takie wypowiedzi, jako głosy samouwielbienia.

Twierdzi Pan, że Merkel niewiele robi sobie z ideologii. Odchodząca kanclerz nie ma poglądów w wymiarze ideowo-politycznym?

To jest typ polityka radykalnie pragmatycznego. Co w dziewięciu z dziesięciu sytuacji, w których znajduje się polityk, daje olbrzymią przewagę. Ciekawe, że dla obserwatorów wygląda to inaczej. Warto przypomnieć jej legendarne wystąpienie na Harvardzie. Do mikrofonu podeszła najpierw młoda amerykańska studentka pochodzenia azjatyckiego i zapowiedziała, że zaraz przemawiać będzie najważniejsza polityk Europy, która wprowadziła w Niemczech płacę minimalną, małżeństwa jedнопłciowe, zarządziła odejście od atomu i utrzymała jedność Europy. Tylko że tak naprawdę Merkel była temu wszystkiemu przeciwna. I zrobiła to z powodu presji koalicyjnej SPD oraz opinii publicznej.

Era Angeli Merkel to czas kryzysów. Czy możemy wymienić te najważniejsze i ocenić jej rolę?

Zacznijmy od kryzysu finansowego. Merkel decyduje objąć banki gwarancjami państwowymi. Ten kryzys był jeszcze daleko, w gruncie rzeczy chodziło wtedy jeszcze o jakieś tam banki w Ameryce. Niby było źle, ale jednak tak bardzo ludzi w Niemczech to nie dotyczyło, a rząd już

Angela Merkel po wygłoszeniu przemówienia na 29. federalnym kongresie CDU. Essen, 6 grudnia 2016 r.

→ zagwarantował, że pieniądze obywateli nie wyparują z banków. Następny kryzys, strefy euro, jest już bardziej namacalny, ale to jednak wciąż Włochy, Grecja, gdzieś daleko. Kolejny kryzys to uchodźcy, których widać już na ulicach. Są tutaj, blisko nas. Aż w końcu nadchodzi pandemia, która atakuje twoich najbliższych, rodzinę, przyjaciół, twoje ciało. Każdy kolejny kryzys podchodzi coraz bliżej.

Niemcy Zachodnie przed zjednoczeniem miały dość jasną sytuację. Gospodarka rozwijała się świetnie, a polityki międzynarodowej nie wolno nam było uprawiać. Za wojny odpowiadały USA. Wszystko było bezpieczne i przewidywalne. Nie odgrywaaliśmy na świecie aktywnej roli i to nam pasowało. W zasadzie chcielibyśmy, żeby tak było dalej, ale tak dalej się nie da. Wolfgang Schäuble [wieloletni polityk CDU, obecnie przewodniczący Bundestagu – red.] nazwał kryzys uchodźczy „randką niemieckiego społeczeństwa z globalizacją”.

Robert Habeck, współprzewodniczący Zielonych, twierdzi, że ludzie już wiedzą, iż to tak dalej nie będzie działać, że kanclerz będzie za nich gasił kolejne kryzysy. Ludzie chcą wspólnie reagować na kryzysy i im przeciwdziałać. Nie wiem, czy recepta na przyszłość Habecka jest słuszna, ale na pewno taki opis czasów Merkel jest celny.

„Merkel traktuje politykę w kategoriach darwinizmu społecznego” – pisze Pan. Co to dokładnie oznacza?

To było widać w podejściu Merkel do osoby Annegret Kramp-Karrenbauer [miała być ona następczynią Merkel, ale po krótkim okresie przewodniczenia CDU ustąpiła; obecnie pełni funkcję ministra obrony – red.]. Kanclerz zawsze powtarzała, że przywództwo w partii i Urząd Kanclerski muszą znajdować się w tych samych rękach. Ale sama w przypływie słabości oddała partię w ręce Kramp-Karrenbauer. W 2018 r. AKK [inicjały tej ostatniej, często używane przez dziennikarzy – red.] została nową przewodniczącą i od razu dało się wyczuć napięcie. Z jednej strony kanclerz zaczęła podejrzewać, że szykuje się pucz przeciwko niej. Choć AKK zapewniała ją, że takich planów nie ma. Z drugiej strony AKK, która miała coraz większe problemy wewnątrz partii, oczekiwała od Merkel pomocy, lojalności. Ale ta nigdy



45-letnia Angela Merkel kilkanaście dni po wyborze na przewodniczącą CDU.
Berlin, 29 lutego 2000 r.

nie nadeszła. Merkel powtarzała, że przywództwo w partii to jaskinia lwów. Jeśli zostaniesz zjedzona, to znaczy, że nie nadajesz się na kanclerza. Bo jako kanclerz napotkasz jeszcze więcej lwów. To jest radykalnie różne rozumienie polityki. Dlatego współpraca Merkel i AKK szybko się załamała. Ta druga okazała się zbyt słaba.

Dlaczego przez cały okres rządów Merkel, może oprócz ostatnich kilku lat, nie było w CDU żadnych wewnętrznych konfliktów i głosów krytyki? Partia widziała, że ona wygrywa, więc milczała?

Aż tak cicho nie było. Regularnie pojawiały się głosy, że Merkel realizuje w istocie program socjaldemokratów. Już po pierwszych wygranych wyborach Merkel podpisała umowę koalicyjną z SPD – i tam 60 proc. zapisów było socjaldemokratów, a w efekcie w zrealizowanym programie nawet 80 proc. Wszystkie jej działania – pieniądze na urlop rodzicielski, dodatkowe miesiące dla ojców na opiekę nad dzieckiem czy inwestycje w przedszkola – pochodziły od koalicjanta. Ale Merkel była zadowolona, bo to działało. Tak samo było z personami. W czasie kryzysu finansowego rozmowy z bankami prowadził Jörg Asmussen z SPD, który pełnił funkcję sekretarza stanu w ministerstwie finansów. Nadchodzi rok 2009 i CDU znów wygrywa wybory. Merkel tym razem decyduje się na koalicję z liberałami z FDP. Ale postanawia też, że Asmussen musi zostać. I wszyscy w partii robią wielkie oczy: ale jak to, taka ważna funkcja, ten stołek trzeba przejąć! „Nie, nie trzeba, bo to dobrze działa” – brzmi logika kanclerz.

A jak wyglądają układy Merkel z politykami na scenie międzynarodowej?

Tu dobrym przykładem jest Viktor Orbán. On robi rzeczy, z którymi Merkel na pewno się nie zgadza. Ale ona też rozumie, że Orbán potrzebuje konfliktu z nią na swoje wewnętrzne potrzeby. I jego ataków nie bierze do siebie. Orbán wciąż może zadzwonić, może się umówić z nią na spotkanie. To nie jest tak, jak mówi wiele osób, że Merkel z poświęceniem walczy o Europę i przeciwko autorytaryzmowi. Tu trzeba wspomnieć o jej fascynacji Chinami. Merkel kiedyś snuła porównania: „Czy USA dobrze działają? No, nie działają. Trump jest irracjonalny, nie można się z nim dogadać. A Chiny? To potężny kraj i można z nimi współpracować”.

W książce opisuje Pan, że do każdej oficjalnej wizyty w Chinach starała się dołączyć prywatną wizytę, żeby poznawać nowe prowincje.

Ciągnie ją do tego kraju. Została podczas jednej z wizyt zaproszona na wyższą uczelnię partii komunistycznej. Tak na pierwszy rzut oka dość szaleńczy pomysł – przyjąć takie zaproszenie. A Merkel tam pojechała, żeby rozmawiać z ludźmi, którzy za dwadzieścia lat będą częścią chińskiej nomenklatury. I oni się ją pytają: „My mamy system monopartyjny, a w Niemczech działa system wielopartyjny. Dlaczego powinniśmy ewentualnie przyjąć wasz system?”. Z jej ust padła odpowiedź: „Z naszego doświadczenia wynika, że jeśli działa jedna partia, która dba o gospodarkę, druga odpowiada za sprawy społeczne, a trzecia za ekologię, to wtedy wnoszą one więcej różnych per-



Podczas szczytu G7 w kanadyjskim Charlevoix doszło do ostrego sporu Angeli Merkel z Donaldem Trumpem m.in. na temat handlu między Europą a USA. 9 czerwca 2018 r.

spektyw, niż gdyby działała tylko jedna partia". Czyli w zasadzie na pytanie dotyczące wartości odpowiedziała, używając argumentu na temat wydolności systemu. To jest cała Merkel.

W Pana opisie postaci pani kanclerz często mowa jest o funkcyjności, która dla Merkel jest bardzo ważna. Czy to wyniosła ze swojej kariery naukowej?

Tak, na pewno. W Niemczech są dwie wielkie szkoły filozoficzno-społeczne. Pierwsza to dominujący liberalno-lewicowy dyskurs Jürgena Habermasa. Habermas twierdzi, że dyskurs jest wartością samą w sobie. Bo w dyskursie, jeśli nie jest spełniony relacjami władzy, to argumenty stają się coraz lepsze. Czyli teoretycznie po dyskusjach w parlamencie czy na łamach gazet powinniśmy znajdować coraz to lepsze rozwiązania.

Angela Merkel nie podzielała takiego podejścia ani przez minutę. Merkel widzi to tak, jak Niklas Luhmann [niemiecki socjolog zmarły w 1998 r., zajmował się teorią systemów – red.]. U Luhmanna społeczeństwo jest mieszkanką różnych systemów funkcyjnych. Są różne dziedziny naukowe, jest prawo, jest polityka albo sport. I zgodnie z tym tokiem rozumowania, jeśli np. mamy pandemię koronawirusa, to Merkel zwraca się do systemu nauki, a ten dostarcza odpowiedzi. Ona nie wierzy, że te odpowiedzi staną się jeszcze lepsze, jeśli odbędzie się na ich temat debata w Bundestagu. W tym ujęciu rozumie też politykę. Polityka to sfera podejmowania decyzji. I tyle. Dlatego też nie cierpi celebry. Dzięki tym jasnym podziałom jest też całkowicie

odporna na próby korupcji. W jej mniemaniu ona przynależy do systemu politycznego i jej ambicją jest bycie najlepszą w tej kategorii. Jako polityczny numer jeden dostarcza innym systemom to, czego potrzebują. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy pójść w ślady Gerharda Schrödera.

Po domknięciu dealu na temat gazu Nord Stream II z prezydentem Bidenem w Polsce dość popularne były złośliwe uwagi, że Merkel pewnie przejdzie wkrótce do rady nadzorczej jakiejś rosyjskiej spółki, tak jak zrobił Schröder. Nigdy.

To dlaczego do końca walczyła o to, żeby powstał Nord Stream II?

Projekt zainicjował jeszcze Schröder. Zasadnicze pytanie brzmi, dlaczego Merkel tego nie ukręciła. Oficjalnie mówiła, że to projekt gospodarczy, a nie geopolityczny. To oczywiście bzdura, w którą nikt nie wierzy. Jeśli mówimy o prawdziwych powodach, to myślę, że pierwszym mogła być ekstremalna presja niemieckiego przemysłu. A po drugie: w związku z odejściem od atomu mamy ten problem, że przy dużym udziale odnawialnych źródeł energii mamy wciąż fatalny bilans emisji dwutlenku węgla, o wiele gorszy niż np. Francja. Dlaczego? Bo musimy wyrównywać węglem wyłączane reaktory atomowe. A teraz dodatkowo odchodzimy też od węgla. I myślę, że Merkel wie, iż nie można naraz rezygnować z atomu, węgla i do tego jeszcze z gazu. Po trzecie wreszcie: Donald Trump tak bardzo naciskał na przerwanie budowy Nord Stream II, że kanclerz musiała się tego pro-

jektu trzymać. I to też jest typowa Merkel. Z jednej strony jest przeciwnikiem Putina i naciskała na wprowadzenie, a potem utrzymanie unijnych sankcji ze względu na Ukrainę, lecz z drugiej strony pozwoliła na dokończenie gazociągu.

Kanclerz niespecjalnie zabiegała w ostatnich latach o dobre stosunki z Warszawą. Dlaczego?

Merkel utrzymuje nieoficjalne kanały. Ale podstawowy problem jest taki, że Niemcy nie rozumieją tego całego zwrotu w polskiej polityce, który dokonał się po 2015 r. My zawsze patrzyliśmy na Polskę i myśleliśmy, że tam się wszystko świetnie układa. Nastąpił kryzys bankowy, a w Polsce nie było recesji. W 2011 r. Radosław Sikorski mówił w Berlinie: „Nie boję się silnych Niemiec, lecz ich bezczynności”. I wszyscy byli zachwyceni. My w „Die Welt” daliśmy to na pierwszą stronę [Alexander jest też obecnie wicenaczelnym tego dziennika – red.]. Ale i Donalda Tuska wszyscy w Niemczech wtedy cenili. Merkel zawsze powtarzała, że jak chciała się czegoś dowiedzieć na temat Ukrainy, to dzwoniła do Komorowskiego [wówczas prezydenta – red.]. Wszystko szło dobrze. Jedynym problemem było pytanie, kiedy Polska wejdzie do strefy euro.

Kanclerz popełniła duży błąd we wrześniu 2015 r. W Brukseli zdecydowano na temat relokacji uchodźców. W tym czasie było ich już bardzo dużo na niemieckich ulicach. W Berlinie wybuchła panika i postawiono na szybkie europejskie rozwiązanie. Merkel potrzebowała głosu Polaka, więc zaczęła namawiać premier Ewę Kopacz do poparcia relokacji. To było po tym, jak Donald Tusk przeprowadził się już do Brukseli [został przewodniczącym Rady Europejskiej – red.]. Ewa Kopacz nikt w Berlinie nie znał. Ona nie miała doświadczenia. I ona tłumaczyła Merkel, że oczywiście trzeba przyjmować uchodźców, że jest katoliczką i to rozumie, ale że sytuacja w Polsce jest bardzo trudna. Ale Merkel nie odpuściła i dalej ciągnęła, że Polska musi się zobowiązać do przyjęcia pewnej grupy, że inaczej Europa się rozwali. Aż w końcu udało jej się przekonać Kopacz.

Czyli można powiedzieć, że to Merkel przyczyniła się do zwycięstwa PiS w 2015 r.?

Trzeba powiedzieć, że PiS, tak jak i brytyjska kampania w sprawie brexitu, →

→ żywił się obrazami kryzysu migracyjnego. A wygrał wybory m.in. hasłami zdystansowania się od Merkel.

Jeśli CDU uda się wygrać wybory, które odbędą się 26 września, Angelę Merkel zastąpi Armin Laschet. Jak by go Pan scharakteryzował?

Laschet jest Europejczykiem, nawet bardziej niż Niemcem. W swoim biurze ma figurkę Karola Wielkiego. W nieoficjalnych rozmowach często wypomina Merkel, że nie poszła na bliższą współpracę z Emmanuelem Macronem. Trzeba też dodać, że wizja Europy Lascheta jest mocno karolińska: w tej wizji Europa to głównie Włochy, Francja, Belgia.

A co z Europą Środkową i Wschodnią? Z jego rodzinnego Akwizgranu jest tylko parę kroków do Belgii i Holandii, ale bardzo daleko do Polski.

On przynajmniej rozumie, że ta część Europy nadaje na trochę innych falach. Jak Fidesz Orbána wyleciał z frakcji Europejskiej Partii Ludowej w Parlamencie Europejskim, Laschet strasznie się wściekł. Bardzo dużo wcześniej zainwestował, żeby oni zostali. Bo on nie chciałby, żeby temat LGBT podzielił Europę.

Czy ewentualny następca Merkel przypomina stylem uprawiania polityki wciąż urzędującą kanclerz?

On jest graczem zespołowym, czego nie można powiedzieć o Merkel. Laschet ma o wiele więcej wspólnego z Helmutem Kohlem. To jego nazwisko pada najczęściej, gdy rozmawia się z Laschetem. Logika Kohla dotycząca Europy była następująca: gdy pojawia się problem, to po pierwsze trzeba do wszystkich zadzwonić, w tym w pierwszej kolejności do mniejszych państw. Następnie trzeba przygotować propozycję rozwiązania problemu, koniecznie wspólnie z Francuzami. A ponieważ Niemcy inicjują propozycję, to trzeba się pokazać też jako sponsor i wyłożyć na to trochę z własnej kieszeni. Laschet myśli podobnie.

W tym momencie chadecja i socjaldemokraci idą w sondażach łeb w łeb, a w niektórych SPD nawet wyprzedza CDU/CSU. Tuż za nimi są Zieloni. Czy dla Polski będzie mieć w ogóle znaczenie, kto wygra te wybory? Z naszej perspektywy cała trójka głównych kandydatów

– liderzy SPD, chadecji i Zielonych – to po prostu proeuropejscy liberalni demokraci.

Kandydat SPD Olaf Scholz [obecnie wicekanclerz i minister finansów – red.] jest trudny do rozgryzienia, ale mam podejrzenia, że postawi bardzo mocno na współpracę z Francją. Natomiast polskiemu rządowi z pewnością byłoby bardzo po drodze z polityką wobec Rosji, jaką proponuje kandydatka Zielonych Annalena Baerbock. Jeśli więc chodzi tylko o politykę zagraniczną, to Baerbock byłaby dla Polski najlepsza. Wprawdzie ona nie mówi, że Niemcy powinny dalej przechowywać amerykańską broń atomową, bo to nie byłoby zgodne z oficjalną pacyfistyczną narracją Zielonych, ale na pewno rozumie, że tak nadal powinno być. Natomiast u Zielonych są też tendencje, by odbierać unijne fundusze strukturalne wszystkim, którzy nie organizują marszów równości. Nie wiadomo, jak mocno będzie przez Zielonych wdrażana nieoficjalna zasada, że „wszyscy muszą być tak świetni, jak my sami”.

Czy gdy się śledzi jako dziennikarz drogę Merkel, można dowiedzieć się czegoś także o jej życiu prywatnym?

Ona bardzo rozdziela te dwie sfery, życie publiczne i prywatne. I uważam, że słusznie. Wiemy np., że interesuje się operą. I że najchętniej spotyka się z naukowcami. Osoby, które zostały przez nią zaproszone do domu albo do jej domku letniego w Uckermark, to najczęściej właśnie ludzie nauki. Czasem też historycy. Ale nie politycy.

Czy Merkel jest osobą religijną? Na jednym ze spotkań z młodzieżą mówiła, że Biblia jest dla niej najważniejszą lekturą.

Nie. Merkel jest protestantką w rozumieniu kulturowym. Pewien kanon trzeba znać. Ale nie chodzi do kościoła. Oczywiście nie mogą mieć pewności, ale ona jest przede wszystkim naukowcem i na świat patrzy przez pryzmat nauk ścisłych.

Pisze Pan, że Merkel chciała odejść już w 2017 r. Na jeszcze jedną kadencję miał namówić ją dopiero Barack Obama.

Tak, i to dziś bardzo wychodzi. Jest okropnie zmęczona, fizycznie i psychicznie.

Co zrobi po odejściu z urzędu?

Już wykluczyła stanowiska unijne. Myślę, że nie ma też więcej ochoty na Niemcy i politykę wewnętrzną. Jeśli zostanie w polityce, to na podobnych zasadach jak Martti Ahtisaari [fiński prezydent i dyplomata, rozjemca w międzynarodowych konfliktach, noblista – red.]. Do niego się dzwoniło, gdy trzeba było rozwiązać jakiś bieżący konflikt, czy to w Palestynie, czy na Sri Lance. Merkel mogłaby być kimś takim, do kogo wszystkie strony mają zaufanie i kto ustala cały proces, rozmowy itd. Osobiście uważam jednak, że ona odejdzie na dobre z polityki i wróci do świata nauki. I że znajdzie nowe zajęcie, np. na amerykańskim Wschodnim Wybrzeżu, na jednym z tamtejszych uniwersytetów.

Co Niemcy zapamiętają z jej rządów?

Tak długie rządy to w demokracjach niemal ewenement. Za granicą tyle lat przy władzy utrzymują się raczej tylko Putin albo Erdoğan. Tyle że w Niemczech to jest cecha charakterystyczna tutejszego systemu politycznego. Dziś to Merkel, a wcześniej Kohl i Adenauer, a można cofnąć się też do Bismarcka.

Ludzie zdają sobie sprawę, że nadchodzi cięższe czasy. I że gdy wkroczymy w nową rzeczywistość, to era Merkel będzie wspomniana tylko pozytywnie. Ciężkie reformy zostały przeprowadzone przez Schrödera jeszcze przed erą Merkel. Ona czerpała tylko zyski. Czasy Merkel to więcej pieniędzy, to okres, gdy nie podnoszono podatków i nie było cięć w programach społecznych. To był kraj marzeń. Wszyscy w Europie musieli zaciskać pasa, a w Niemczech wszystko grało. Takie czasy długo się nie powtórzą.

© Rozmawiał w Niemczech
ŁUKASZ GRAJEWSKI

ROBIN ALEXANDER (ur. 1975) jest zastępcą redaktora naczelnego dziennika „Die Welt”, politycznie tradycyjnie bliskiego chadecji. Autor bestsellerowych książek o rządach odchodzącej dziś kanclerz: „Angela Merkel i kryzys migracyjny. Dzień po dniu” (wydanie polskie 2017) oraz „Machtverfall. Merkels Ende und das Drama der deutschen Politik: Ein Report” (w wolnym przekładzie: „Upadek władzy. Koniec ery Angeli Merkel i główny dramat niemieckiej polityki”, wyd. niemieckie 2021).



Wizyta Angeli Merkel w Polsce – spotkanie z premierem Mateuszem Morawieckim, Warszawa, 19 marca 2018 r.

Nic nam się nie należy

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

W przededniu zmiany na fotelu kanclerza polsko-niemieckie relacje polityczne są chłodne. Ale Angela Merkel nie zajmowała się nimi aż tak bardzo.

WNIEDZIELNY WIECZÓR 26 WRZEŚNIA, gdy poznamy wyniki wyborów do Bundestagu, będzie można definitywnie ogłosić koniec ery Merkel. Co bardziej rzutcy politycy obozu rządzącego w Polsce i pravicowi komentatorzy powinni wtedy radośnie odechnąć. W końcu przez ponad dekadę forsowali tezę, że niemiecka kanclerz zakulisowo steruje Donaldem Tuskiem i obecną polską opozycją – a gdy starczy jej czasu, to wraz z Władimirem Putinem planuje czwarty rozbiór Polski. W tym ujęciu to Merkel „załała” Europę migrantami i Merkel „zwalcza” polski węgiel. Co złego, to Merkel. Jej sprawczość jest niemal nieograniczona.

Po liberalnej stronie ta sama kanclerz cieszyła się nieposzlakowaną opinią gwaranta polskiego dobrobytu. Analiza jej 16 lat u sterów niemieckiej polityki prowadzi jednak do wniosków, które rozczarują oba obozy.

Przecenianie sąsiada

Już samo sprowadzanie całej niemieckiej polityki do Merkel jest błędne. Urząd kanclerski to najsilniejszy ośrodek władzy w Berlinie, ale polityka zagraniczna sprawowana jest przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Przez wszystkie lata rządów Merkel ten resort ani razu nie był w rękach CDU, bo też partia odchodzącej kanclerz zawsze rządziła w koalicjach. Dyplomacją sterowali socjaldemokraci – z wyjątkiem lat 2009-13, gdy szefem MSZ był liberał z FDP Guido Westerwelle.

Merkel, owszem, urosła na przestrzeni ubiegłej dekady do rangi najważniejszego europejskiego lidera. W Brukseli pełniła jednak rolę rozjemcy, a nie proaktywnego stratega. Począwszy od kryzysu finansowego w 2008 r., przez kryzys euro, kryzys migracyjny, brexit, aż po pandemię, była cierpliwym moderatorem, który różnym frakcjom pozwalał osiągnąć zadowalający kompromis.

– Nie widzę w rządach Merkel niczego, co by uzasadniało wydzielenie tego okresu jako szczególnego czasu w stosunkach polsko-niemieckich – przyznaje w rozmowie z „Tygodnikiem” Adam Traczyk, politolog z think tanku Global.Lab.

Ekspert specjalizujący się w sprawach niemieckich zwraca jednak uwagę na pewien sentyment, którym Merkel darzy nasz kraj: – Odwiedzała często Polskę, miała wpinkę Solidarności, spotykała się z zaprzyjaźnionymi polskimi naukowcami, można doszukiwać się wspólnoty doświadczeń historycznych – wymienia. – Jej poprzednik Gerhard Schröder nie miał takiego backgroundu, ale to za jego kadencji Polska weszła do NATO, Unii Europejskiej, a i pewne kwestie historyczne udało się domknąć – dodaje Traczyk.

Merkel zaczęła rządzić w listopadzie 2005 r., ponad rok po wstąpieniu Polski do Unii, gdy kraj zajęty był koordynacją gigantycznych sum z funduszy europejskich. Jej kolejne gabinety, nawet gdyby miały takie zdolności, nie musiałyby wpływać na sytuację w Polsce, bo ta ekonomicznie i politycznie rozwijała się zgodnie z oczekiwaniami „starej” Unii. Niemieccy korespondenci rezydujący w Warszawie do dziś wspominają, że okres rządów Tuska, oprócz sytuacji wyjątkowych, jak katastrofa smoleńska, był dla nich czasem medialnej posuchy.

Jednak to wtedy powiodło się coś, o co aktualne władze w Warszawie tak często się dopominają. W pewnym obszarze Polsce udało się nie tylko uzyskać podmiotową pozycję, ale wręcz przywdziać koszulkę lidera. Unijna polityka wschodnia była prowadzona przede wszystkim przez polski resort dyplomacji. Pod szyldem Partnerstwa Wschodniego rozmowy z Aleksandrem Łukaszenką czy też dramatyczne negocjacje pomiędzy Wiktorem Janukowyczem a przedstawicielami Majdanu prowadził niemal samodzielnie ówczesny szef MSZ Radosław Sikorski. Jak wspominają naoczni świadkowie, jego ówczesny niemiecki odpowiednik Frank-Walter Steinmeier [obecnie prezydent Niemiec – red.] prawie wyłącznie przysłuchiwał się i potakiwał.

Wina PiS-u?

Rozmówcy „Tygodnika” po obu stronach Odry zgodnie oceniają okres 2007-15 jako czas dobrych relacji. – Nie da się ukryć, że emocjonalna bliskość w czasach Tuska była znacznie głębsza. Obecnie doszło do rozjazdu w pojmowaniu wspólnych wartości – mówi nam prof. Herfried Münkler, niemiecki politolog związany z berlińskim Uniwersytetem Humboldtów.

– Z punktu widzenia polskich interesów ta dobra atmosfera miała znaczenie. Byliśmy traktowani jako swoi. Bez tego Tusk nie zostałby pewnie przewodniczącym Rady Europejskiej – dodaje Adam Traczyk. – Ale wielkich wspólnych projektów ani nie ma za czasów PiS, ani nie było za PO.

Czy polityka Niemiec wobec Polski zmieniła się po dojściu PiS do władzy? Do większej zmiany doszło na pewno →

→ w odwrotnym kierunku. To raczej polski rząd za pomocą niektórych polityków i państwowych mediów zaczął używać germanofobicznych tonów, aby konsolidować elektorat w państwie.

Za Odrą oczywiście zdają sobie sprawę z instrumentalnego charakteru tych ataków. – Niemcy nie stosują takich zagrywek – mówi z pewnym wyrzutem Münkler. – Żaden niemiecki polityk za czasów Merkel nie straszył polskimi pracownikami odbierającymi miejsca pracy, tak jak to miało miejsce np. w Wielkiej Brytanii.

Pewne „wrzutki” budzą nad Szprewą nie tylko rozżalenie, ale i zaniepokojenie. Jak bowiem strona niemiecka powinna zareagować na temat reparacji? Rzekome żądania sprowadzają się do wypowiedzi medialnych Jarosława Kaczyńskiego i jego przybocznych. Pod okiem posła PiS Arkadiusza Mularczyka powstał raport mający oszacować straty wojenne, ale nigdy nie został opublikowany. Takie niepoważne działania zaczepne w Niemczech przyjmowane są dyplomatycznym milczeniem.

Gospodarka über alles

Samograjem okazała się natomiast współpraca gospodarcza. Polska od momentu wejścia do UE systematycznie pięła się na liście najważniejszych partnerów handlowych Niemiec. Pandemia tylko w tym pomogła. Wiele bardziej oddalonych geograficznie dostawców zaczęło mieć problemy przez covidowe przestoje i restrykcje na granicach. W I kwartale 2021 r. Polacy wskoczyli więc na trzecie miejsce wśród niemieckich partnerów, ustępując tylko Chinom i Holandii.

Biznesy po obydwóch stronach granicy mają zatem w nosie polityczne ochłodzenie. I dlatego to w tej dziedzinie Adam Traczyk widzi potencjał na dalszy rozwój wzajemnych relacji. – Trzeba te gospodarki jeszcze mocniej związać. Wydaliśmy miliony w ramach różnych ulg, żeby sprowadzać do Polski niemieckie fabryki. Następnym krokiem byłoby tworzenie centrów badawczych – przekonuje ekspert i jako przykład rzuca pomysł stworzenia polsko-niemieckiej politechniki. Traczyk wskazuje także na możliwe wspólne projekty budowy farm wiatrowych na Bałtyku. – Takie projekty nie ruszą jednak bez osłony ze strony tej największej polityki i wzajemnego zaufania – mówi.

Ciekawym epizodem w relacjach gospodarczych obu państw były plany snute przez Jadwigę Emilewicz i Petera Altma-

Rząd w Warszawie będzie musiał zdecydować, co z nieszczęsnym widmem żądań reparacji i z Nord Stream II.

Dalsze darcie szat w tej kwestii niewiele da.

iera, zaufanego człowieka Merkel. Oboje kierujący resortami gospodarczymi rozpoczęli pracę nad włączeniem polskich firm do szerokiego sojuszu unijnego, który wokół produkcji pojazdów elektrycznych miał rozruszać europejski przemysł. Było dużo dobrej woli, odczekało podjęto pierwsze, konkretne kroki. Później jednak Emilewicz odeszła z rządu, resort przejął Jarosław Gowin, a po ostatnich problemach Zjednoczonej Prawicy w zasadzie nie wiadomo, kto ministerstwem kieruje. Chwiejność polskiego rządu utrudnia współpracę niemieckim partnerom, którzy lubią prowadzić sprawy w sposób uporządkowany i planować długoterminowo.

Czy Niemcy zastąpią USA?

Również w kluczowym dla Polski z racji rosyjskiego zagrożenia obszarze bezpieczeństwa i obronności współpraca obu państw zmieniła się bardzo przez ostatnie 16 lat. Choć także tu niekoniecznie ze względu na aktywną rolę kanclerz.

– Merkel wiedziała, że to niezbyt popularny temat w Niemczech, i wolała zostawić go odpowiednim ministrom – podkreśla w rozmowie z „Tygodnikiem” Justyna Gotkowska z Ośrodka Studiów Wschodnich. Ekspertka twierdzi, że z jednej strony Merkel unikała tematu jak ognia, z drugiej Niemcy po cichu dokonywali przełomowych decyzji, takich jak zaangażowanie się w Afganistanie czy wysłanie Bundeswehry na wschodnią flankę NATO. – Niemcy są państwem o średnio dużym potencjale wojskowym w Europie. Stan Bundeswehry wydaje się obecnie być coraz lepszy, niezależnie od zapóźnień modernizacyjnych i cięć budżetowych z lat wcześniejszych – ocenia ekspertka.

Pomimo rosnącego potencjału sąsiada współpraca bilateralna Niemiec i Polski w tym obszarze sprowadza się do dość rutynowych działań w ramach NATO. Berlin wciąż głównego partnera w tym ob-

szarze widzi w Paryżu, a Warszawa w Waszyngtonie. Polska nie jest w stanie doprosić się np. udziału w projekcie budowy czołgu przyszłości, nad którym pracują wspólnie Niemcy i Francuzi. Sprawę komplikują z pewnością ogromne interesy firm zbrojeniowych tych dwóch krajów. – Jednak oba państwa, Polska i Niemcy, w zmieniającej się sytuacji geopolitycznej będą zmuszone do zacieśnienia wzajemnych relacji wojskowych – sądzi Gotkowska.

Czas na ruch Warszawy

W przededniu zmiany na fotelu kanclerza polsko-niemieckie relacje polityczne są chłodne, ale bynajmniej nie zostały zerwane, o czym świadczą spotkania szefów dyplomacji Polski, Francji i Niemiec z okazji 30-lecia Trójkąta Weimarskiego w Weimarze oraz pożegnalna wizyta Merkel w Warszawie w ubiegłym tygodniu. Relacje gospodarcze jadą na autopilocie i z łatwością biją kolejne rekordy. W czasie pandemii ucierpiały kontakty samorządów i organizacji pozarządowych oraz wymiana młodzieży. Jednak w tych dziedzinach w postpandemicznej rzeczywistości, która kiedyś w końcu nadejdzie, nie trudno będzie o nową dynamikę. Po zmianie w Berlinie rząd w Warszawie będzie musiał zdecydować, co dalej z nieszczęsnym widmem żądań reparacji i z Nord Stream II. Gazociąg powstanie bowiem nie tylko przy dużym wsparciu niemieckich elit, ale i z cichym błogosławieństwem USA, które sprawy europejskie niemal całkowicie scedowały na Niemcy. Dalsze darcie szat w tej kwestii niewiele już da.

Mimo wszystko zmiana władzy, do której zaraz dojdzie za Odrą, dobrze nadaje się do stawiania nowych akcentów i wysuwania świeżych pomysłów. Przed nowym kanclerzem stać będzie szereg wielkich wyzwań wewnętrznych, z zadaniem numer jeden – podkręceniem tempa transformacji energetycznej. Mało prawdopodobne, żeby po wyborach na liście priorytetów Berlina znalazło się wzmocnienie relacji z Polską, w szczególności gdy wygra obecnie faworyzowany Olaf Scholz. Socjaldemokrata wie o naszym kraju tyle co nic. – Naszym problemem jest to niesamowicie naiwne myślenie, że nam się coś należy. Nic się nam nie należy. Wszystko trzeba sobie wynegocjować i wywalczyć – zachęca Adam Traczyk. – Inicjatywa leży po stronie Warszawy – przekonuje prof. Herfried Münkler. © ŁUKASZ GRAJEWSKI



DAREK DELMANOWICZ / PAP

Szacuje się, że za granicą może pracować dziś nawet 5 mln Ukraińców.
Na zdjęciu: na polsko-ukraińskim pieszym przejściu granicznym w Medyce-Szeginiu, czerwiec 2020 r.

Prześlona katastrofa

TADEUSZ IWAŃSKI Z ZACHODNIEJ UKRAINY

W cieniu wojny z Rosją i problemów z reformą państwa Ukraina doświadcza kryzysu, którego na co dzień nie widać: zapaści demograficznej.

NA RAZIE NIE MAMY KŁOPOTÓW Z OBSŁUGĄ, bo jest lato, studenci się nie uczą, mogą sobie u nas dorabiać. Problem będzie jesienią, gdy wrócą na uczelnie – mówi kelnerka w pizzerii Veterano. Lokal mieści się przy placu Mickiewicza w centrum starówki Iwano-Frankiwska (przedwojennego Stanisławowa), obwodowego miasta na zachodzie Ukrainy.

Knajpka cieszy się popularnością. To jeden z sześciu franczyzowych lokali firmy, którą założył Leonid Ostalcew – w 2014 r. ochotnik, a obecnie weteran trwającej już od siedmiu lat wojny z Rosją w Donbasie. Ostalcew brał udział w najgorętszych bojach – od walk o wzgórze Sawur-Mohyla

aż po kocioł w Debaltsewe. Przed wojną pracownik pizzerii, po powrocie z frontu stworzył Pizza Veterano i odniósł sukces komercyjny (niestety rzadki w środowisku weteranów).

Brak rąk do pracy nie jest tu problemem nowym. Gdy byłem w Iwano-Frankiwsku wcześniej, w październiku 2017 r., na wielu lokalach widniały karteczki z ofertami pracy dla kelnerów, kucharzy czy zmywaczy. Wówczas, podobnie jak dziś, wielu z nich pracowało w Polsce. Większość nie wróciła.

Za garść złotychek?

Z okazji okrągłej, trzydziestej rocznicy niepodległości, od lutego w Kijowie trwa

„Ogólnoukraińskie Forum Ukraina 30”. Przedstawiciele władz, w tym prezydent Wołodymyr Zełenski, a także ministrowie i szefowie ważnych instytucji, jak również aktywiści, eksperci, naukowcy i przedstawiciele organizacji międzynarodowych – wszyscy oni publicznie dyskutują o kluczowych kwestiach rozwoju kraju. Ten swego rodzaju audyt ostatnich lat ma zarysować plany na przyszłość. Z trzydziestu planowanych spotkań rozmawiano już m.in. na tematy bezpieczeństwa, cyfryzacji, gospodarki bez oligarchów czy praworządności.

W lipcu na tapetę trafił temat „Siła robocza”. To kwestia o kapitalnym znaczeniu dla dzisiejszej i przyszłej sytuacji kraju, ale w codziennej debacie publicznej prawie nieobecna. Ołeksij Czernyszow, minister rozwoju hromad i terytoriów (tj. samorządności), ocenił, że „według danych statystycznych dziś prawie 3 miliony Ukraińców pracuje za granicą”. Czernyszow uważa, że o decyzji o emigracji decyduje poziom wynagrodzenia: jeśli średnia pensja w zachodnich obwodach przekroczy obecne 15 tys. hrywien (równowartość 2,2 tys. złotych) i osiągnie 18 tys. hrywien, to „kwestia migracji

→ zarobkowej zostanie rozwiązana”, gdyż „człowiek ma pracować w ojczyźnie, być z rodziną, rozwijać się zawodowo i personalnie – to jasne”.

Myślenie ministra, że decyzja o emigracji zależy od tego, czy ktoś ma równowartość kilkuset złotych więcej w kieszeni, bo przecież człowiek „ma” pozostać w kraju, jest myśleniem tyleż życzeniowym, co dowodzącym oderwania od rzeczywistości i lekceważenia kluczowego problemu Ukrainy, jakim jest depopulacja. Z ministrem celnie polemizowała podczas forum uznana specjalistka, demografka prof. EŃa Libanowa: „Ludzie wyjeżdżają dlatego, że nie wiążą swojego losu z tym krajem (...) Nie widzą tego, że Ukraina może być taka jak np. Polska czy Czechy”.

Migracyjna matematyka

Te 3 miliony ludzi, o których wspomniał minister, to ok. 6 proc. ludności kraju. Ale mówimy tu jedynie o szacunkowej liczbie emigrantów zarobkowych w relacji do danych z ostatniego – i jedynego zresztą – ukraińskiego spisu powszechnego sprzed aż 20 lat. Wówczas liczbę ludności oszacowano na 48,5 mln.

Tymczasem w samej tylko Polsce liczbę migrantów zarobkowych z Ukrainy ocenia się na półtora miliona i ona wciąż rośnie. A przecież w ostatnich latach Ukraińcy wyjeżdżali także masowo do Niemiec, Włoch, Hiszpanii, Czech, a przed wojną także do Rosji. EŃa Libanowa ocenia, że dziś za granicą może pracować nawet 5 mln Ukraińców. I choć w dużej mierze jest to tzw. migracja cyrkulacyjna (oznaczająca czasowe powroty do kraju, aby potem znów wyjechać), to badania wskazują na coraz większą chęć osiedlenia się za granicą na stałe. Planowane w Polsce nowe przepisy taką decyzję zapewne ułatwią.

Nie zrekompensuje tej straty ani oficjalny dopływ migracyjny na Ukrainę (w bieżącym roku Kijów ustanowił kwotę imigracyjną na niecałe 10 tys. osób), ani dopływ nieoficjalny – bo większość przybywających nad Dniepr migrantów z Azji nie zamierza długo zagrząć tu miejsca i prędzej lub później ruszy na zachód.

Postępująca depopulacja

Liczba mieszkańców Ukrainy zmniejsza się zresztą – i to skokowo – przez niemal całe ostatnie 30 lat.

Według ostatniego sowieckiego spisu z 1989 r., ukraińska republika liczyła 51,7 mln ludzi. Przez kilka lat po powstaniu niepodległej Ukrainy liczba ta nawet nieznacznie wzrastała, dzięki napływowi Ukraińców z obszaru wówczas postsowieckiego. Jednak już od 1993 r., gdy przekroczyła 52 mln, zaczęła spadać i spada do dziś. Według danych zebranych przez obwodowe (tj. wojewódzkie) wydziały statystyki, w 2020 r. Ukrainę zamieszkiwało aż o ponad 10 mln ludzi mniej, czyli populacja zmniejszyła się o ok. 20 proc. Wprawdzie dane te nie uwzględniają okupowanego Krymu (ok. 2,5 mln osób), lecz uwzględniają części obwodów donieckiego i ługańskiego, które od 2014 r. są pod kontrolą prorosyjskich separatystów (a *de facto* Rosji, która rozdaje tam swoje paszporty).

Szacunki dotyczące niekontrolowanych przez Kijów terenów wschodniej Ukrainy prawdopodobnie dalekie są od precyzji, jednak znaczny spadek liczby ludności cechuje wszystkie obwody kraju, łącznie ze stołecznym (choć nie sam Kijów). Największe ubytki, nawet o ponad jedną czwartą, notują obwody kirowohradzki i sumski, a czernihowski o prawie jedną trzecią. Bliskie Polski obwody wołyński, lwowski i iwanofrankiwski straciły średnio 7 proc. ludności – to wciąż znaczny ubytek.

Przepaść się pogłębia

Przesłanką do szacunków, że skala depopulacji Ukrainy może być jeszcze większa, był prowadzony w 2019 r. tzw. spis Dmytra Dubileta (wówczas ministra). Tak zwany, gdyż nie był to ani spis powszechny, gdzie obywatele mogą spisać się sami, ani też ankieteryzy nie chodzili po domach – wykorzystano tylko dane z różnych rejestrów, w tym od operatorów sieci komórkowych. Niemniej z podliczeń tych wynikało, że na Ukrainie – bez okupowanego Krymu i Donbasu – mieszka obecnie już tylko 37,2 mln obywateli.

Naturalnie migracja zarobkowa nie jest jedyną przyczyną gwałtownej depopulacji. Kluczowe znaczenie ma także niska dzietność Ukraińców. Współczynnik ten w 2021 r. ledwo przekracza 1,5 – podczas gdy dla stabilnego wzrostu demograficznego powinien wynosić prawie dwa razy tyle. Skutek jest taki, że co roku na Ukrainie umiera ponad dwa razy więcej ludzi, niż się rodzi. Ta przepaść się pogłębia:

w ciągu ostatniego półrocza na 100 zgonów przypadało już tylko 38 narodzin!

Niewykluczone, że katastrofa demograficzna jest jednym z powodów, dla którego kolejne rządy – już przez ponad 20 lat – odsuwają przeprowadzenie kolejnego spisu. Bez wątpienia jego wyniki byłyby czerwoną kartką, za którą wyborcy mogliby ich rozliczyć. I choć ujemny bilans demograficzny nie jest zjawiskiem tylko ukraińskim – przed problemem tym stoi wiele państw Europy – to nad Dnieprem przybrał on już rozmiary niepokojące.

Przypadek polski

Pragnieniu opuszczenia Ukrainy podporządkowana jest aktywność społeczna wielu obywateli. Jest to widoczne także w zachodniej części kraju, gdzie język polski staje się bardzo popularny: celem nauki jest emigracja do Polski. Ukraińscy rodzice posyłają do polskich szkół podstawowych już kilkuletnie dzieci, by przygotować je językowo do wyjazdu do Polski – aby dołączyły do pracujących tam rodziców lub aby samodzielnie kontynuowały naukę na polskich uczelniach.

W wielu szkołach państwowych polski jest dziś drugim (po obowiązkowym angielskim) językiem obcym wybieranym przez rodziców. – Zawód polonisty jest bardziej prestiżowy na Ukrainie niż w Polsce; poloniści nie narzekają tu na brak pracy – mówi Chrystyna Lesiw, polonistka z Iwano-Frankiwka. Chrystyna skończyła filologię polską na miejscowym uniwersytecie i pracuje w szkole językowej. Na brak uczniów, także prywatnych, nie narzeka.

Nauce polskiego sprzyja nie tylko sytuacja gospodarcza, ale też pandemia. Popularniejsze, dostępne i bardziej oswajone stały się kursy online. Stanisława Trotsiuk, właścicielka szkoły językowej KanApka ze Lwowa, mówi, że „ma coraz więcej uczniów w trybie online, w tym nie tylko z zachodniej Ukrainy, ale także z Kijowa, Zaporozża czy wschodniej Ukrainy. Motywacją głównie jest jedna – wyjazd do Polski: do pracy, na studia, by dołączyć do części rodziny, która już tam jest”.

Do szkół językowych zgłaszają się też specjalistyczne firmy z Polski, które szukają na Ukrainie lekarzy. Chętni do wyjazdu wysyłani są na kursy początkowe polskiego języka medycznego jeszcze w ojczyźnie.



ADAM BERRY / GETTY IMAGES

Obchody Dnia Niepodległości Ukrainy we Lwowie, 24 sierpnia 2021 r.

Mniejszość coraz mniej liczna

Mniejszości narodowe nie tylko nie wyłamują się z tego negatywnego trendu demograficznego, lecz wręcz go przyspieszają. Dotyczy to także mniejszości polskiej. Choć nie ma badań, to wydaje się, że miejscowych Polaków wyjeżdża coraz więcej. Szkoły i parafie pustoszeją, a na ich miejsce przychodzą Ukraińcy, którzy na wszelkie sposoby starają się „zapisać” do polskości, aby potem także... wyjechać.

Ksiądz Mirosław Lech, urodzony na Ukrainie proboszcz rzymskokatolickiej parafii św. Bartłomieja w Drohobycz, opowiada: – Przyjechałem do miasta 13 lat temu. W mojej parafii było ok. 450 parafian-Polaków. W ciągu tego czasu ponad 100 młodych osób z polskich rodzin wyjechało do Polski na studia, po czym nie powrócił z nich prawie nikt, natomiast 150 parafian zmarło. Obecnie moja parafia liczy około 350-400 wierznych. Nowi wierni przychodzący do kościoła to w przeważającej większości Ukraińcy, którzy wybierają obrządek rzymskokatolicki. Większość parafian to rodziny mieszane polsko-ukraińskie.

Z kolei w Tarnopolu, w Polskim Centrum Kultury i Edukacji im. prof. Mieczysława Krąpca, mówią, że liczba polskich organizacji topnieje, podobnie jak liczba młodych ludzi uczących się języka polskiego i wywodzących się z mniejszości polskiej. W wyjazdach do ojczyzny pomaga też Karta Polaka: – Po II wojnie światowej pierwsze, drugie i trzecie pokolenie jeździło do Polski, ale wracało. Czwarte też jeździ, ale już nie wraca. Zostaje.

Coraz więcej jest natomiast Ukraińców uczących się polskiego: – Po wybuchu wojny z Rosją i po zniesieniu wiz do Unii Europejskiej dla obywateli Ukrainy taka kolejka chętnych do nauki się u nas ustawiła, że myśleliśmy o wynajmie większego pomieszczenia.

Liczba Polaków na Ukrainie topnieje z racji migracji, ale też wskutek asymilacji i z powodów metrykalnych. Ważnym problemem liderów polskiej mniejszości staje się znalezienie następców: takich, którzy będą kontynuować pracę u podstaw i nie wyjadą. To trudne zadanie. Z jednej strony spełnia się więc sen przedwojennych ukraińskich nacjonalistów: Polacy opuszczają Ukrainę, czyniąc zachodnią część kraju bardziej homogeniczną narodowościowo. Ale z drugiej strony popularność języka polskiego rośnie, a wraz z Polakami masowo wyjeżdżają też Ukraińcy, co dla dzisiejszych nacjonalistów powinno być koszmarem.

Przypadek węgierski

Ilu jest więc Polaków na Ukrainie? Według spisu z 2001 r. było ich 144 tys., ale dziś liczba ta jest od dawna nieaktualna.

Pewne wskazanie daje tu przykład węgierski. Odwołując się do niego, warto jednak pamiętać o pewnym zastrzeżeniu: o ile Polacy żyją w rozproszeniu – na zachodniej Ukrainie, na Podolu, a także w obwodzie żytomierskim (w latach 1925-35 funkcjonował tam nawet, stworzony przez władze sowieckie, Polski Rejon Narodowy im. Juliana Marchlewskiego, tzw. Marchlewszczyzna) – o tyle społeczność węgierska, licząca ok. 150 tys.

osób, trudniej poddaje się asymilacji z powodów kulturowych i geograficznych (Węgrzy żyją w zasadzie tylko na Zakarpaciu).

Co mówi nam więc przykład węgierski? Według badania „Summa-2017”, prowadzonego przez Węgierską Akademię Nauk, w ciągu ostatnich dwóch dekad liczba etnicznych Węgrów w regionie Zakarpacia zmniejszyła się o ponad 20 tys.: ze 152 tys. do 131 tys. osób. – Jednakże badacze, by zminimalizować skalę ubytku, potraktowali jako Węgrów także tych węgierskojęzycznych Romów, którzy identyfikują się z Węgrami, a jest to prawie 6 tys. ludzi – mówi Dmytro Tużański z Użhorodu, dyrektor Instytutu Strategii Środkowoeuropejskiej.

Tużański przyznaje: – Węgierska wspólnota Zakarpacia zmniejszyła się przede wszystkim z powodu emigracji na Węgry.

W pułapce

Diagnozę prof. Elly Libanowej o niskiej atrakcyjności projektu „niepodległa Ukraina” w percepcji wielu jej obywateli potwierdza codzienność. W taksówce na lwowskie lotnisko do rozmowy po polsku włącza się kierowca, także po polsku. Okazuje się, że pracował już wcześniej w Polsce, w Poznaniu, jako monter drzwi. Na pytanie, czy wybiera się znów do Polski, krótko przytakuje: – Tutaj nie ma nic, żadnych perspektyw.

To, co jest zbawieniem dla polskiej gospodarki – pozyskiwanie pracowników, którzy łatwo się integrują – dla gospodarki ukraińskiej może być w dłuższej perspektywie czymś dramatycznym. Już teraz, według szacunków za ubiegły rok, jedynie 11 mln Ukraińców zadeklarowało jakiś dochód, a kolejnych 11 mln nie zadeklarowało żadnego dochodu. Dalsze 11 mln to emeryci, których świadczenia zależą od oficjalnych dochodów pracujących. Wszystkie trzy powyższe kategorie obywateli korzystają z opieki zdrowotnej, z systemu oświaty, infrastruktury itd., lecz z perspektywy budżetu państwa już dziś jeden pracujący utrzymuje w ten sposób aż dwóch niepracujących.

Przy takiej strukturze zatrudnienia państwo nie może być na dłuższą metę efektywne i nowoczesne, a tym samym nie może być pożądanym miejscem do życia. I tak pułapka demograficzna się zamyka.

© TADEUSZ IWAŃSKI

Zakładnicy Kremla

MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA

Odkąd Rosja anektowała Krym, w domach pozostałych na półwyspie Tatarów nikt nie śpi spokojnie. Represje się nasiliły.

NIEPOKOI KAŻDY SZUM NA ZEWNĄTRZ. Gałęzie stukają o okno czy przyszyły rosyjskie służby? FSB (Federalna Służba Bezpieczeństwa) dobija się do domów swych ofiar w nocy lub nad ranem. Krymskie Tatarki już wiedzą: gdy służby zabierają męża, prawdopodobnie zostanie osądzony na pokazowym procesie i skazany za ekstremizm, terroryzm lub podobne przewinienia nawet na kilkanaście lat kolonii o zaostrzonym reżimie. Kary najczęściej odbywają na dalekiej rosyjskiej prowincji, co zdaniem obrońców praw człowieka ma na celu utrudnienie więźniom politycznym kontaktu z rodzinami.

Szewketa Useinowa i Eldara Odomanowa aresztowano 3 września. A 4 września, w nocy – kuzynów Azyza i Asana Achtemowów. Funkcjonariusze FSB w maskach porwali mężczyzn, nie okazując żadnych dokumentów uzasadniających aresztowanie. W ciągu dwóch dni lista dzieci dorastających na półwyspie bez ojców poszerzyła się o kolejne nazwiska. I przekroczyła już dwieście pozycji.

Kreml: mamy zakładników

Nariman Dżelal, szpakowaty czterdziestolatek w okularach, pytany o to, czemu nie wyjeżdża z okupowanego Krymu, uśmiechał się łagodnie i odpowiadał, że przecież żyje spokojnie na swojej ziemi i nie popełnia żadnego przestępstwa – a jego naród przetrwał już stalinowskie represje i nie po to wrócił na Krym z deportacji, aby teraz uciekać. Jako zastępcę Refata Czubarowa, szefa Medżlisu, samorządu Tatarów Krymskich, był dla społeczności źródłem moralnego wsparcia oraz swego rodzaju centrum koordynacji pomocy dla rodzin więźniów politycznych.

Tydzień wcześniej Nariman wrócił z Kijowa po pierwszej konferencji Platformy Krymskiej, międzynarodowego szczytu poświęconego tematyce okupowanego półwyspu. Rosyjskie służby określiły całe wydarzenie jako zmasowany atak na jedność terytorialną Rosji, a odważne przemówienie Narimana o łamaniu praw człowieka na półwyspie – jako noszące znamiona terroryzmu.

4 września w nocy poinformował na Facebooku o zatrzymaniu Asana Achtemowa. Kilka godzin później rosyjskie służby przyszyły i po niego. Na oczach żony i czwórki małych dzieci wiceszef Medżlisu został wciągnięty do nieoznakowanego busa i wywieziony w nieznanym kierunku.

Ukraińskie władze oraz media uznały zatrzymanie Narimana za „zemstę Putina za Platformę Krymską” i wezwały opinię międzynarodową do reakcji. Ich zdaniem po spektakularnym ciosie piarowym, jak udział polityków wszystkich krajów UE w wydarzeniu poświęconemu tzw. deokupacji Krymu, Rosja miała potrzebę przypomnieć światu, że jej zdaniem Krym należy do Rosji – a mieszkający tu ludzie są zakładnikami, z którymi okupacyjna władza może robić, co chce.

Areszt za pytania

Po dobie od pierwszych aresztowań nikt nie wie, dokąd wywieziono pięciu zatrzymanych. Adwokaci nie otrzymują od służb żadnej odpowiedzi, gdy starają się ustalić miejsce przetrzymywania swoich klientów. Pod budynkiem FSB w Symferopolu zaczynają się zbierać zrozpaczone rodziny, a także znajomi i sąsiedzi zatrzymanych.



KRYMSKA SOLIDARNOŚĆ

„Zniknęli ludzie. Funkcjonariusze w maskach wyciągnęli ich z domów bez okazania jakiegokolwiek podstawy prawnej. Ich sąsiedzi i bliscy chcą się po prostu dowiedzieć, co się z nimi stało. Stoimy tu pokojowo, czekając na jakąś informację od służb” – informują.

Z czasem grupą około stu osób zaczyna interesować się policja.

60-letnia Zudije Salijewa już niczego się nie boi. Jej jedyny syn jest w więzieniu od 2017 r.

„Przyszedłmy usłyszeć, gdzie jest pięciu porwanych przez służby mężczyzn! Gdzie mamy się dowiedzieć, co się z nimi stało? Mammy siedzieć w domu? Powiedzieć to rodzicom Riszata Ametowa! Gdy go zabraliście, znaleźli go martwego po dwóch tygodniach!” – odpowiada policji próbującej usunąć ją z placu.

Około godziny 17 na tłum rusza oddział specjalny OMON i zaczyna wciągać zebranych do furgonetek. Tatarscy aktywiści rejestrują wszystko na telefonach.

„On nic złego nie zrobił, przyszedł tu tylko, by sprawdzić gdzie jestem!” – wykrzykuje jakaś kobieta po tym, jak OMON wciąga do wozu towarzyszącego jej mężczyznę. Aktywiści z Krymskiej Solidarności ustalają listę aresztowanych pod wpisem na Facebooku. Co chwilę dochodzą nowe nazwiska. „Mój powiedział, że go zatrzymali, potem już nie odbierał! Czy ktoś go widział?” – pisze zdenerwowana kobieta.

Łącznie do aresztu trafiło ok. 60 osób, w tym również przypadkowi przechodnie. Wśród zatrzymanych jest ojciec Asana Achtemowa i młodszy brat Aziza. Po kilku godzinach wszyscy zostają wypuszczeni – poza bliskimi więźniów.



ELMAZ AKYMOVA

Nariman Dżelal,
oskarżony wiceszef
Medżlisu, w rozmowie
z prawnikiem
Nikołajem Położowem.
Sąd w Symferopolu,
6 września 2021 r.

Po lewej: zatrzymanie
Tatarów Krymskich,
którzy przyszli pod siedzibę
FSB w Symferopolu,
by wesprzeć rodziny
aresztowanych,
5 września 2021 r.

– Takie rodzinne represje to szantaż. Mają zastraszyć naszą społeczność, a także zwiększyć presję na uwięzionych – oburza się M., jeden z uczestników wydarzeń na półwyspie, którego imienia i nazwiska ze względów bezpieczeństwa nie publikujemy. – W ten sposób pokazują więźniom, że są bezkarni i mogą w każdej chwili uwięzić także całą ich rodzinę. Co czuje człowiek przez cały dzień przetrzymywany w kajdankach, z workiem na głowie, gdy słyszy, że służby zatrzymały również jego tatę czy brata? Przecież wie, że może dostać każdy możliwy wyrok na podstawie sfinansowanych dowodów, więc nie chce, by to spotkało też jego bliskich. To tortury psychologiczne. Metody stosowane przez rosyjską maszynę represji wykraczają w tym momencie poza jakiegokolwiek normy człowieczeństwa – mówi M.

Dywersanci z promptera

„Ukraiński wywiad zorganizował dywersję na Krymie” – głosi tytuł video opublikowanego następnego dnia w rosyjskich mediach. „Powinni dostać karę śmierci, zabić terrorystów!”, komentuje jeden z rosyjskich internautów.

Kuzyni Azyz i Asan mówią szybko, literackim rosyjskim, choć, jak podkreślają ich znajomi, nigdy się takim nie posługiwali. Ich historia jest zaskakująco szczegółowa. Brzmi, jakby czytali gotowy tekst z promptera. Mężczyźni opisują śledczym, jak minuta po minucie przebiegała ich współpraca z Narimanem w celu wysadzenia w powietrze gazociąg w Symferopolu. Trudno ocenić, w jakim są stanie – twarze zostały zamazane. Asan podczas nagrania cały czas trzyma się za brzuch, co według obrońców praw człowieka może świadczyć o tym, że był torturowany.

Zatrzymanym wciąż nie pozwolono się spotkać z adwokatami. Za to Asan Achtemow poparł wniosek śledczych o swój areszt. „Zmusili go. Coś takiego się nie zdarza, jeżeli nad człowiekiem się wcześniej nie znęcano” – komentuje adwokat Ajder Azamatow.

Nariman opisał w liście przekazanym swojemu prawnikowi, że gdy minął się z Asanem na korytarzu w budynku FSB, zapytał go, czy wszystko dobrze. Mężczyzna pokręcił głową.

„Bili cię?” – upewnił się, a Asan przytaknął.

Powtórka z 1944

Więźniów tym razem oskarżono o dywersję. To nietypowe – Tatarów Krymskich skazuje się zwykle na kolonie karne pod zarzutami ekstremizmu i przynależności do religijno-społecznego ruchu Hizb-ut-Tahrir – na Ukrainie legalnego, a w Rosji zakazanego. Obrońcy praw człowieka uważają takie wyroki wobec Tatarów Krymskich za represje na tle politycznym.

– Chodzi o to, by organizacje międzynarodowe nie mogły uznać Narimana i reszty za więźniów politycznych – uważa M. – W ten sposób pokazują też swojemu społeczeństwu, że zamknęli groźnych dywersantów, którzy w dodatku sami się „przyznali”, jeśli można tak nazwać świadectwa dawane pod wpływem tortur. Rosyjskim władzom przyda się taki obraz przed wyborami do Dumy, które mają się odbyć za dwa tygodnie.

Zdaniem M. rosyjskie społeczeństwo jest utrzymywane w strachu przed wrogami wewnętrznymi, rzekomymi terrorystami. Dzięki temu mało kto krytykuje system represji. Obywatele Rosji są już

w takim stanie paranoi, że gotowi są legitymizować powrót stalinowskich metod.

– Powróciliśmy na naszą ziemię po Wielkiej Deportacji wraz z babcią, która to wszystko przeżyła. Dobrze, że babcia nie widzi tego, co się u nas teraz dzieje. Między 1944 rokiem a tym, co odbywa się na Krymie obecnie, jest znak równości. To jest po prostu nowa forma deportacji. W dzisiejszych czasach deportowane ludzi w bydłowych wagonach, tak jak zrobił to Stalin w 1944 r., jest niezgodne z koncepcją „cywilizowanego świata”. Dlatego stara się zmusić nasz naród, byśmy ze strachu o życie swoje i rodzin sami wyjeżdżali – stwierdza M.

Dodaje też, że nie wie, co dalej czeka naród Tatarów Krymskich.

– Od 2014 r. mamy tu areszty, tortury, zaginięcia ludzi. Zdarzały się już mordy podczas tortur. Na całym półwyspie kobiety wychowują dzieci samotnie, bo ich mężowie siedzą w więzieniach. Nie wiem, co będzie dalej. Czy może być gorzej? Mnie samego oskarżano już o szerzenie nienawiści między narodami tylko dlatego, że po tym, jak Rosja zajęła Krym, pisałem o tym na Facebooku.

M. mówi, że chce pokazać światu, co się tu dzieje: że po ulicach jeżdżą czołgi i rosyjskie pojazdy wojskowe.

– To, co robimy na Krymie, to walka o prawdę, a nie szerzenie nienawiści – dodaje. – Ale dziś na Krymie prawda jest przestępstwem. ©

Rozmowę z Nikołajem Położowem, prawnikiem, który broni Tatarów Krymskich i innych więźniów politycznych na półwyspie – zobacz na powszech.net/krym

ŻE PANI TAKA WOLNA

Areszty, rewizje, pobicia: to niektóre ze środków represji stosowanych wobec polskich opozycjonistów w epoce Gierka. Jak sobie z tym radzili?

KAMIL DWORACZEK



W OFICJALNYM PRZEKAZIE POLSKA lat 70. XX wieku była krajem otwartym na świat i dialog z Zachodem, krajem, w którym ludziom „żyło się dostatniej”. Do dzisiaj w ten sposób myśli część osób starszego pokolenia, gotowych idealizować epokę Gierka.

Rzeczywistość była jednak od tego daleka, co najbardziej odczuwali przeciwnicy systemu komunistycznego. „W którymś momencie było tak, że walczyliśmy właściwie o przetrwanie. Mieliśmy wrażenie, że to ciągnie się i ciągnie, nic się jakby nie posuwa do przodu” – wspominała Danuta Stołecka, która pod koniec lat 70. była w gronie współpracowników Komitetu Obrony Robotników, pierwszego jawnego ugrupowania opozycyjnego w PRL.



„Byłam tym trochę zmęczona, miałam dosyć tego piekła w moim domu – przyznała opozycjonistka. – Stale ktoś tam mieszkał, stale jakieś zebrania, rewizje. Zaczęłam myśleć, że muszę się wycofać”. Stołecka dodała, że „potem szczęśliwie nastąpiła Solidarność i to wszystko przeszło”. Przynajmniej na chwilę.

Taktyka nękania

KOR rozpoczął działalność 45 lat temu, we wrześniu 1976 r. Początkowo jego głównym celem była pomoc represjonowanym robotnikom, biorącym udział w protestach przeciw podwyżkom cen w czerwcu 1976 r.

W jego skład weszli głównie znani literaci, artyści i działacze opozycyjni, którzy co najmniej od lat 60. byli na celowniku władz. Wkrótce wokół KOR skupił się krąg jego współpracowników. Zaczęły też powstawać kolejne inicjatywy opozycyjne, jak Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Studenckie Komitety Solidarności czy Wolne Związki Zawodowe.

Rozkwit niezależnych ugrupowań stanowił dla władz PRL nie lada wyzwanie. Początkowo planowano rozwiązanie siłowe, które sprowadzałoby się do wytoczenia procesów najważniejszym działaczom i skazania ich na więzienie. Ostatecznie zrezygnowano z tych pomysłów na rzecz szykan, które miały ograniczać działalność opozycjonistów i po prostu utrudniać im życie. Taktyka „nękania” lub „zawężonej represji”, realizowana przez Służbę Bezpieczeństwa, okazała się główną bronią w walce z opozycją przez najbliższe lata.

Jedną z najpowszechniejszych form represji były zatrzymania na dwie doby. Ówczesne prawo umożliwiało stosowanie tego środka bez sankcji prokuratora, więc SB sięgała po niego bez żadnych ograniczeń. Często było tak, że zwalniano zatrzymanych po regulaminowym czasie pobytu w areszcie, aby po kilku czy kilkunastu minutach ponownie ich zatrzymać. Liczono na zmęczenie „prze-ciwnika”, że wycofa się on z działalności niezależnej albo przynajmniej ją mocno ograniczy.

Spotkanie członków i współpracowników KOR w mieszkaniu Jacka Kuronia. Od lewej: Urszula Doroszevska, Piotr Naimski, Ewa Milewicz, Jan Ajzner oraz Zbigniew Sarata. Warszawa, styczeń 1980 r.

Na podstawie danych zebranych przez opozycję można częściowo odtworzyć skalę tego typu represji. W okresie od września 1976 r. do lipca 1978 r., a więc przez niecałe dwa lata, naliczono prawie 500 tego typu przypadków. Jednym z rekordzistów był Mirosław Chojecki (działacz KOR i niezależny wydawca), który w okresie 1976-80 został zatrzymany aż 44 razy i w sumie spędził kilka miesięcy w areszcie.

Na „dołku”

Bardzo często zatrzymywanie następowało o szóstej rano, czyli najwcześniej, jak tylko pozwalało na to prawo. Do dzisiaj u niektórych dawnych działaczy dźwięk dzwonka wyrywającego ich ze snu przywołuje uczucie niepokoju, które towarzyszyło im w czasach Gierka.

Sam pobyt w areszcie – wśród złodziei, pijaków, prostytutek i innych członków przestępczego półświatka – nie należał do przyjemnych. Adam Lipiński ze Studenckiego Komitetu Solidarności (SKS) we Wrocławiu wspominał: „Trzeba było oddać sznurówki, zegarek, wszystko z kieszeni – no, ta cała procedura. Potem wsadzano do celi. Cella była, jaka była: drewniane twarde łóżko i koc. Całkowicie nie pasowaliśmy do tego otoczenia, ale więźniowie szybko się zorientowali, że jest taka kategoria jak polityczni i traktowali nas z dużym szacunkiem”.

Ta forma represji była uciążliwa, utrudniała normalne funkcjonowanie, a tym bardziej działalność opozycyjną. Po jakimś czasie jednak spowszedniała – opozycjoniści osuwali się z chwilowym pozbawieniem wolności. Zdawali sobie sprawę, że za kilkadziesiąt godzin opuszczą „dołek”.

Krzysztof Grzelczyk, również z SKS, podkreślał: „Nie chciałem nikomu nic ujmować, ale represje były trochę wpisane w tę naszą działalność. (...) Jakkolwiek do przyjemności to nie należało, to też podjęcie z naszej strony było już w miarę bez emocji. No trudno, dobra, przez dwa dni się nie będę mył. To były takie konsekwencje, że człowiek po prostu w ubraniu spał na dechach”.

Dobrze ilustruje to też relacja jednego z jego kolegów, Krzysztofa Turkowskiego: „Nas zamykali tak – w piątek wieczorem zamykali, w niedzielę wypuszczali. Tak, żeby 48 [godzin] na weekend. To było dość nużące. Ja byłem wówczas fanatycznym kibicem siatkówki. ➔



TOMASZ MICHALAK / FOTONOVA X2



Po lewej: Mirosław Chojecki, w latach 70. organizator podziemnych wydawnictw i członek KOR. Warszawa, luty 1981 r.
Obok: Halina Mikołajska i Marian Brandys dostawali od SB przesyłki z martwymi myszami. Tu w ich mieszkaniu w Warszawie, kwiecień 1980 r.

→ Mecze odbywały się w Hali Gwardii, czyli w klubie policyjnym. Moim obiektywnym funkcjonariuszem był były siatkarz tej Gwardii. On mówi: – Przepraszam, ale nie pójdzie pan na mecz. Ja mówię: – Świństwo mi robicie. Przynajmniej na drugi mecz mnie puśćcie, na niedzielę rano. I raz się to zdarzyło! Pobiegłem do domu, z żoną poleciliśmy na mecz”.

Rewizja raz na kwartał

Bardzo często zatrzymanie powiązane było z wielogodzinną rewizją w mieszkaniu, po której dopiero przewożono domownika do aresztu.

Warto ponownie odwołać się do statystyk sporządzanych przez opozycję. W okresie od lipca 1977 r. do lipca 1978 r. naliczono 204 rewizje. Wspomniany już Chojecki doświadczył ich przez cztery lata swojej działalności piętnaście razy, czyli mniej więcej raz na kwartał. Z kolei mieszkanie Danuty Stoleckiej przez niecałe dwa lata (listopad 1978 – sierpień 1980) przeszukiwane było trzynastą razy.

Rewizje oznaczały konfiskaty podziemnych publikacji, ale też innego rodzaju rzeczy, np. maszyn do pisania, a nawet pieniędzy. Według „Raportu Madryckiego” z 1980 r. działaczom opozycji zabrano 89 maszyn oraz łącznie 1,2 mln zł (średnia pensja wynosiła wówczas 5-6 tys. zł). Konfiskowano również notatki i maszynopisy, niekoniecznie związane z nielegalną działalnością. Była to dodatkowa szykana utrudniająca aktywność naukową, literacką i publicystyczną, szczególnie wtedy, gdy zabierano jedyny egzemplarz jakiegoś tekstu.

Częste najścia na mieszkania, podobnie jak zatrzymania, były uciążliwe. Anka Kowalska opowiadała: „[Sąsiadka] napadała mnie na klatce: – Znowu łażą, znowu dom pod obserwacją, jak tu żyć. (...) [Później] córka sąsiadki powiedziała: – Tyle, co myśmy wycierpieli przez panią, to pani nigdy nie wycierpiała!”.

Ta relacja daje pewne wyobrażenie o szykanach: skoro oddziaływały one w taki sposób na sąsiadów, to co można powiedzieć o samych ofiarach? Bez wątpienia trzeba było mieć silną konstrukcję psychiczną, by znosić takie trudności i nie załamać się.

Truchło w bombonierce

Inną metodą należącą do repertuaru taktyki nękania były anonimowe telefony oraz listy. Takie działania SB można by dziś określić mianem stalkingu.

Doświadczali tego niemal wszyscy, a szczególnie Halina Mikołajska z KOR. Nie można wykluczyć, że SB uznała, iż wrażliwa aktorka najszybciej ugnie się pod tego typu represjami i wycofa się z działalności. I może by się tak stało, gdyby nie jej mąż i siostrzenica, którzy dyżurowali przy telefonie i odbierali pocztę. „Bo od roku poczta – podobnie jak telefon – stała się dla nas narzędziem tortur” – pisał mąż aktorki, Marian Brandys.

Przychodziło do niej od kilku do nawet kilkudziesięciu listów dziennie z pogrózkami albo wulgaryzmami. Sporo było listów od „robotników” potępiających działalność KOR i Mikołajską. Otrzymywała także ładnie wyglądające bombonierki, które zawierały m.in. cuchnące ryby albo

zdechłe myszy. Z kolei inny członek KOR, Aniela Steinsbergowa, otrzymała pudło prezerwatyw z dopiskiem: „Żeby tacy jak ty już się więcej nie rozmnażali”.

Brandys wspominał też telefony, jakie dostawali: „Głos męski – odpychający, z gatunku tych »zaropiałych« – Jest pani Mikołajska? – W tej chwili jest zajęta, nie może podejść. Czy coś przekazać? – Niech pan powie tej kurwie, żeby rzuciła swoją parszywą działalność w KOR-ze, bo człowieka łatwo można zabić”.

Innym razem: „Głos męski, ponury, nastrojowo ściszony – jak z głębi grobu: – Umrzesz... umrzesz... umrzesz...”.

Albo, w odmiennym stylu: „Ochrypli głos męski – wyraźnie rozbawiony: – Pani Halinka? – Nie ma pani Mikołajskiej – mówię, bo przeczuwam jakieś świństwo. – Jak może nie być, kiedy mam tu karteczkę: »sex rozrywka czynna całą dobę«. Podpisane: Halinka i ten numer telefonu...”.

Nie tylko ją nękano anonimowymi telefonami. Wspomina o tym również Jacek Kuroń: „Kiedyś o szóstej rano obudził mnie telefon i ktoś wrzeszczał mi w ucho: – Kuroń, śpisz, ty byku?”. Pisał też o Wacławie Zawadzkim, przeszło 75-letnim członku KOR, który otrzymywał telefoniczne pogróżki, że wkrótce zginie, „Cóż – odpowiadał – w każdym razie nie zginę młodo”.

Pies jak człowiek

Na tym wachlarz szykan się nie kończył. Przykładowo w samochodzie Mikołajskiej przecinano opony, spuszczano powietrze albo powodowano uszkodzenia grożące

wypadkiem. Auto zostało też oblane lakierem, a szyby zamalowano trudno usuwalną farbą. Innym razem włamano się do samochodu, o czym również wspomina Brandys: „W Radomiu tamtejsi »nieznani sprawcy« tak przemyślnie ukryli w zamarkach jej fiata butlę z zabójczo cuchnącą cieczą garbarską, że przez kilka dni nie można było z wozu korzystać”.

Zresztą nie tylko jej samochód był celowo uszkodzany. Barbarze Toruńczyk odkręcono śruby w kołach, co mogłoby skończyć się tragicznie, gdyby nie zostało w porę zauważone. Kontrolę nad swoim autem z niewyjaśnionych przyczyn utracili także Leszek Moczulski i Jan Dworak.

Dalej: nieznani sprawcy próbowali zaabić psa Mikołajskiej, rozsypując ostro zakończone kości przed wejściem do klatki schodowej. Niestety skuteczne okazały się podobne zabiegi w stosunku do psa Kurońów: ktoś podał mu truciznę na szczury ukrytą w mięsie. Truto również ich drugiego psa, taką samą truciznę zawieszano na drzwiach na wysokości pyska. Życie uratowała mu szybka interwencja weterynarza. Jeden z kolejnych anonimowych rozmówców telefonicznych ostrzegł później, że nie ma większej różnicy między otruciem psa a otruciem człowieka.

Zbiorowe doświadczenie

Wspomniane szykany należały do najczęściej stosowanych środków z repertuaru SB. Ale ich lista była znacznie dłuższa i obejmowała choćby zwolnienia z pracy, nachalną inwigilację, publikowanie fałszywek, karanie grzywną przez Kolegium ds. Wykroczeń, odmowę przyznania paszportu, a także pobicia – czasem, jak w przypadku krakowskiego działacza SKS Stanisława Pyjasa, ze skutkiem śmiertelnym.

Aparat państwa dysponował więc szerokim wachlarzem represji i działań nękających. Czy jednak były one skuteczne?

W pierwszym momencie wydawałoby się, że człowiek szybko powinien się załamać, nie wytrzymać psychicznej presji związanej z działalnością SB. I w niektórych wypadkach, szczególnie u osób o słabszej konstrukcji psychicznej, tak właśnie było. Z przytoczonych wspomnień wylania się jednak inny obraz. Większość opozycjonistów niejako przywykła do nowej sytuacji, w której poddawana była ciągłej obserwacji i szykanom. Stały się one poniekąd jednym z elementów ich nowego, opozycyjnego stylu życia. Któraś z kolei rewizja bądź



TOMASZ MICHALAK / FOTONOVA

*Sąsiedzi Anki Kowalskiej mieli do niej żal, że nachodząca ją SB zakłóca ich spokój.
Luty 1981 r.*

zatrzymanie na „dolku” przestawały robić na nich wrażenie, stawały się czymś powszednim.

Konrad Bieliński z KOR opowiadał: „Człowiek w ogóle boi się głównie rzeczy nieznanych. W związku z tym boimy się wyrzucenia z pracy, ale po dwóch kolejnych razach tego trzeciego się nie boimy. Wtedy już wiemy, jak się zachowujemy, gdy jesteśmy wyrzucani z pracy. To samo z aresztowaniem: boimy się pierwszego aresztowania, pierwszego przesłuchania, ale nie trzeciego, nie czwartego. Od początku lat siedemdziesiątych po kolei najpierw bałem się przesłuchania, a potem już nie bałem się, bo wiedziałem, co to jest. Bałem się policji politycznej, ale jak za mną chodzili przez miesiąc, to już przestałem się bać, bo wiedziałem mniej więcej, jak oni się zachowują. Myślę, że to w ogóle było takie zbiorowe doświadczenie, szczególnie po 1976 r.”.

Próg bólu

Dziś można zauważyć, że tego typu postawa ludzi opozycji jest charakterystyczna nie tylko dla epoki Gierka. Wydaje się ona czymś bardziej uniwersalnym, co można przypisać również opozycjonistom działającym dzisiaj w innych dyktaturach, również takich, gdzie skala represyjności jest dużo większa.

Taki wniosek nasuwa się choćby, czytając wypowiedzi niektórych działaczy białoruskich. Po przekroczeniu Rubikonu i rzuceniu otwartego wyzwania władzom zaczęło się dla nich nowe opozycyjne życie, do którego można jednak po pewnym czasie przywyknąć, nawet jeśli wiąże się z aresztem i utratą różnych życiowych możliwości.

To zjawisko zostało uchwycone chociażby w raporcie Studium Europy Wschodniej pt. „Białoruś 2021: Perspek-

tywa zmiany” z marca 2021 r. Czytamy w nim o „przesunięciu progu bólu” i większej odporności protestujących na spotykające ich represje. Autorzy raportu przytaczają np. wypowiedź jednego z liderów białoruskiej opozycji Siergieja Cichanouskiego, który mówił, że piętnastodniowy pobyt w areszcie przestał być czymś przerażającym. Stał się czymś akceptowalnym i znosnym, wpisanym w życie tamtejszych opozycjonistów. Znalazło to też odbicie w krążącym w internecie hasło mówiącym, że „każdy porządny Białorusin musi siedzieć”.

Co chyba najistotniejsze: z czasem w miejsce strachu pojawia się poczucie wolności, które niejako rekompensuje ponoszone straty oraz szykany. Warto w tym kontekście jeszcze raz wrócić do Polski lat 70. i ponownie zacytować dziennik Mariana Brandysa. Pisał on, że Adam Michnik jest „zachwycony atmosferą, jaką zastał w kołach korowskich i do KOR-u zbliżonych. Wiktor Woroszyński powiedział mu w niedawnej rozmowie: »Dzięki KOR-owi staliśmy się ludźmi wolnymi, a być w tym systemie wolnym człowiekiem to nie byle co«. I to jest prawda – mówi Adam, a jego młodzieńcza, rozradowana twarz jaśnieje w zapadającym mroku. – Ludzie przestali się bać! Czy nie na tym polega wolność?»”.

„Nie tylko my tak myślimy – dodawał Brandys. – Podczas niedawnej rewizji u Magdy Bocheńskiej-Chojeckiej jeden z rewidentów [funkcjonariuszy SB – red.], znalazłszy się z nią sam na sam w pokoju, powiedział: – Żal mi pani, a jednocześnie zazdroszczę. – Czego mi pan zazdrości? – Że pani taka wolna”.

© KAMIL DWORACZEK

Autor jest historykiem, pracuje w Oddziale IPN we Wrocławiu. Autor książek, m.in. „Niezależne Zrzeszenie Studentów 1980-1981”, „NSZZ Solidarność w PKP w latach 1980-1989”; redaktor tomu 3 i 4 „Encyklopedii Solidarności”. Píše książkę o skutkach katastrofy czarnobylskiej w Polsce (ukáže się w 2022 r.).

Cytaty pochodzą m.in. z: M. Brandys „Od dzwonka do dzwonka” [w:] „Moje przygody z historią” (2003); „Co nam zostało z tych lat... Opozycja polityczna 1976-1980 z dzisiejszej perspektywy”, red. J. Eisler (2003); K. Dworaczek, T. Przedpełski „Studenci Komitet Solidarności we Wrocławiu 1977-1980, t. 2, Relacje” (2017).

WOJCIECH

Bonowicz:

Słońce, ziemia, księżyc



ODETCHNIJMY TROCHĘ. ZAJMIJMY SIĘ CZŁOWIEKIEM WENĘTRZNYM W NAS, zawsze nieco mniej zadbany, słabiej odżywionym. „Jesteśmy wszyscy uśpieni w zewnętrznym człowieku”, pisał Jakub Boehme.

„Zewnętrzne” i „wewnętrzne” to niekoniecznie to samo, co cielesne i duchowe. Duchowość także może być „zewnętrzna”, a cielesność bywa przecież zwrócona „do wewnątrz”. Podział dwubiegunowy coraz słabiej sprawdza się w opisach człowieka; albo trzeba go zastąpić innym, albo wyznaczyć inne bieguny. Z drugiej strony jego prostotę potraktować można jako punkt wyjścia, szkic, ramę. „Zewnętrzność” przejawia się m.in. właśnie nadmiernym przywiązaniem do schematów, ujęć umownych, znaków uznanych kiedyś za orientacyjne. Człowiek wewnętrzny usiłuje wyjść poza te schematy, wie, że znaki to tylko znaki, a nie rzecz sama. Stara się uchwycić świat bardziej partykularnie, pojedynczo i zarazem to, co pojedyncze, wpisać w sieć relacji. Jego uwaga nie koncentruje się na przeciwieństwach i przeciwstawieniach, ale raczej na tym, co połączone i wspólne. Gdy wewnętrzny człowiek nastawiony jest na konflikt, wewnętrzny jest raczej skłonny do zgody i współdziałania. Wreszcie – inaczej widzi siebie nie tylko wobec innych ludzi, ale też wobec

natury: rozpoznawszy siebie jako jej część, czuje się odpowiedzialny za całość.

Spisuję te myśli, czytając wiersze Roberta Bly'a. W setną rocznicę urodzin Julii Hartwig sięgnąłem po cieniutki tomik jego utworów, który poetka przygotowała w połowie lat 80. Nosił tytuł „Jadąc przez Ohio”. To jedna z tych książeczek, które pomogły mi przejść z jednej dekady do drugiej. Szukałem wtedy w poezji prostoty, naturalności, potoczności. Robert Bly posługiwał się właśnie takim zdaniem, a poezja była dlań jedną z dróg wyjścia poza „zewnętrzność”. Cytat z Boehme – jak się dowiedziałem ze wstępu Julii Hartwig – otwierał pierwszy tom jego wierszy.

Nie miał tak dobrego słuchu jak jego koledzy ze studiów – John Ashbery czy Frank O'Hara. Ale jego wiersze przenikała specyficzna aura. Opisywany świat lekko się odkształcał, nabierał cech delikatnie surrealnych, dzięki czemu udawało się Blyowi ukazać takie związki między jego elementami, które dyskursywnie uchwycić byłoby trudno. Na ogół z nadto poważny, potrafił niekiedy śmiać się z siebie, choćby ze swej skłonności do ukrywania się przed ludźmi i poświęcania czasu rozmyśleniom. W jednym z wierszy zostawił taki swój portret:

*Wstaję późno i zastanawiam się, co dzisiaj trzeba zrobić.
Nic, w ten sposób farma wygląda nieporównanie lepiej.
Liście klonu kołyszają się tak zgodnie z podmuchami w trawie.
Cień szataś, gdzie piszę, jest bardzo mały przy
rozrastającym się drzewie.
Trzymaj się z dala od swoich dzieci, niech rosną krzepkie
jak rzodkiewki w trawie.
O brak pieniędzy niech się martwi twoja żona.
Cały twój żywot jest jak sen pijaka.
Przez cały miesiąc nie czesałeś włosów.*

Nie był bynajmniej abnegatem, a jego żony i dzieci, o ile wiem, nie miały powodu się skarżyć. Podobало mi się, że w wierszach – choć niekiedy ekstatycznych – swoje ja, po buddyjsku, umniejsza i wycofuje. Tę tendencję dobrze wyraża przywołany obraz: małeńki ludzki szataś pod rozłożystym i sięgającym coraz dalej klonem. W relacjach z naturą chciał być przejrzysty i miłosny, głosił radość ciała, której nie sposób nazwać hedonizmem, lecz raczej pokorą. Każda czynność prowadziła u niego do zjednoczenia, każde uczucie – jak w trzywersowym „Poemacie miłosnym” – zajmowało tyle miejsca, ile zdołało objąć:

*Kiedy kochamy, kochamy trawę
I stodoły, i słupy elektryczne,
I małe Ulice Głównie, opustoszałe nocą.*

Piszę o nim w czasie przeszłym, bo wspominam tamtą pierwszą lekturę, zresztą kilkakrotnie potem odnawianą. Dziś, kiedy odnawiam ją raz jeszcze, Robert Bly zbliża się do setki. Od blisko dziesięciu lat choruje na chorobę Alzheimera. „A jeśli moje ciało jest ziemią?”, pytał w jednym ze swoich poematów prozą. „To, co było we mnie słońcem przez cały dzień, spadnie pod ziemię i podróżować będzie rozgrzaną drogą wśród podoceanicznych ciemności. (...) A potem wejdę do domu i położę się na kółku, i nagle mój księżyc zniknie”. ©

Z głębokim smutkiem zawiadamiamy,
że 3 września 2021 roku odeszła od nas

ś.†p.

Teresa Podoska

najukochańsza Mama, Kuzynka i Ciocia,
długoletni redaktor Wydawnictwa Literackiego,
wolontariusz Apteki Darów Stowarzyszenia
Pomocy Obywatelskiej
im. Anny Fiszerowej, człowiek wielkiego serca,
wrażliwy na potrzeby ludzi i zwierząt.

Pogrążony w żalu syn

JAN ŁUKASZ Z RODZINĄ

POŻEGNANIE

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 38/2021

MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU





Na okładce: litery układające się w słowo „Sybir”, które otwierają wystawę. Autorem zdjęcia jest Dawid Gromadzki.

60 Tomasz Danilecki
**DRUGA OJCZYZNA
POLAKÓW**

61 KALENDARIUM

62 Rozmowa
z Wojciechem Śleszyńskim
DROGA NA SYBIR

64 Barbara Sokólska,
Anna Dziurdzikowska
WSPOMNIENIA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO
„TYGODNIKA POWSZECHNEGO”
NR 38/2021
www.TygodnikPowszechny.pl

REDAKCJA:
Michał Sowiński

OPIEKA WYDAWNICZA:
Maja Kuczmieńska,
Marta Filipiuk-Michniewicz

PROMOCJA:
Patrik Stanik, Monika Ochędowska

PROJEKT GRAFICZNY:
Marek Zalejski

FOTOEDYCJA:
Edward Augustyn

SKŁAD:
Anna Prusiewicz, Renata Surowiec
DoLasu

KOREKTA:
Katarzyna Domin, Sylwia Frołow

PARTNERZY

**MUZEUM
PAMIĘCI
SYBIRU**

Białystok



Instalacja z żołnierskich guzików w Memoriale Zbrodni Katyńskiej, Muzeum Pamięci Sybiru

Druga Ojczyzna Polaków

TOMASZ DANILECKI

Tak nazywał Syberię Józef Piłsudski, najsłynniejszy polski zesłaniec. Miał co prawda na myśli tylko tych, którzy trafili tam za karę, jednak historia polskiej obecności w głębi Rosji nie ogranicza się do katorżników.

SYBIR TO OPowieść, w której niewyobrażalne cierpienie przeplata się z brawurą odwagą, poniżenie i śmierć z ambicją i pragnieniem lepszego życia, porażka z wielkim sukcesem, a ludzka pasja – ze zrzędzeniami ślepego losu. Taką właśnie narrację o Sybirze: wyobrażonej krainie w Rosji, a potem w Związku Sowieckim, której granice wyznaczała obecność i cierpienie Polaków, prezentuje Muzeum Pamięci Sybiru.

Pierwszymi eksploratorami ziem położonych na wschód od Uralu – na wpół mitycznej Tartarii – byli myśliwi i moskiewscy kupcy zapuszczający się tam od XVI w. w pogoni za „twardą walutą” tamtych cza-

sów – sobolowymi i gronostajowymi skórami. Pierwszym Polakiem, który znalazł się za Uralem, nie był jednak ani myśliwy, ani kupiec, lecz nieznany z imienia sekretarz sybirskiego chana Kuczuma, z którym w końcu XVI w. walczył zwycięsko słynny Jermak – kozacki zawadiaka na żołdzie rosyjskich kupców Stroganowów.

To właśnie Stroganowowie w 1574 r. uzyskali od cara Iwana IV Groźnego przywilej zagospodarowania ziem na wschód od Uralu. W rekordowo krótkim czasie – niespełna sto lat – Kozacy i kupcy opalniali obszar, na którym dzisiejsza Polska zmieściłaby się około 40 razy. Było to możliwe, ponieważ chanat sybirski upadł,

a miejscowe plemiona nie były w stanie przeciwstawić się uzbrojonym w broń palną Moskwianom.

Pierwszym „zesłańcem” na Sybir był dzwón z Uglicza nad Wołgą, którego bicie miało podlegać tamtejszych mieszczan do zamieszek po zamordowaniu w 1591 r. najmłodszego syna Iwana IV Groźnego. Pozbawiony serca i uszu, został „zesłany” do Tobolska. W ślad za nim przez kolejne stulecia trafiali na Syberię głównie włóczędzy, przestępcy kryminalni, ale też polityczni. Polacy zawsze stanowili wśród tych ostatnich bardzo znaczącą grupę, i to nie tylko pod względem liczebności. Od konfederacji barskiej począwszy, a na rewolucji 1905 r. skończywszy, wszystkie zrywy powstańcze i kolejne antycarskie spiski skutkowały falami zesłań.

Największa z nich nastąpiła po powstaniu styczniowym i objęła rzeszę niemal 40 tys. ludzi – zwykle młodych, często znakomicie wykształconych. Wraz z nimi (zwłaszcza po 1862 r., kiedy to uruchomiono kolej warszawsko-petersburską i sukcesywnie rozbudowywano linie kolejowe przecinające Syberię) ruszali za Ural Polacy, którzy z powodu prawnych restrykcji narzucanych w ramach planowej rusyfikacji nie mogli pełnić wysokich funkcji, urzędów czy swobodnie obracać swoim majątkiem. Ruszali na Syberię także ci, którzy widzieli w niej nową „ziemię obiecaną”: inżynierowie, odkrywcy, badacze czy wreszcie setki tysięcy chłopów z Królestwa Polskiego i zagarniętych przez Rosję ziem dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, których głód ziemi wyganiał nie tylko do obu Ameryk, ale też na wschodnie krańce świata.

Wielu z nich wracało po latach do kraju, wielu jednak znalazło na Syberii swój nowy dom. Do dziś są pamiętani jako ci, którzy przynieśli tam zdobycze światowej cywilizacji. Jednym z najbardziej znanych w Rosji jest Alfons Koziell-Poklewski, który w II połowie XIX w., początkowo jako carski urzędnik, a następnie wyjątkowo zdolny przedsiębiorca, dorobił się bajecznego majątku na państwowych koncesjach na alkohol, sól i cukier. Pomnażał go jednak dalej, organizując regularną żeglugę parowców po syberyjskich rzekach, eksplorując syberyjskie bogactwa naturalne: złoto, srebro, szmaragdy, rudy żelaza. Choć nie zbyt przychylni nazwali go „wódzanym królem Syberii”, to w pamięci zesłańców zapisał się jako człowiek, który dawał

pracę, opłacał powrót do kraju amnestionowanym, budował kościoły, cerkwie i przytułki.

Poklewski uosabia losy tysięcy Polaków, którzy odnieśli na Syberii sukces, ale los jego nie mniej utalentowanych potomków jest symboliczny dla całej diaspory polskiej w Rosji początku XX w. Wraz z nastaniem rządów bolszewickich zarówno przedsiębiorcy, jak i chłopci stracili dorobek swojego życia. Prywatne przedsiębiorstwa znacjonalizowano, a gospodarstwa rolne włączono do kolchozów.

Prawdziwy dramat nastąpił w 1937 r., kiedy to w ramach tzw. operacji polskiej, realizowanej przez NKWD na rozkaz Stalina, życie straciło w Związku Sowieckim co najmniej 111 tys. Polaków tylko z racji swojego pochodzenia. Żyjących na Syberii oskarżano m.in. o prowadzenie antysowieckiej propagandy i tworzenie wyimaginowanego, tajnego Syberyjskiego Centrum Polskiej Organizacji Wojskowej. W ciągu niespełna dwóch lat w obwodzie nowosybirskim zamordowano 94 proc. wszystkich aresztowanych Polaków, zaś w irkuckim – 96 proc. W syberyjskiej wsi Białystok aresztowano 88 mężczyzn; żaden nie wrócił do domu.

Najżywszym elementem pamięci o polskim Sybirze są jednak cztery wielkie deportacje z lat 1940-1941, w których Sowietci wywieźli setki tysięcy obywateli polskich, czyniąc z nich „przymusowych niewolników”. Mniej pamięta się natomiast o deportacjach z końca wojny, które objęły m.in. Górnoślązaków, Kaszubów, Mazurów czy żołnierzy podziemia niepodległościowego. Jeszcze mniej znana jest historia ostatnich deportacji z byłych Kresów II Rzeczypospolitej, które trwały aż do 1952 r. – często najbardziej dramatycznych, bo obejmujących np. byłych żołnierzy Armii Andersa, którzy wyrwali się z Sybiru w 1942 r., a po wojnie zdecydowali się wrócić do swoich kresowych domów.

Cała ta skomplikowana mozaika śladów pamięci o polskiej obecności w głębi Rosji i Związku Sowieckiego prezentowana w Muzeum Pamięci Sybiru jest także opowieścią globalną. Nie tylko dlatego, że Sybiracy i ich potomkowie rozrzucony są dziś po całym świecie, ale również z tego powodu, że doświadczenie polskiego Sybiru jest także częścią świadectwa o sowieckich represjach, które dotknęły chyba wszystkie narody świata. ©

kalendarium

1886

Otwarcie linii kolejowej z Białegostoku przez Wołkowysk do Baranowicz i dalej do Moskwy. Na nowej trasie wybudowano kolejną stację w Białymstoku – Dworzec Poleski (późniejsza nazwa: Fabryczny).

1934

Tereny pomiędzy linią kolejową a ul. Węglową, dotąd prywatne, zostały wywłaszczone i przekazane Wojsku Polskiemu. Rozpoczęto tam budowę dużego kompleksu magazynów wojskowych.

1939

22 września do Białegostoku wkroczyli Sowietci i przejęli miasto z rąk Niemców. Magazyny przy ul. Węglowej zajęła Armia Czerwona.

1940-1941

Na bocznicach kolejowych Dworca Poleskiego podstawiano wagony towarowe. Ładowano do nich rodziny, które miały zostać deportowane na Sybir.

1943

W okresie okupacji niemieckiej w tym samym miejscu ładowano do wagonów Żydów z białostockiego getta. Do Treblinky i innych niemieckich obozów wywieziono kilkadziesiąt tysięcy Żydów.

1944

W lipcu Białystok ponownie znalazł się w rękach sowieckich. W listopadzie z bocznic Dworca Poleskiego odjechały trzy transporty internowanych – w sumie blisko 3 tysiące osób. Wywiezieni wówczas Polacy trafili do łagru w Ostaszkowie.

1945-2004

Po odejściu Armii Czerwonej magazyny zajęło polskie wojsko.

2005

Opuszczony przez wojsko teren, wraz z dawnymi magazynami, kupiło miasto Białystok.

Droga na Sybir

WOJCIECH ŚLESZYŃSKI,
DYREKTOR MUZEUM:

O przeszłości chcemy opowiadać przez pryzmat ludzkich doświadczeń, a trauma przymusowych przesiedleń jest doświadczeniem ponadnarodowym, w którym mogą odnaleźć się mieszkańcy całego świata.

MICHAŁ SOWIŃSKI: O czym opowiada wystawa w Muzeum Pamięci Sybiru?

WOJCIECH ŚLESZYŃSKI: O polskim, ale nie tylko, doświadczeniu zapisanym w słowie „Sybir”. Muzeum znajduje się w Białymstoku, ale ma charakter ogólnopolski. Nasze miasto to punkt węzłowy dla opowieści o traumatycznych wydarzeniach, ale jednocześnie jedynie pretekst dla zbudowania szerszego obrazu bolesnej historii XX wieku.

Czemu akurat Białystok?

Po przemianach politycznych 1989 r. zarówno historycy, jak i sami Sybiracy oraz ich rodziny byli zgodni, że należy oddać hołd ofiarom zesłanym w głąb Rosji w XIX i XX wieku. Proces przywracania pamięci o tym zbrodniczym procederze rozpoczął się równolegle w całej Polsce, ale to właśnie Białystok był oczywistym kandydatem dla lokalizacji muzeum.

Dlaczego?

W dzisiejszych granicach Polski nasze miasto jest najsilniej naznaczone doświadczeniem sybirskiej zsyłki. Inne ważne miejsca znajdują się obecnie już na terytorium Litwy albo Białorusi. Decyzja o powstaniu Muzeum została podjęta w 2010 roku przez prezydenta Białegostoku Tadeusza Truskolaskiego, urzędującego zresztą do dziś.

Lokalizacja w obrębie samego miasta też nie jest przypadkowa.

Muzeum położone jest przy ulicy Towarowej, gdzie niegdyś był Dworzec Pole-



Tadeusz Truskolaski, prezydent Białegostoku, i Wojciech Śleszyński, dyrektor Muzeum, podczas uroczystości podpisania i wmurowania aktu erekcyjnego Muzeum Pamięci Sybiru, październik 2018 r.

ski. Ówczesna rampa kolejowa kończyła się dokładnie tu, gdzie teraz jest wejście do budynku Muzeum. To z niej w latach 1940-41 Sowietci wywozili ludzi w głąb Rosji, ładując ich do bydłowych wagonów. Jeden z takich oryginalnych wagonów otwiera naszą wystawę. Trzeba przez niego przejść, niczym przez bramę, aby wejść w tamtą rzeczywistość.

A sam budynek?

Składa się z dwóch części – ta historyczna, odremontowana, była niemym świadkiem tamtych wydarzeń. Podobnie zresztą jak same tory. Przed wojną był to magazyn wojskowy, we wrześniu 1939 roku przejęty przez Armię Czerwoną. Do tego kompleksu z czerwonej cegły dobudowaliśmy drugą część – z betonu i stali, gdzie znajdują się pomieszczenia administracyjne, sale kinowe i kawiarnia. Razem tworzą spójną całość, choć wizualnie odcinają się od siebie.

Miejsce to jedno – a jak wyglądał proces odbudowywania pamięci o Sybirakach?

Na całym Podlasiu była ona zawsze bardzo silna. Do tego środowisko Sybiraków od początku było świetnie zorganizowane i prężnie działało. Powstała na przykład sala pamięci w kościele pod wezwaniem Ducha Świętego, zaraz przy grobie Nieznanego Sybiraka.

Dziś już żyje niewiele Sybiraków.

Ci z nich, którzy są jeszcze wśród nas, w głąb Związku Sowieckiego wywożeni

byli jako małe dzieci. Dlatego ich wspomnienia są najczęściej tak naprawdę wspomnieniami ich rodziców. Świadków tamtych wydarzeń już niedługo nie będzie – to kolejny powód, dla którego czujemy się zmobilizowani, aby zadbać o pamięć o tamtych wydarzeniach. A także zebrać doświadczenia kolejnych pokoleń, dotkniętych pośrednio traumą Sybiru. To zadanie szczególnie trudne, bo potomkowie deportowanych rozrzucony są dziś po całym świecie.

Sama pamięć to jednak nie wszystko.

Oczywiście, niezbędne są również rzetelne i pogłębione badania naukowe. I tu my, historycy, mieliśmy niełatwe zadanie. Dopiero w latach 90. pojawiła się możliwość wejścia do rosyjskich i białoruskich archiwów, które przez prawie dwa stulecia gromadziły ślady i dokumenty o zsyłanych na Sybir Polakach. Przez te trzy dekady białostoccy badacze zdobyli wyjątkowe w skali Polski i świata doświadczenie w poruszaniu się po tych przepastnych zbiorach, zbudowali też bezcenne relacje z historykami i archiwistami z innych krajów.

Nie było problemów natury politycznej?

Tam, gdzie lepiej było nie używać nazwy Muzeum, pomagały stopnie naukowe i akademicka afiliacja. Sam jestem profesorem białostockiego uniwersytetu i to otwierało zaskakująco wiele drzwi. Ale generalnie rzecz biorąc – pomimo napiętych relacji międzynarodowych, współpraca

z partnerami ze wschodu układa się bardzo dobrze. Mamy na przykład podpisaną umowę o współpracy z Kunstkamerą, drugim co do wielkości muzeum etnograficznym na świecie, które mieści się w Petersburgu. Mamy też świetne relacje z władzami niedawno powstałego Muzeum Historii Głodu w Moskwie. My, muzealnicy, dogadujemy się ze sobą, i oby tak zostało.

W nazwie Muzeum jest słowo „Sybir”, a nie „Syberia”.

Celowo zdecydowaliśmy się na pojęcie polityczno-historyczne, a nie geograficzne. W języku polskim, co zresztą tłumaczymy już w pierwszej sali naszego Muzeum, słowa „Syberia” i „Sybir” znaczą trochę co innego. To drugie obejmuje terytorium szersze, także Kazachstan, Uzbekistan i północne obszary europejskiej części Rosji – czyli wszystkie miejsca, gdzie byli zsyłani i deportowani Polacy.

Wystawa zaczyna się od olbrzymich liter składających się na słowo „Sybir”, kończy się natomiast analogicznie zapisanym słowem „Pamięć”.

Jak ją Pan definiuje?

Opowiadamy o jej najróżniejszych formach – od tej najbardziej oczywistej, czyli bezpośrednich wspomnień samych Sybiraków, przez relacje ich bliskich oraz potomków, aż po jej materialną postać, czyli najróżniejsze przedmioty, które noszą piętno tamtych traumatycznych doświadczeń. Pamięć jest kluczowym elementem naszej tożsamości. Gdy człowiek traci pamięć, staje się kimś zupełnie innym, niż był do tej pory. Ta sama zasada stosuje się do wszystkich wspólnot, społeczeństw czy narodów. Nie da się funkcjonować bez pamięci we współczesnym świecie.

Z pamięcią narodową często bywają problemy...

Bo to bardzo złożone pojęcie, które jest jednocześnie czymś więcej i czymś mniej niż suma pamięci wszystkich przedstawicieli narodu. Pamięć jednostkowa oczywiście kształtuje pamięć zbiorową, ale ta relacja działa również w drugą stronę. Pamięć każdej wspólnoty kształtują również te elementy, które celowo lub przypadkiem, zostały zapomniane. Czasami można się w tym pogubić, dlatego potrzebne są takie instytucje jak nasza – nie tylko upamiętniające konkretne osoby i wydarzenia, ale również dbające o kształt debaty, w obrębie której o pamięci możemy rozmawiać.

Każda rozmowa o historii Polski budzi emocje i spory – tu też?

W przypadku pamięci o ofiarach Sybiru raczej panuje zgoda, udało nam się uniknąć większych tarć, co jest szczególnie cenne w dzisiejszych czasach permanentnych konfliktów ideologicznych.

Zachowujecie neutralność?

To źle postawiony problem. Mamy ambicje być muzeum, które o przeszłości opowiada przez pryzmat ludzkich doświadczeń, a trauma związana z przymusowymi przesiedleniami i katorżniczą pracą jest doświadczeniem ponadnarodowym, w którym mogą odnaleźć się mieszkańcy całego świata, a naszej części Europy w szczególności. To też okazja do budowania wspólnoty ponad podziałami – weźmy choćby nasze spory z Ukraincami w kwestii interpretacji wydarzeń na Wołyniu. Tu na pewno szybko nie dojdziemy do porozumienia, ale już bolesne wspomnienie zsyłek jest oby-

dwu narodom bliskie. Na tej płaszczyźnie możemy rozmawiać – co już zresztą się dzieje, bo świetnie nam się współpracuje z Muzeum Pamięci Ofiar Wielkiego Głodu w Kijowie.

Muzeum, zresztą jak wszystkie wymieniane wcześniej instytucje, to placówka bez zakurzonych gablotek.

Bliska nam jest idea muzeum narracyjnego, pobudzającego wszystkie zmysły odwiedzających: obraz, dźwięk, dotyk, w niektórych salach operujemy nawet temperaturą. Częścią muzeum jest też restauracja, gdzie za pomocą kuchni opowiadamy pewną historię – o życiu na międzywojennych kresach. Każdy będzie mógł spróbować dań sprzed stu lat.

Ale mało u Was – w porównaniu do innych muzeów tego typu powstałych ostatnio – multimediów.

To znowu celowy zabieg. Oczywiście korzystamy z nowych technologii, ale są one na drugim planie. Bardzo zależało nam, żeby przez wystawę prowadzili sami więźniowie – ich zdjęcia, głosy i przedmioty. Z tego samego powodu w większości miejsc zrezygnowaliśmy z komentarzy profesjonalnych historyków-naukowców. To sami Sybiracy mają opowiedzieć o tamtej rzeczywistości.

©© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

WOJCIECH ŚLESZYŃSKI (ur. 1970) jest historykiem i politologiem. Profesor nauk humanistycznych, w latach 2012-2016 dziekan Wydziału Historyczno-Socjologicznego Uniwersytetu w Białymstoku, w latach 2016-2020 prorektor ds. kształcenia. Od 2017 r. dyrektor Muzeum Pamięci Sybiru.

Budynek Muzeum i tory kolejowe z wagonem tzw. ciepłuszką (wejście na wystawę)



kalendarium

→ 2010

Jeden z dawnych magazynów wojskowych wraz z otaczającym go dwuhektarowym terenem został wydzielony z całego kompleksu. Prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski zdecydował o budowie w tym miejscu Muzeum Pamięci Sybiru.

2012

Pracownia Arkon Jana Kabaca zakończyła trwające od roku prace nad dokumentacją projektową Muzeum. Przygotowana koncepcja zakładała zachowanie oryginalnego wojskowego magazynu z przeznaczeniem na cele wystawiennicze, a także dobudowanie do niego nowoczesnego budynku.

2014

17 września wyłoniono zwycięzcę konkursu na opracowanie koncepcji programowo-przestrzennej aranżacji wystawy stałej Muzeum – belgijską pracownię Tempora.

2016

W październiku Miasto Białystok podpisało umowę z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego na dofinansowanie Muzeum. W tym roku zrealizowano także wstępny etap budowy.

2017

1 stycznia Muzeum rozpoczęło funkcjonowanie jako samodzielna instytucja kultury wydzielona z Oddziału Muzeum Wojska w Białymstoku. W tym samym roku udało się przygotować projekt wystawy, a także uzyskać dla niego dofinansowanie z Unii Europejskiej.

2018

Przetarg na wykonanie stanu surowego budynku Muzeum został rozstrzygnięty – wygrała firma Budimex SA. W kwietniu podpisano umowę i budowa ruszyła. 15 października, w obecności Sybiraków, ich rodzin i innych gości, uroczystie podpisano, →

Wspomnienia

BARBARA SOKÓLSKA

SYBIRACZKA, DEPORTOWANA W KWIETNIU 1940 r.

MÓWIMY O NIM: NASZE MUZEUM.

Dla nas, Sybiraków, to coś wspaniałego. Kiedy obejrzałam wystawę, byłam wzruszona, potem długo ją przeżywałam. Wszystko robiło na mnie wrażenie: pomnik Bohaterskiej Matki Sybiraczki przed budynkiem i wejście przypominające srebrną tajgę syberyjską, i ten wagon, przez który się wchodzi na wystawę. Jej częścią jest zdjęcie mojej pięknej mamy zrobione w 1934 r., które udało się ocalić i przywieźć do Polski.

Muzeum zebrało mnóstwo niezwykłych rzeczy, przekazanych przez ludzi z różnych stron świata. Gdyby nie było tych autentycznych pamiątek i opowieści, nikt by o Sybirze pewnie nie wiedział. Cieszę się, że pamięć po nas przetrwa. To będzie wspomnienie pełne żalu, często i rozpacz, ale też radości, że przeżyliśmy. Myślę, że odwiedzających będą przechodziły ciarki, kiedy tam wejdą. Właśnie dlatego, że wszystko jest tam prawdziwe. ©



Barbara Sokólska, Białystok 2021 r.

Z ARCHIWUM MPS

Rozerwane fotografie wyznaczają na wystawie koniec kolejnych etapów życia deportowanych



ARCHIWUM MPS

ANNA DZIURDZIKOWSKA
PRAWNUCZKA SYBIRACZKI

NAZYWAMY ICH ŚWIADKAMI HISTORII. Ludzi takich jak moja prababcia. Żyje już ponad wiek – urodziła się w dwudziestoleciu, przeżyła wojnę, następnie komunizm. Widziała, jak rodziła się Solidarność i demokracja. Od zawsze lubię słuchać jej opowieści – o młodości w latach na poleskiej wsi, a następnie o wywóźce w głąb Kazachstanu, gdzie wieś Wiszniówka na kilka lat stała się jej domem oraz miejscem urodzenia mojej cioci i babci.

„W czerwcu 1939 roku w Motolu i Psyszczewie (woj. poleskie, teren II RP) ludzie mówili o nadchodzącej wojnie. Kiedy wybuchła, działa się obok. Dopiero w lutym 1940 roku NKWD zatrzymało i wywiozło mojego teścia” – tak początek wojny wspomina prababcia. Prapradziadek został wywieziony do łagru w okolicach Karagandy. Rodzinę odnalazł dopiero w Wiszniówce.

Po moich pradiadków NKWD przyszło 12 kwietnia 1940 roku. Swoją drogę za Ural zaczęli w wagonie towarowym w Janowie. Potem, w Mikłaszewicach, przesadzono ich do innego, zajętego już przez blisko 80 osób. Do miejsca zsyłki jechali ponad dwa tygodnie.

Jak wspomina prababcia: „Na początku do jedzenia było mięso, makaron.

Kołchoz przyznawał racje żywieniowe. Sytuacja jednak zmieniała się diametralnie z miesiąca na miesiąc. W pewnym momencie pracownikom zamiast zupy podawano gorącą wodę z moczonym chlebem”. Ze względu na dietę niemalże wyłącznie mączną często zapadano na szkorbut. Prababcia zachorowała na niego w 1941 roku.

Zima 1940-1941 (dla nich pierwsza w Kazachstanie) dała się we znaki. Ze względów pogodowych stanęły pociągi. Skończyły się nawet zapasy mąki, jedzono więc prażoną pszenicę. Życia uczyli się od mieszkańców Wiszniówki, którzy od pierwszych dni wiosny planowali już zapasy na następną zimą.

„9 maja 1945 roku obudziła mnie orkiestra. Z głośników dowiedzieliśmy się o podpisaniu kapitulacji przez Niemcy. Ucieszyłam się, ponieważ miałam nadzieję, że to oznacza powrót do mojego rodzinnego Motola”.

Z Kazachstanu wyjechali – jak wskazuje karta repatriacyjna – 5 kwietnia 1946 roku. Droga do ojczyzny skończyła się w Szczecinie.

Moja prababcia, Anna Buczyk, 21 sierpnia 2021 roku skończyła 100 lat. Szczecinianką jest od 75 lat. ©®

Zebranie Związku Patriotów Polskich, które odbyło się prawdopodobnie w szkole w Wiszniówce.

W pierwszym rzędzie w środku mąż Anny, Włodzimierz – pradiadek autorki tekstu



Symboliczne schody prowadzące zwiedzających „na Sybir”

poświęcono i wmurowano w fundamenty gmachu akt erekcyjny Muzeum. Wyrażono w nim m.in. przekonanie, że „Instytucja ta dbać będzie o zachowanie pamięci o ofiarach i zbrodniach, które sprawiły, że daleka Syberia zmieniła się w polskiej świadomości ze wspaniałej i bogatej krainy w okrutny Sybir – Nieludzką Ziemię”.

2019

19 czerwca ogłoszono wykonawcę wystawy stałej Muzeum – wygrała firma Deko-Bau. Wybrano też projekt instalacji artystycznej – zwyciężyła koncepcja autorstwa Martyny Pająk. W sierpniu do wnętrza obiektu został wprowadzony największy eksponat Muzeum – rosyjski wagon towarowy z 1892 r., tzw. ciepłuszka. W grudniu zakończyły się prace budowlane i Tadeusz Truskolaski, prezydent Białegostoku, przekazał Wojciechowi Śleszyńskiemu, dyrektorowi Muzeum, klucze do nowego gmachu. Muzeum zostało laureatem konkursu Top Inwestycje 2019.

2020

Rok intensywnych prac nad wystawą stałą i wyposażeniem obiektu. Dużym zainteresowaniem cieszyła się akcja #Zapamiętani, dzięki której do Muzeum spłynęły z całego świata fotografie Sybiraków i ich rodzin.

2021

Muzeum otwiera się dla zwiedzających.



PIER MARCO TACCA / GETTY IMAGES

STUŁBIO, POBUDKA!

Fazy czuwania i spania występują u niemal wszystkich zwierząt, nawet tych najślabiej z nami spokrewnionych i pozbawionych mózgu. Nowe odkrycia rzucają światło na zagadkę ewolucji snu.

KASPER KALINOWSKI

MY, LUDZIE, PRZESYPIAMY JEDNĄ TRZECIĄ życia. I tak naprawdę nie do końca wiemy, dlaczego. Jesteśmy wtedy bezradni wobec ataku drapieżników, nie możemy zdobywać pożywienia ani się

przemieszczać. Pomijając rzadkie przypadki tzw. zespołu Morfeusza, objawiającego się występowaniem pobudzenia seksualnego w trakcie snu, nie możemy wtedy powielać genów. Sen występuje

także u innych zwierząt, co czyni go zjawiskiem jeszcze bardziej zagadkowym. Wydaje się niebezpieczny i mało praktyczny, ale bez niego nie możemy funkcjonować.

W pawilonie meduz.
Akwarium w Genui, sierpień 2020 r.

Jednym z pierwszych badaczy snu był Henri Piéron. Na początku XX w. stworzył teorię, wedle której przyczyną snu jest powstająca w mózgu hipnotoksyna. Piéron wpadł na ten pomysł po serii mało humanitarnych eksperymentów, w których nawet przez tydzień i dłużej utrzymywał psy w stanie czuwania, stosując rozmaite zabiegi, które uniemożliwiały im zaśnięcie, a następnie zabijał zwierzęta, pobierał od nich płyn mózgowo-rdzeniowy i wstrzykiwał do układu nerwowego zdrowych, aktywnych psów, które po takim zabiegu dość szybko zasypiały. Francuski psycholog uznał, że w przeszczepionym płynie musiały nagromadzić się wyprodukowane przez mózg molekuły wywołujące senność.

Wszystkie funkcje snu

Rozwój badań nad snem – znacznie mniej inwazyjnych – nastąpił niedługo później, po wynalezieniu elektroencefalografu, pozwalającego rejestrować fale aktywności mózgowej. Wiele dowiedzieliśmy się również dzięki odkryciu w drugiej połowie XX w. mechanizmów molekularnych i genetycznych regulujących cykl dobowy, wspólnych dla bardzo różniących się od siebie zwierząt.

Dziś, po przeszło stu latach badań, jakie upłynęły od eksperymentów Piérona, biolodzy na ogół zgadzają się, że sen nie posiada jednej konkretnej funkcji fizjologicznej, ale jest kluczowy dla prawidłowego przebiegu wielu procesów w organizmie – m.in. wzrostu, usuwania z mózgu zanieczyszczeń, tworzenia połączeń neuronalnych (odpowiadających za zapamiętywanie informacji), regulacji odpowiedzi układu odpornościowego na infekcje, utrzymywania poprawnego działania funkcji poznawczych.

Wciąż jednak nie powstała spójna teoria, która zarówno wyjaśniałaby olbrzymie zróżnicowanie snu wśród dość blisko spokrewnionych zwierząt (tylko wśród ssaków – pancerniki śpią do 20 godzin na dobę, konie ok. 3 godzin, podczas gdy dorosły człowiek przesypia ok. 8 godzin), jak i wskazywałaby rolę, jaką sen pełnił w toku ewolucji – czyli mówiłaby o tym, dlaczego w ogóle się pojawił i jak zaczął wpływać na kolejne obszary życia zwierząt.

Dzięki badaniom z ostatnich lat możemy być jednak pewni przynajmniej tego, że Henry Piéron nie miał racji. Okazuje się bowiem, że można spać bez mózgu.

Układ rozproszony

Pod koniec ubiegłego roku Hiroyuki J. Kanaya, doktorant na Uniwersytecie w Tokio, wraz ze współpracownikami opublikował w „Science Advances” raport z badań nad śluziakiem pospolitą – niewielkim parzydełkowcem żyjącym w stawach i pozbawionym centralnego układu nerwowego (a więc i mózgu – komórki nerwowe śluziaka rozproszone są po całym ciele). Analizując zapis wideo naukowcy ustalili, że śluziak charakteryzuje czterogodzinny cykl naprzemiennych stanów aktywności oraz stanów przypominających sen, kiedy ich ruchliwość znacznie się zmniejsza. Jest to zaskakująco zbieżne z fizjologicznym cyklem snu ludzi.

– Gdy umieścimy ludzi w pomieszczeniu odizolowanym od jakichkolwiek wyznaczników upływającego czasu, to nasz organizm będzie wykazywać co cztery godziny skłonność do zasniania – mówi „Tygodnikowi” prof. Marian Lewandowski, kierownik Zakładu Neurofizjologii i Chronobiologii UJ. Zazwyczaj ta potrzeba fizjologiczna jest przez nas tłumiona. – Jeśli jesteśmy wolni od presji dnia codziennego, to skłonność ta ujawnia się wyraźnie w postaci drzemki, która nie musi być konsekwencją lenistwa czy napełnionego żołądka – dodaje prof. Lewandowski.

Gdybyśmy więc na co dzień żyli w warunkach bliższych tym, z jakimi mieli styczeń nasi przodkowie, prawdopodobnie regularnie ucinilibyśmy sobie drzemkę, podobnie jak śluziak.

Co więcej, „sen” śluziaka można łatwo przerwać – wystarczy skierować na zbiornik wody źródło światła.

– Wyznacznikiem snu – komentuje prof. Lewandowski – wydają się być więc światło i ciemność, do rejestracji których nie potrzeba całego mózgu. Wystarczą neurony reagujące na zmiany natężenia światła.

Śluziak reagował również na substancje, które wywołują senność u innych gatunków. Gdy podano im melatoninę, hormon powiązany ze snem również u ludzi, zaobserwowano zmniejszenie ruchliwości. Zaskakujące odkrycie do-

tyczyło dopaminy, neuroprzekaźnika, który u kręgowców wiąże się z pobudzeniem organizmu. U śluziaka zaobserwowano odwrotny efekt – wyższy poziom dopaminy zwiększał senność. Zdaniem autorów badania świadczyć to może o tym, iż w toku ewolucji dopamina zmieniła swoją funkcję wraz z wyłonieniem się centralnego układu nerwowego w linii kręgowców.

Rozproszony układ nerwowy śluziaka jest interesujący z ewolucyjnego punktu widzenia, ponieważ w podobny sposób musiał być zorganizowany układ nerwowy przodków wszystkich zwierząt, zanim u części z nich doszło do powstania mózgu.

Zaspane meduzy

Przypadek śluziaka to już drugie odkrycie stanu przypominającego sen u organizmów pozbawionych centralnego układu nerwowego. Pierwszego dokonał w 2017 r. zespół Raviego Natha, doktora biologii z Kalifornijskiego Instytutu Technologicznego, który przyjrzał się dobowej aktywności meduz z rodzaju *Cassiopea*. Badaczom udało się uchwycić wyraźne zmiany w aktywności pulsowania meduz w ciągu doby: w nocy częstotliwość była mniejsza niż za dnia. Zwierzęta poruszały się wówczas o jedną trzecią mniej, a czasem na 10-15 sekund zastygały w bezruchu. Meduzy odczuwały również skutki braku „snu” – gdy pozbawiono je możliwości „nocnego spoczynku”, następnego dnia ich aktywność była o 17 proc. mniejsza i wolniej reagowały na bodźce. Badania nad konsekwencjami braku snu, podobnie jak w czasach Piérona, są ciągle podstawą naszej wiedzy na jego temat.

Kiedy sen wyewoluował? William Joiner z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego sugerował, że ten stan mógł pojawić się już u wspólnego przodka wszystkich zwierząt o dwubocznej symetrii ciała (*Bilateria*). Najstarszy znany organizm zaliczany do tej grupy, odkryty w 2020 r. *Ikaria wariootia*, występował około 550 mln lat temu. Jednak linia ewolucyjna parzydełkowców (*Cnidaria*), do których zaliczamy śluziaki i meduzy, oddzieliła się od zwierząt dwubocznie symetrycznych przeszło 100 mln lat wcześniej – co powinno przesunąć czas pojawienia się snu. Ewolucjonisci zakładają bowiem zwykle, że jeśli to samo zachowanie występuje u dwóch →

→ spokrewnionych grup organizmów (w przypadku snu: *Bilateria* i *Cnidaria*), musiało występować także u ich ostatniego wspólnego przodka.

Sen pozostaje jednak zjawiskiem złożonym i trudnym do jednoznacznego zdefiniowania. Opisane odkrycia nawet tego zadania nie ułatwiają – a to rzutuje na nasze ewolucyjne oszacowania. Większość badań dotyczących snu koncentrowała się przecież wokół mózgu, co dobrze obrazuje tytuł artykułu opublikowanego w „Nature” przez Allana Hobsona, profesora psychiatrii i wpływowego badacza snu z Harvard Medical School: „Sen bierze się z mózgu, przez mózg i dla mózgu”.

Gdybyśmy przyjęli popularny niegdyś pogląd, że głównym wskaźnikiem snu jest aktywność mózgu i naprzemiennosc faz REM (w której występują szybkie ruchy gałek ocznych) oraz NREM (tzw. sen głęboki, wolnofalowy), odmówilibyśmy snu wielu gatunkom. Nie tylko pozbawionym mózgu stułbiom czy meduzom, ale również niektórym kręgowcom. Kryteria snu spełniałyby w zasadzie tylko ssaki i ptaki, które wykazują zaskakująco podobne cechy snu do ssaków (zachowują jednak napięcie mięśni, aby utrzymać pionową postawę). Trzymając się tego kryterium, musielibyśmy uznać, że sen pojawił się przeszło 300 mln lat temu (kiedy żył ostatni wspólny przodek ptaków i ssaków).

Czujne delfiny

Definicja odwołująca się do zapisu aktywności mózgu wydaje się więc zbyt- nio zawężać listę gatunków, którym można przypisać sen. Co więcej, według neurobiologów Raviego Allady i Jerome’a Siegela różnice w aktywności mózgu charakterystyczne dla faz snu REM oraz NREM wyłoniły się stosunkowo niedawno i wydają się być powiązane ze strukturą kory nowej u ssaków. Dlatego nie powinno się ich uznawać za ogólną cechę snu. W dodatku dotyczą głównie zwierząt lądowych, gdyż u morskich ssaków faza REM często nie występuje. Może to wynikać z faktu, że niektóre ssaki żyjące w wodzie, takie jak delfiny, śpią, mając aktywną jedną półkulę mózgu, gdyż cały czas muszą pozostać w ruchu (wynurzać się, by się nie udusić).

Jak zatem zdefiniować sen? Być może wracając do metody z początków psychologii, czyli behawioryzmu. Behawioryści traktują umysł jak „czarną skrzynkę”, koncentrując się tylko na tym, co obserwowalne – czyli zachowaniu organizmu. Behawioralne wskaźniki umożliwiają badanie zjawiska snu wśród innych gatunków – i ułatwiają stworzenie definicji, która odpowiadałaby aktualnej wiedzy. Takim behawioralnym wskaźnikiem może być np. zmniejszona reaktywność na bodźce docierające z otoczenia lub spadek aktywności ruchowej.

– Możliwe, że szukając definicji trzeba będzie oprzeć się na tym, co sen w przypadku wszystkich organizmów żywych, bez względu na organizację ich układu nerwowego, zabezpiecza – zastanawia się prof. Lewandowski. – Możemy mówić o zabezpieczeniu energetycznym, odpoczynku czy regeneracji, ale także o schronieniu przed wrogiem, którego aktywność dobową jest inna. Przy takim spojrzeniu moglibyśmy mówić o śnie wśród niższych organizmów jako o stanie odrętwienia czy bezruchu – dodaje.

Aktualne pozostaje jednak pytanie, w jaki sposób sen ewoluował – zyskując coraz więcej funkcji.

Czas na rośliny?

W 2019 r. trójka biologów Ron Anafi, Matthew Kayser oraz David Raizen na łamach „Nature Reviews Neuroscience” sugerowała, aby poszukiwania najprostszego śpiącego organizmu poszerzyć o... rośliny. Mogą one poruszać się, reagować na otoczenie i wykazywać silne rytmy okołodobowe. Może więc należy uznać, że i one śpią? Pomysł niewątpliwie kontrowersyjny, ale przed badaniami stułbi i meduz większość biologów nie zgodziłaby się przypisać snu nawet organizmom pozbawionym mózgu.

Badania snu, a zwłaszcza jego ewolucyjnych korzeni, wciąż jeszcze przypominają puzzle, które zostały rozsypane na stole, a naukowcy dopiero zaczynają je układać. Michel Jouvet, niezjący już francuski neurobiolog, ujął zaś to następująco: „Połowa naszej obecnej wiedzy o śnie już za kilka lat może się okazać fałszywa. Tyle że nie wiemy, o którą połowę chodzi”.

© KASPER KALINOWSKI

Przestań się wiercić!

KATARZYNA DZIADOWICZ

Wielu z nas z trudem znosi odgłosy mlaskania, żucia czy pstrykania długopisem. Podobne zjawisko występuje także w domenie wzrokowej.

KAŻDY Z NAS, NAWET O TYM NIE WIEDZĄC, może być źródłem problemów osób doświadczających mizokinezji. Możemy być nieznajomym, który mimowolnie wystukuje palcami na blacie stołu jakiś rytm, koleżanką, która notorycznie bawi się włosami, córką zbyt często dotykającą czubka nosa, albo, co gorsza, mężem, który prowadząc rozmowę, podrzuca nogę kilkadziesiąt razy na minutę. Nie jesteśmy niczemu winni i mamy swoje powody. Ale dla osób z mizokinezją patrzenie na nas w takich sytuacjach to męczarnia.

Nazwa tego zjawiska psychologicznego pochodzi od brzmienia dwóch greckich słów: *misos* – nienawiść oraz *kinesis* – ruch. Stanowi „silną negatywną reakcję afektywną lub emocjonalną na widok czyichś drobnych i powtarzalnych ruchów”. Pod artykułami poświęconymi temu zagadnieniu oraz na stronach internetowych zrzeszających zmagające się z nią osoby nie brakuje komentarzy opisujących wrażenia znacznie bardziej obrazowo. Doświadczający mizokinezji skarżą się, że pojawienie się jednego z wyzwalających negatywne odczucia bodźców uniemożliwia im skupienie się na czymkolwiek innym, piszą o połączeniu odczucia paniki z dezorientacją, są poirytowani, ich złość przenosi się na osoby wywołujące drażliwy bodziec, a oni nie potrafią nad tym zapanować.

Zbyt ważne dźwięki

O zjawisku wciąż niewiele wiadomo. Obiecujące wydaje się uznanie jej za wizualny odpowiednik mizofonii, nieco lepiej przebadanego zjawiska charakteryzującego się analogicznymi reakcjami,



ale na określone bodźce słuchowe – np. mlaskanie, zucie, oddychanie, pstrykanie długopisem czy tarcie wycieraczek samochodowych.

Badania Sukhbinder Kumara i jego zespołu przeprowadzone z wykorzystaniem funkcjonalnego rezonansu magnetycznego wskazały, że u osób z mizofonią pojawiają się specyficzne aktywacje w mózgu. Podczas zetknięcia z wyzwalaczami (triggerami), czyli bodźcami wywołującymi te awersyjne odczucia, dochodzi do wzmożonej aktywności w przedniej części wyspy – struktury mózgu, której aktywność wiąże się nie tylko z odczuwaniem złości, ale też stanowiącej część sieci istotności (ang. *salience network*). To ją uznaje się za odpowiedzialną za wykrywanie i kierowanie uwagi w stronę bodźców istotnych dla jednostki. Wygląda to więc tak, jakby mózgi osób z mizofonią przypisywały zbyt dużą wagę określonej grupie dźwięków. Uwzględniając podobieństwo reakcji w mizokinezi, może okazać się, że za jej występowaniem kryją się podobne aktywacje. Tej teorii sprzyjają omawiane w „Nature” badania Arjana Schrödera i współpracowników, podczas których dźwięk zastąpiono materiałami audio-wizualnymi, a u osób z mizofonią wciąż występowały specyficzne wzory pobudzenia, inne niż w grupie kontrolnej. Badani z mizofonią mieli także szybsze tętno i zwiększoną reakcję galwaniczną skóry – co jest typowe dla sytuacji, które organizm rozpoznaje jako wymagające albo ucieczki, albo walki.

Również u osób z mizofonią po raz pierwszy zaobserwowano, że nietypowe reakcje mogą pojawiać się też w domenie

wzrokowej. Z doniesień Sumeet Jaswal i współpracowników, które ukazały się ostatnio w „Scientific Reports”, wynika, że wśród niemal 600 badanych większość osób twierdziła, że doświadcza jednego z tych zjawisk, deklarowała też, że doświadcza również drugiego. Nie była to wcale mała grupa – stanowiła nieco ponad 25 proc. wszystkich badanych. Do doświadczenia problemów typowych dla mizokinezi przyznało się niemal 36 proc.

Lustrzane odbicie

Obecnie ani mizokineza, ani mizofonia nie znajduje się na listach zaburzeń psychicznych, choć pojawiają się głosy, że powinny się tam pojawić jako samodzielne jednostki. Nie można ich bowiem utożsamiać choćby z zaburzeniami obsesyjno-kompulsyjnymi i wciąż brakuje wytycznych do ich diagnozowania. Tymczasem z łatwością możemy sobie wyobrazić, jak osoby z najbliższego otoczenia reagują na to, że drobne ruchy (których wykonywania często mogą nawet nie być świadomi) doprowadzają ich najbliższych do szału. Zresztą osoby odczuwające znaczący dyskomfort same zdają sobie sprawę, jak to brzmi – czepiają się drobiazgów i skupiają się na swoich odczuciach, zamiast racjonalnie ocenić sytuację. Problem obu stron tkwi jednak w tym, że mizokineza czy mizofonia nie dają się zignorować i emocje wywoływane przez specyficzne dla nich bodźce nie podlegają racjonalizacji.

W takiej sytuacji przebywanie nawet z najbliższymi osobami staje się problematyczne. A próba zwrócenia uwagi na kłopotliwe zachowanie rzadko spotyka się ze zrozumieniem i może być przyczynkiem do konfliktów oraz postępu-

jącej izolacji. Osłabienie więzi z innymi to popularny problem nadwrażliwych na niektóre obrazy czy dźwięki. W badaniu, w którym udział wzięło ponad 600 studentów, ok. 30 proc. uzyskało w kwestionariuszu wyniki świadczące o tym, że w dużym stopniu doznają negatywnych skutków mizokinezi. Czy wrażliwość na niektóre widoki sprawia, że czują się bezradni? Czy przeszkadza im w prowadzeniu normalnego życia społecznego? Czy negatywnie wpływa na wykonywanie obowiązków w pracy? Czy frustruje? Czasem, często, prawie cały czas.

Kiedy te same kwestionariusze wręczono przedstawicielom ogólnej populacji, odsetek osób uskarżających się na odczuwanie znaczących negatywnych myśli i skutków obcowania z bodźcami mogącymi wyzwać mizokinezę wzrósł do 67 proc. Badacze spekulują, że różnice mogą wynikać z wyższej średniej wieku w drugiej grupie, różnic etnicznych czy nierównowagi płci, ale nie wskazują na konkretne mechanizmy, które miałyby je wyjaśniać.

Sumeet Jaswal z zespołem udało się natomiast wstępnie wykluczyć możliwość, że osoby doświadczające mizokinezi mają kłopot z ignorowaniem jakichkolwiek rozpraszających bodźców. W zadaniach polegających na szybkim reagowaniu na figury wyświetlane w określonej lokalizacji i pomijaniu tych przeszkadzających wypadali tak samo dobrze, jak osoby z grupy kontrolnej (u których mizokineza nie występowała). Być może mizokineza wiąże się z trudnościami ze skupieniem, ale nawet jeśli, to najprawdopodobniej ogranicza się do konkretnych wyzwalaczy, najczęściej pod postacią ludzkich zachowań. W związku z tym faktem badacze przytoczyli ciekawą hipotezę odwołującą się do teorii słynnych neuronów lustrzanych.

Jeżeli założymy, że miałyby być one tym, co pozwala nam „wejść w czyjąś skórę” poprzez obserwację (neurony lustrzane aktywują się zarówno wtedy, gdy sami wykonujemy jakąś czynność, jak i wówczas, gdy ktoś inny ją wykonuje), to możemy postrzegać mizokinezę jako sytuację, w której system zawodzi i wczuwamy się w czyjąś sytuację aż za bardzo. Niepokój i nerwowość widoczne w ruchach stają się tym, czego sami doświadczamy. Czy tak właśnie jest? Musimy uzbroić się w cierpliwość i poczekać na kolejne doniesienia. ©

HANNA

Krall:

Historie częściowo miłosne



Kwiaty na czarnym tle

Kiedys był to Sergijew, teraz znowu jest Sergijew. Między Sergijewami, w czasach ZSRR, był Zagorsk, na cześć bolszewika Zagorskiego, na którego był zamach i zabili go bombą.

Pojechaliśmy do Zagorska – my dwoje i ona z mężem.

Zobaczyliśmy Troicką Ławrę (Polacy nie zdobyli jej w siedemnastym wieku, pochwaliliśmy się znajomością historii), kilka cerkwi i w okolicy klasztoru jej mąż się zgubił. Zawieruszył się, tłumy były i ona zaczęła rozpaczać.

Znajdzie się, tłumaczyliśmy rozsądnie. Wie, gdzie jest samochód, ale nie o to jej chodziło.

To o co?

O to, że on się teraz denerwuje.

No, o nią.

Przecież wie, że z nami jest i nic jej nie grozi (tłumaczyliśmy rozsądnie), ale nie o to jej chodziło. On wie, że ona się denerwuje o niego, i tym się denerwuje.

To się nie denerwuj, poradziliśmy, ale jak ona może się nie denerwować, skoro ona go zna i dobrze wie, że on teraz denerwuje się o nią, bo wie, że ona się o niego denerwuje.

To wcale nie jest śmieszne, dodała, chociaż w ogóle nie było nam do śmiechu. Straciła humor, ręce jej drżały, nie chciała oglądać cerkwi ani klasztorów, nawet tego, w którym malował ikony Andriej Rublow.

Bez makijażu, w grubym swetrze z golfem nie wyglądała na gwiazdę, ale parę osób ją poznało i poprosiło o autograf. Poweselała i w Kupieckich Kramach (coś jak Sukiennice krakowskie) kupiła talerze. Metalowe, ręcznie malowane w jaskrawe kwiaty na czarnym tle. Cztery talerze.

Przy samochodzie czekał jej mąż.

Miał dla niej prezent – półmisek i dwa talerze, z kwiatami na czarnym tle.

Z jej czterema mieli komplet.

Sześć tygodni

Była niedziela, trzydziesty listopada, po spektaklu. Grali „Wiśniowy sad”. Aktorzy nie zwracali się do siebie i na siebie nie patrzyli. Mówili w przestrzeń i sunęli w dal. Znaczyło to, że są samotni i nie mogą się porozumieć. Wiktor, nasz przyjaciel, grał Gajewa i też patrzył przed siebie. Poruszał się coraz szybciej, wszyscy przemieszczali się coraz szybciej i Wiktor tłumaczył nam, że jest to pęd ku katastrofie.

(Wiktor był na Tagance od lat, jeszcze za Jurija Lubimowa. Grał w jego ostatnim, zakazanym przedstawieniu, w „Borysie Godunowie”. Klara, żona Wiktora śpiewała w sławnym, rosyjskim akademickim chórze. Była tam sekretarzem partii. W soborze Wasyla zaśpiewała solo „Całonocne czuwanie” Rachmaninowa i przydarzył jej się cud. Usłyszała swój, ale jakby nie całkiem swój głos. Był dźwięczny, silny, czysty, był tak piękny, jakim nigdy jeszcze w życiu nie śpiewała. Nawróciła się, wystąpiła z partii i przyjęła chrzest. Wyjechali ze Związku Radzieckiego. Byłam u nich w Jerozolimie, mieszkali w pokoju hotelowym. W kartonowych pudłach leżały ubrania i sprzęty kuchenne. Na ścianach wisiały plakaty, jej z koncertów, jego z Teatru na Tagance. Mówili, że mają koszmarnie sny – śni im się Moskwa. Budzą się przerażeni, widzą za oknem migdałowe drzewo i oddychają z ulgą.)

Był trzydziesty listopada.

„Wiśniowy sad” się skończył, ludzie klaskali, chyba im się podobało.

Reżyserowi było przykro.

Zorientował się, że w programie przedstawienia, w historii teatru jest jego nazwisko.

Przedtem tego nie zauważył.

Jego jest, a Lubimowa nie ma.

Głupia sprawa.

Lubimow był twórcą tego teatru i autorem sukcesów, ale popadł w niełaskę. Pozbawiono go radzieckiego obywatelstwa oraz wzmianki w teatralnym programie.

Reżyser objął teatr po Lubimowie.

Mówiono mu, że nie powinien.

Mówiono, że nikt nie powinien i niech Taganka przestanie istnieć. Legenda pozostanie, legenda jest najważniejsza, mówiono.

Reżyser kochał sztukę, kochał teatr i kochał Tagankę. Jeśli Taganka zniknie, to zniknie coś w nas samych, mówił. To nam samym czegoś zabraknie...

Objął teatr.

Z miłości do Taganki.



Był dobrym reżyserem.

Kiedyś, dawno temu, wystawił „Moliera” Bułhakowa, za co wyrzucono go z teatru.

Wystawił „Trzy siostry”, buńczucznie, na przekór tradycji, i wyrzucono go z kolejnego teatru.

Nadawał się na następcę Lubimowa, ale wszyscy i tak mówili, że nie powinien.

Wystawił Gorkiego i prozę Swietłany Aleksijewicz, ale wszyscy i tak...

Umrze trzynastego stycznia.

W Warszawie, po przedstawieniu „Wiśniowego sadu” miał przed sobą sześć tygodni.

Szukanie

Szukał Go i obcował z Nim na różne sposoby. Z żydowskimi chasydami, na medytacjach zen i na rekolekcjach u benedyktynów w Tyńcu.

Miał o Nim własne wyobrażenie. Jest nieustającą obecnością we wszystkim, tłumaczył mi. W pająku, w ogniu i w cykadzie, która w jego domu na belce stroiła niedawno swój instrument. Był podobny do półksiężyca.

Nauczył się uważności dla świata i zgody na świat, jaki jest.

Nauczył się miłości dla świata, jaki jest, ale ta jego miłość wydawała mi się za łatwa. Cykadę nietrudno kochać, ale co z miłością do zomowca?

Miałam na myśli zomowca, którego widziałam w sądzie. Był świadkiem, mówił, że nie wie, jak było, bo po każdej akcji ma sny. Śni mu się, że używa broni palnej, nawet jak wcale jej nie używa. Budzi się i już sam nie wie, jak naprawdę było z tą bronią. (Byłam w sądzie razem z Krzysztofem Kieślowskim, który nie wziął ze sobą kamery tego dnia. Strasznie potem tego żałował).

Roześmiał się z historii o świadku, który ma sny, ale był to dobroliwy, pozbawiony złości śmiech.

Pożyczyłam mu czasopismo z jakimś teologicznym esejem. Zadzwoił, żeby mi oddać i porozmawiać chwilę.

Niech pan zadzwoni kiedy indziej, powiedziałam, bo nie zawsze człowiek ma czas na rozmowy o teologicznych esejach.

Nie zadzwonił kiedy indziej.

Zamordowano go w nocy, w centrum miasta.

Znaleziono go bez butów. Zabójcy zabrali adidas i torbę. Wyobrażam sobie ich rozczarowanie – w torbie były tylko wiersze.

pijąc białe chablis
patrzac na twoje uda
myśle
o fenomenologii ducha

...

gdyby hegel
był podobnego zdania
moglibyśmy teraz wyjść na miasto
i kupić drugą butelkę

Uda należały do kobiety, dla której porzucił dzieci i ich matkę, powiedział mi jego syn. ©

Bohaterami tekstu są Kalina Jędrusik, Anatol Efros i Krzysztof Masewicz.

weź, czytaj!

w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: „Tygodnik Powszechny”
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania Pomocy przy problemach technicznych udziela Mateusz Gawron pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub pod adresem kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY



SALESmanago
marketing automation





PRZERAŻLIWE ECHO TRĄBY

Każdy z nas nosi w sobie ostatniego człowieka.
Usiądźcie na balkonie i wyobraźcie sobie, że na ulicy już nigdy nie zobaczymy nikogo,
a tramwaje stanęły raz na zawsze, puste jak łupiny orzecha.

MARK BIEŃCZYK

WIELU Z NAS MUSIAŁO PRZEŻYĆ – GŁĘBOKO, aż po laskotanie w żyłach – to wyobrażenie, gdzieś w górach, nad brzegiem morza, u skraju nocy, gdziekolwiek: cisza wokół jest ostateczna, już nic jej nie zakłóci, jesteśmy ostatnimi świadkami tego świata, ostatnimi ludźmi na ziemi. To nie eksterytorialne „milczenie nieskończonych przestrzeni” przerażające Pascala, lecz cisza tak bar-

dzo stąd, wrosła w ziemię, wysuszająca życie, bez echa.

Jej doznanie rozbija rozum; smutek jest nieskończony, wielki jak nasza planeta. Zapewne nigdy nie rodzi się tak powszechne poczucie uniwersalnej solidarności z rodzajem ludzkim, nawet jeśli on sam doprowadził się do zguby. Nagle wszystko sentymalnie się wygląda: cała ohyda dziejów, od pierwszych jaskiń

po ostatnie rzezie, ustępuje przed staroświeckim żalem wobec próżności tyłu gestów i tyłu trosk składających się od tysięcy lat na ludzkie istnienie.

Ostatniość

Trudno powiedzieć, kiedy ta cisza zamilkłego świata zaczęła trafiać gromadnie do uszu ludzi. Dwieście lat temu poczuła ją Mary Wollstonecraft Shelley,



Kadr z filmu „Droga”, reż. John Hillcoat, USA, 2009 r.

cego ostateczne zgaśnięcie słońca 17 lipca 1816 r.

Już w 1806 r. w Anglii ukazał się przekład poematu prozą francuskiego pisarza – prawdopodobnie ojca założyciela wspomnianego wyobrażenia, a dzisiaj już toposu – Jean-Baptiste’a de Grainville’a „Ostatni człowiek”; jego bohater w obliczu nadchodzącej światowej zagłady popełnia samobójstwo, podobnie jak uczyni to zresztą sam autor, dla którego istotną inspiracją była rewolucja francuska przeżyta jako apokalipsa. Grainville po raz pierwszy powiązał koniec świata nie z instancją boską, lecz z działaniem ludzkim.

I Grainville, i Mary Shelley mieli w kolejnych latach sporo naśladowców; temat ostatniego człowieka stał się na tyle popularny, że pojawiły się jego rozwinięcia, a także różne karykatury i parodie. Słowo „ostatni” ożywiło się niepomierzenie, ostatni Mohikanie Coopera, ostatni Outlanderzy Scotta, ostatnie zajazdy na Litwie. Idee zagaśnięcia cywilizacji, dużych i małych, zaczęły się rozpowszechniać, a Jules Michelet, określający siebie jako „ostatniego człowieka”, już wtedy rozważał koniec historii.

Wspominam o tym, gdyż mimo ograniczenia do cna w XIX-wiecznej i XX-wiecznej literaturze opowieści tego rodzaju bynajmniej się nie wyczerpały, tak jakby wyobrażone doświadczenie ostatecznej, przerażającej samotności nie dało się wygasić: tkwi w nim coś nieodpartego, pociągającego, poważnego, przynoszącego *delectatio morosis*, ale też doznanie wzniosłości. Opowieści i filmy na ten temat wciąż powstają (wśród znanych nazwisk Margaret Atwood chociażby) i będą powstawały. „Ostatniość” stworzyła odrębny gatunek *science fiction* (i okolic) poruszający mocno wyobraźnię. Bo też każdy z nas nosi w sobie ostatniego człowieka i raczej jest to hipoteza ontologiczna niż poetycka. Jej prześmiewcom radziłbym eksperyment: usiąść na balkonie czy na ławce i wyobrazić sobie, że na ulicy już nigdy nie zobaczymy nikogo, a tramwaje na ulicy stanęły raz na zawsze, puste jak łupiny orzecha.

Końcówka

Rozmowę z Milanem Kunderą w 1980 r. Philip Roth zaczął od pytania: „Czy uważa

pan, że koniec świata jest bliski? – To zależy, jak rozumieć słowo »bliski«. – Jutro albo pojutrze. – Przekonanie, że świat zmierza do unicestwienia jest tak samo stare, jak on sam. – Nie ma więc powodów do zmartwienia. – Przeciwnie. Fakt, iż w ludzkich myślach przez całe wieki utrzymuje się obawa, oznacza, że z czegoś to musi wynikać”.

Zachodzę w głowę, z jakich powodów 40 lat temu na sam początek rozmowy Roth pytał akurat o koniec świata; w każdym razie jego pytanie, powtórzone dzisiaj, nikogo by szczególnie nie zdziwiło. Ale równie dobrze dałoby się je cofnąć w czasie i usłyszeć w wiekach dawnych, tyle ust, przypomina rozmówca Rotha, od zarania świata je wypowiadało. Cytatami o nadchodzącym końcu świata da się zapełnić całe księgi obejmujące ponad dwa tysiące lat. Książki poświęcone „mitowi końca świata” wyliczają kilkadziesiąt wizji i prorocत्व o bliskim czy nieco dalszym kresie wszystkiego, a to ledwie (bo jeszcze dochodzą utwory literackie) czubek góry lodowej, sam polski wkład w jej zbudowanie jest bardzo istotny. Przytoczę tylko *pars pro toto* tytuł barokowego utworu Klemensa Bolesławiusza „Przerażliwe echo trąby ostatecznej”. Pamiętając oczywiście o Krasińskim, Miłoszu i jego „Piosence o końcu świata”, o Konwinkim.

„Czy łatwiej jest układać utopię niż apokalipsę? – pytał przed ponad półwieczem Emile Cioran. – I jedna, i druga mają swoje głębokie zasady i klisze. Utopia, której komunały lepiej pasują do naszych głębokich instynktów, zrodziła o wiele obfitszą literaturę niż apokalipsa. Nie wszystkim jest dane liczyć na kosmiczną katastrofę, kochać język i sposób, w jaki zapowiada się i obwieszcza”. Wydaje się, że Cioran się mylił albo że proporcje się zmieniły: apokalipsa ma w tej chwili swoje świetne dni i natchnienia, a utopia, które sama zawsze wytwarzała jako nowy początek po katastrofie, przekabaciła raczej na dystopie.

Opowiada o tym zajmująco i ze swadą, opierając się na solidnym przygotowaniu merytorycznym, Maciej Jakubowiak w wydanej właśnie książce „Ostatni ludzie. Wymyślanie końca świata”. Zbiera w niej obok starszych najnowsze oznaki apokaliptycznego i katastroficznego zmrożenia, które, owszem, zdarzało się regularnie w dawnych wiekach, lecz dzisiaj ponownie osiąga falę kulminacyjną. ➔

autorka „Ostatniego człowieka” (1826), napisanego w bezgranicznym poczuciu samotności. Ta wielusetstronicowa powieść rozgrywa się pod koniec XXI wieku i przedstawia historię Lionela Verneya, który uniknął śmiertelnej dla innych epidemii; zgodnie z tytułem nie ma już poza nim żywych na ziemi.

Anegdota mówi, że któregoś wieczora przyszły mąż pisarki, Percy Shelley, wpatrując się razem z Byronem w zachód słońca nad Lemanem, miał westchnąć: „Jakże by wszystko się zmieniło, gdyby słońce w tej chwili zgasło; cała ludzkość by przepadła i może tylko jeden człowiek przeżył – przypuśćmy, że jeden z nas. Jakże potworny byłby jego los!”. Wkrótce Byron napisze poemat „Ciemność”; jego inspiracją mogły też być wyjątkowo zimne lato po wybuchu wulkanu Tambora oraz tzw. bolońska profecja, przepowiednia – szeroko po Europie krążąca – włoskiego astronoma przewidują-

→ Śledzę ją zwłaszcza na terenie Francji, gdzie mówi się o całym – konstytuującym się wokół świadomości kryzysu klimatycznego – ruchu kolapsologów, jak zwykło się obecnie określać zwolenników metodycznego bicia w dzwony. Z wielu przyczyn, stapiających się w jedną najważniejszą: kryzys klimatyczny. Mają oni swoje nieformalne stowarzyszenia, jak Institut Momentum czy Comité Invisible (odpowiedniki angielskiego Extinction Rebellion), swoje seminaria i publikacje. Założycielska dla tego ruchu książka z 2015 r. „Jak wszystko może się zawalić” autorstwa Pabla Servigne’a i Raphaëla Stevensa, inspirująca się „Upadkiem” Jareda Diamonda (wyd. pol. 2007), wychodziła z założenia, że utopią dzisiaj jest przedłużanie istniejącego stanu rzeczy, wiara w jego trwałość, podczas gdy antyutopią jest apokaliptyczny ogląd przyszłości, który jako jedyny może uruchomić twórcze myślenie.

Jednym z zarzutów stawianym kolapsologom jest namolne powtarzanie odwiecznej figury końca świata, czyli podawanie jako nowinki trwałej i niezmiennej cechy antropologicznej. Jednak użycie takich historycznych argumentów – mówią kolapsolodzy – powieli klisze i nie pozwala dojrzeć całej dramatycznej aktualności problemu. Jak twierdzi jeden z nich, socjolog Luc Semal, „byłby logicznym błędem wniosek, że nie ma nic nowego pod słońcem. Kiedy na początku XX wieku niektórych trwożył zmierzch Zachodu, nie było ku temu żadnej poważnej podstawy teoretycznej. Natomiast globalne ocieplenie jest faktem stwierdzonym, podobnie jak bomba atomowa czy zanik bioróżnicowania”. Innymi słowy, wcześniejsze głoszenia „końca” (a kto jak to, ale Francuzi ze swoją „śmiercią podmiotu”, „śmiercią człowieka” są w tym wyspecjalizowani) wywodziły się z czystej wyobraźni czy też modnych sposobów myślenia.

Czy Jan Ewangelista miał dla swych wizji „poważną podstawę teoretyczną”? Czy Nietzsche bez podstaw mówił o „ostatnim człowieku”, a Spengler o zmierzchu Zachodu? Czy też dawne przepowiednie i obawy „musiały jednak z czegoś wynikać”? Odebranie przeszłym alarmistom realnych, „stwierdzonych naukowo” racji ich wieszczów i przeczuć dzieli dzieje na dwie części: „kiedyś jednak jakoś mimo wszystko było, apokalipsy były złudzeniem” i „dzisiaj już jakoś

Mówienie o „końcu świata” reguluje nasze myślenie

o egzystencji i jest głównym hormonem naszego życia psychicznego. Póki będziemy te słowa wypowiadać, póty koniec nie nastanie.

nie będzie, *apocalypse now*, teraz, właśnie teraz”.

Ten podział jest wszakże wędrowny, bez względu na epokę apokaliptycy zawsze odczuwali jego trafność: wcześniejsi przepowiadacze mogli się mylić, lecz oni w tej chwili wiedzą naprawdę, że przyszłości za progiem dzisiejszych dni (czy dzisiejszych lat) już nie będzie lub okaże się ona tym, czego świat jak długi i szereki nigdy nie widział. Zapewne – ponownie cytuję *pars pro toto* – tak czuł Niemcewicz, który pod wpływem anomalii pogodowych zapisywał w dzienniku w roku 1835: „Musiała w maszynie świata lubo sprężynka jaka się zepsuć lub śrubka wypaść, wszystko bowiem idzie nie po swojemu” i „kula ziemską wykreśliła koziołka”. Zapewne tak wierzyli londyńscy astrologi, którzy w 1523 r. obliczyli na podstawie obserwacji gwiazd, że potop kładący kres istnieniu ziemskiemu zacznie się od Londynu 1 lutego 1524 r. – co skłoniło 20 tysięcy londyńczyków do ucieczki na wyżej położone tereny. I tak dalej.

Fantazmatowi końca świata historycy, filozofowie i antropolodzy poświęcili grube tomy. Dzisiaj najciekawsza albo najbardziej paląca wydaje się kwestia, czy apokalipsa istotnie przeniosła się ze sfery fantazji do sfery rzeczywistości; czy układamy odwieczny dramat z wyobrażonych składników, czy raczej, jak mówi Luc Semal, wyciągamy katastroficzne wnioski z faktów wreszcie naukowo stwierdzonych.

Rozróżnienie zastosowane przez Semala jest z punktu widzenia dziejów kultury nie do utrzymania. Poczuć istnienia w „końcówce”, w niekończącym się końcu, który nie może się skończyć,

lub istnienia w przerwie, między tym, co dobiegło końca, a tym, co dopiero się zaczyna, należy do najtrwalszych ustaleń literatury, antropologii, filozofii czy psychoanalizy.

„Koniec świata” czy po prostu „koniec” reguluje nasze myślenie o egzystencji i jest głównym hormonem naszego życia psychicznego. Póki będziemy te słowa wypowiadać, póty koniec nie nastanie.

Samobójstwo Zachodu

Niewątpliwie jednak obecne trendy kandydackie zepchnęły na dalszy plan pojęcie zmierzchu, zmierzchu Zachodu, które od ponad 200 lat – jako jeden z pierwszych iskrę wykrzesał Edward Gibbon swoim ówczesnym bestsellerem, „Zmierzchem Cesarstwa Rzymskiego” (1776-1789) – było miękkim, melancholijnym suplementem apokaliptycznej wrzawy, dzisiaj za sprawą kwestii klimatycznej słyszalnej wszędzie i narastającej z roku na rok. Paradoksalnie odżywia ona energetycznie „zmierzchającą” cywilizację zachodnią; ciągnąc się przez lata mantra o jej kresie, rozpadzie, zamieraniu, entropii itd. wydaje się nieco nudnym refrenem wobec zagrożenia klimatycznego, które wyzwała zupełnie inne wizje końca, ale też mobilizuje do sprawności, do wspólnego myślenia, do obronnych działań zbiorowych.

W tej nowej sytuacji litanie o europejskiej dekadencji i rozpadzie społeczeństwa liberalnego tracą na sile, stają się małą apokalipsą w porównaniu z wielką apokalipsą klimatyczną na horyzoncie. Bo choć wywodzić jej przyczyny można również z grzechów kapitalizmu, to jej ogrom przerasta wymiar polityczno-gospodarczy i spada na barki pojęcia bardziej uniwersalnego i na swój sposób pysznego – antropocenu. Wobec takiego ciężkiego kwantifikatora kolejne pesymistyczne narracje polityczne, jak te spod znaku „postdemo” (po upadku demokracji), dorzucają tylko paliwa do buchającego pieca.

W przemówieniu dziękczynnym za przyznanie mu Nagrody im. Oswalda Spenglera (2018) Michel Houellebecq, autor różnych powieściowych „scenariuszy końca”, mówił: „Gdyby ktoś napisał za sto lat, że »Houellebecq pozostawił wielce wartościowe świadectwo o Zachodzie końca XX i początku XXI wieku«, z góry przyjąłbym ten komplement. (...) Ale powiedziałbym nawet, że w moim przypadku słowo »zmierzch« jest zbyt

łagodne. Poświęcony mi kiedyś film dokumentalny BBC miał nosić tytuł »Samo-bójstwo Zachodu«. BBC uznała go chyba za nadto gwałtowny i go zmieniła, czego żałuję. Wydaje mi się bowiem, że określenie »samobójstwo Zachodu« dobrze streszcza moje książki».

Pierwsza głośna powieść Houellebecq, »Cząstki elementarne«, tworząc figurę ostatniego człowieka, w dużej mierze rozpatrywała kres zachodniego świata w odwołaniu do refleksji filozoficzno-socjologicznej; w kolejnych jego książkach rozpoznania stawały się coraz bardziej społeczne i polityczne (rosnąca niechęć do Unii Europejskiej określanej jako »morderca Europy« i do wojującego islamu), kwestie zagrożenia klimatycznego pozostawały na marginesie. Peter Sloterdijk miał jeszcze czas skomentować »Cząstki elementarne« w duchu czysto filozoficznym:

„Kiedy Michel Houellebecq w zakończeniu pokazuje swojego bohatera, depresyjnego wynalazcę biologicznej nieśmiertelności, który chce umrzeć w najdalej wysuniętym na zachód miejscu Europy, w »łagodnym i zmiennym cieple«, można te zdania czytać jako właściwy komentarz do Hegla. Kiedy wszystko zostało osiągnięte, trzeba zniknąć w morzu. W wieczorze świata wędrówka musi osiągnąć kres». I to jeszcze: »Heidegger, gdyby kiedykolwiek zamierzał napisać powieść, kazałby swojemu bohaterowi zbudować domek na wzgórzu, by mógł

w nim czekać i patrzeć, jak rozwija się Historia. Dla Heideggera było oczywiste, że wędrówka trwa. Nie ma mowy o żadnym dojeździe».

To modelowe przeciwstawienie dwóch spojrzeń na dzieje, czyli mistycyzmu końca i realizmu bezkresnego horyzontu, jest przez ideę kolapsologiczną osłabione. Bliższe są jej tezy »katastrofizmu oświeconego«, wedle których należy żyć i postępować tak, szukając dróg ratunku, jakby najgorsze się już stało, było absolutną pewnością, z czasu przyszłego przesunęło się w przeszłość jako coś już dokonanego.

Postapo

W »Ostatnim człowieku« Macieja Jakubowiaka kryzys klimatyczny należy do jednego z wywoływanych z literatury i filmów scenariuszy końca tworzących nurt zwany »postapo«, fikcji postapokaliptycznej, która, pisze autor, wieździe dziś wśród gatunków kultury popularnej. Jakubowiak pokazuje, jak szybko apokaliptyczne i katastroficzne odkrycia nauki odnajdują się w różnych istniejących od dawna toposach czy mitach i jaką energię kreacyjną wywołują, jakie zasoby wyobraźni otwierają.

Warto np. wprowadzić za Jakubowiakiem rozpowszechniający się, występujący już w tytułach książek i stron internetowych, a nawet programów telewizyjnych i w komercyjnych zastosowaniach termin »prepersi«, odnoszący się

do tych, którzy przygotowują się do bycia »ostatnimi ludźmi« w przekonaniu (serio lub nie), że taki czy inny koniec nastąpi. To ekstremalna wersja czarnej go-dziny, odkładania na zapas tego, co się przyda w wypadku niemal pewnej zapa-sci. Nie chodzi już tylko o indywidualne manie, które i sto lat temu kazały niektórym zbierać w piwnicy puszki i kanistry z wodą. Ta przewidująca skrętność i zapobiegliwość stała się niejako zabawą z pogranicza gier komputerowych i scenariuszy filmowych. Różne plany ucieczki, metody przetrwania, budowy schronów itd., itp. – ludyczna gra w tych, którym się uda sforsować przeszkody czy przeżyć kataklizmy, musi się wydać parodią toposu ostatniości. Któż od dziecka nie wyobrażał sobie odrębnego, tajemnego miejsca na ziemi, kryjówki absolutnej?

Bardziej jednak intryguje inna kategoria zachowań, na swój sposób skuteczniejsza w przygotowaniu ludzkości do zgaszenia światła. Mam na myśli antynatalistów uznających dalszą prokreację za błąd, zaniechanie czy wręcz postawę nie-ludzką, czy to ze względu na przeludnienie planety, czy to ze względu na zagładę czekającą niechybnie nienarodzone jeszcze potomstwo, czy z powodów społecznych i genderowych, demitologizujących macierzyństwo. Są w tym przeświadczeniu niejako awatarami dawnych gnostyków z ich wstrętem do cielesności i odmową jej powielenia. Nazwy →

Pomóż naszym afgańskim współpracownikom zadomowić się w Polsce

Masooma Sultani, Alisher Shahir i ich półroczny synek Kianush, którym udało się wydostać z opanowanego przez talibów Kabulu, są już w Krakowie.

Wpłać dowolną kwotę na projekt Fundacji Tygodnika Powszechnego mający na celu ich aktywizację zawodową w naszym kraju w ramach dostępnego bezpłatnie na www.TygodnikPowszechny.pl serwisu specjalnego poświęconego Afgańczykom. Współfinansuj honoraria za teksty, tłumaczenia i multimedia, których twórcami będą Masooma i Alisher.

Czytaj wywiad z nimi pod adresem powszech.net/zkabulu i dołącz do zbiórki pod adresem powszech.net/pomagam



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO**

→ ich mikrospołeczności czy ruchów robią wrażenie: Voluntary Human Extinction Movement czy Birthstrike. Gdyby najbardziej skrajnych ich zwolenników zapytać, czy są za prawem do aborcji, odpowiedzieliby, że nie są za prawem, lecz za jej obowiązkiem. Z ich fantazyjnej perspektywy ostatni ludzie na ziemi zmarliby, licząc od dzisiaj, najpóźniej za 100-110 lat.

Osobliwość

Günther Anders w eseju „Apokalipsa bez królestwa” pisze o „nagiej apokalipsie”, która „składa się jedynie z upadku i która nie jest otwarciem nowego pozytywnego stanu rzeczy (>królestwa<)”. Najlepszym przykładem mogłaby być apokalipsa nuklearna – choć dzisiaj odeszła ona w cień w obliczu nowych zagrożeń.

Przywykliśmy mówić, że „apokalipsie” towarzyszy wyobrażenie nowego początku, że od ostatniej modlitwy przejdziemy do nowego kontraktu, podczas gdy nie tak groźnie brzmiąca „katastrofa” może okazać się całkowita. Andersa przytacza Slavoj Žižek w swej najnowszej książce „Hegel i mózg podłączony” (2020), poświęconej przede wszystkim „apokalipsie cyfrowej”. Posługuje się w niej pojęciem Osobliwości na określenie kondycji ludzkiej po wydarzeniu się wielkiej – apokaliptycznej czy katastrofalnej – zmiany.

Žižek pisze: „Pojawia się tutaj pytanie: czym będzie nasze wejście w Osobliwość? Wkroczeniem w nowe, wyższe (postludzkie) »królestwo« czy po prostu zniknięciem ludzkości, jaką znamy? Czy też w jakimś sensie (ale w jakim sensie?) jedno i drugie razem? Jest jasne, że ewentualne nastanie Osobliwości będzie apokaliptyczne w złożonym sensie tego terminu: będzie za sobą pociągać spotkanie z prawdą ukrytą w naszej zwykłej ludzkiej egzystencji, czyli wejście w nowy postludzki wymiar, który może być doświadczany jako katastroficzny, jako koniec naszego świata. Ale czy my nadal tutaj będziemy, żeby doświadczać zanurzenia w Osobliwości w jakimkolwiek ludzkim sensie tego słowa?” (przeł. Maciej Kropiwnicki).

„Osobliwość” Žižka mieści się w szeroko pojętych i częściowo zachodzących na siebie terminach transhumanizmu i posthumanizmu, robiących

karierę od paru dekad. Czy w wyniku technologicznych przemian, „podłączenia mózgów” do cyfrowej rzeczywistości powstaną „osobliwe byty” pozbawione sensu człowieczeństwa? I czy w takim razie, jeśli zostaniemy pozbawieni „podstawowych cech naszego wnętrza” (śmiertelność, cielesność, seksualność, podświadomość), mamy dzisiaj moc i narzędzia, by w jakikolwiek sposób o takiej Osobliwości rozprawić? Albo raczej „osobliwe byty”, osiągną nowe stadium istnienia, będą jeszcze powiązane pamięcią i niektórymi zachowaniami z przeszłością ludzkości? I zanim przejdą one w całkowicie postludzki wymiar (jeśli przejdą), okażą się ostatnimi jeszcze ludźmi na ziemi?

Hipoteza Osobliwości uruchamia litanię fascynujących pytań filozoficznych, etycznych, kognitywnych. Na tę chwilę cofam się przed nimi lękliwie do dobrze znanego i zakończę jednak na starą modłę. Książkę Jakubowiaka zamyka niespodziewanie rozdział poświęcony literackim opisom odchodzenia matek. Tak jakby autor chciał powiedzieć, że ostatni dla nas ludzie to ci, co nas opuszczają, i że to, a nic innego, wyznacza dla pogrążonych w żałobie faktyczny koniec świata.

A mnie na weselszą nutę przypomina się „Śpioch” Woody’ego Allena. Jego bohater budzi się po dwustu latach hibernacji w nowym (rządzonym przez Wielkiego Brata) świecie; niejako ostatnim człowiekiem świata dawnego, nieistniejącego, a tego nowego nie jest zdolny pojąć. W pewnym momencie natrafia w jakiejś pieczarze na volkswagena garbusa, pokrytego toną kurzu i pajęczyn. Wsiada, przekręca kluczyk, motor zaskakuje od razu. Kiedyś był to niezły dowcip na temat niemieckiej rzetelności. Dzisiaj myślę o tej scenie z przyjemną nostalgią: zdarzało się nam stworzyć na tej Ziemi doprawdy solidne rzeczy.

© MAREK BIEŃCZYK



Maciej Jakubowiak
OSTATNI LUDZIE.
WYMYŚLANIE
KOŃCA ŚWIATA,
Czarne,
Wrocław 2021

Karuzela ze skandalami

PIOTR KOSIEWSKI

„Sztuka polityczna” w warszawskim CSW pozwala zobaczyć lęki i obawy wielu europejskich społeczeństw. Uderzające jest wszechobecne tam poczucie strachu przed zmieniającym się światem.

WYSTAWA W ZAMKU UJAZDOWSKIM wywołała spory, zanim jeszcze została otwarta. Niektórzy uznali ją nawet za niedopuszczalną. Jednak warto uważnie się jej przyjrzeć, mówi ona bowiem wiele o lękach, obawach oraz ideologicznych zapętleniach środowisk pragnących być głosem tych, którzy czują się pomijani czy niewysłuchiwani. Wiele też mówi o polityce kulturalnej obecnych władz i środowisk ją wspierających.

Wystawa musiała wywołać kontrowersje, skoro jej kuratorzy: Piotr Bernatowicz, od dwóch lat dyrektor Zamku Ujazdowskiego, oraz Jon Eirik Lundberg, założyciel Læso Kunsthall, niewielkiej galerii położonej na jednej z duńskich wysp, postanowili zaprosić Dana Parka oraz kilku innych artystów, od dawna oskarżanych o propagowanie treści ksenofobicznych, rasistowskich czy antyislamskich. Nie są to zarzuty bezpodstawne, a tym bardziej nie wynikają one z „ideologicznych uprzedzeń” lub z niezrozumienia ich sztuki. Trudno bowiem uznać np. działania czy wypowiedzi Dana Parka o imigrantach, jego kpiny z ofiar Holokaustu, rozwieszanie plakatów z wizerunkiem wielokrotnego mordercy Andersa Breivika i podpisem „Free Breivik” czy używanie symboliki nazistowskiej za – jak mówił Piotr Bernatowicz w wywiadzie dla PAP-u – uprawnioną krytykę polityki rządu Szwecji oraz innych państw Zachodu, a przede wszystkim „nadmiernej łagodności w podejściu do



PIOTR KOSIEWSKI

Oscar Olivares, *Bitwa pod Carabobo*, 2017, wydruk cyfrowy.
CSW, Warszawa, wrzesień 2021 r.

przestępstw dokonywanych przez przedstawicieli mniejszości”.

Na wystawie w Zamku Ujazdowskim nie zabrakło zresztą grafik Parka przedstawiających Breivika jako modela promującego odzieżową markę Lacoste, sprawcę kradzieży napisu „Arbeit macht frei” z bramy byłego obozu zagłady Auschwitz czy poniżającego przedstawienia jednej ze szwedzkich lewicowych polityczek. Wszystkie te prace dobrze pokazują świat wyobrażeń środowisk tamtejszej skrajnej prawicy.

Twórcy wystawy chcą bronić wolności sfery publicznej przed dyktatem poprawności politycznej, a działania kontrowersyjnych artystów uznają za testowanie granic swobody wypowiedzi. Jednak Dan Park czy Uwe Max Jensen nie tylko urażają uczucia innych; ich prace i wypowiedzi mogą być uznane za mowę nienawiści czy propagowanie totalitaryzmu, co także w polskim prawie jest karalne. Inną kwestią jest, czy powinno się za poglądy karać, a zwłaszcza skazywać na więzienie (co spotkało Parka). To poważny spór. W kontekście tej wystawy narzuca się przede wszystkim inne pytanie: o instytucje kultury.

Owszem, instytucje te mogą, a nawet powinny stać się płaszczyzną dyskusji, konfrontacji poglądów, kwestii kontrowersyjnych, trudnych czy antagonizujących. Czy to oznacza, że w instytucjach publicznych można powiedzieć wszystko, wygłosić każdy osąd? I czy tym samym nie „normalizuje się” poglądów albo programów politycznych, które nawołują do dyskryminacji, a nawet przemocy wobec mniejszości?

Artyści wykluczeni

Na wystawie zebrano prace 27 artystów, które są – jak głosi tekst towarzyszący wystawie – „poświęcone walce o wolność, przypominają o wydarzeniach historycznych i ozywają informacje wymazane lub wymazywane z publicznych rejestrów”. Prace twórców, z których część jest atakowana albo represjonowana.

W Polsce artyści i galerie publiczne w ostatnich latach spotykają się z regularnymi atakami polityków czy aktywistów prawicowych. Grożą im też działania policji czy prokuratury. Twórcy wystawy całkowicie ignorują jednak polską rzeczywistość, chociaż Piotr Bernatowicz ostatnio występował w obronie niezależności białostockiego Arsenału, po raz kolejny zaatakowanego przez prawicowych polityków i prorządowe media. Za to w Zamku Ujazdowskim znalazły się obrazy Ignacego Czwartosa poświęcone niemieckim zbrodniom podczas II wojny światowej, prace Jacka Adamasa czy Wojciecha Korkucia, autora kontrowersyjnych, formalnie zaś ciekawych plakatów, celnie operujących plastyczną formą, jak powstały po rosyjskiej aneksji Krymu „Achtung Russia!” z 2014 r. (na wystawie prezentowany w formie light boxu), w którym w słowo „Russia” wkomponowano zapisany runami skrót SS.

Trudno te prace uznać za wywrotowe z punktu widzenia rządzących. Przeciwnie, doskonale wpisują się w oficjalną rządową narrację, a sami twórcy w ostatnich latach są mocno promowani (na Zamku Ujazdowskim trwa właśnie wystawa Adamasa „...Idź”). Twórcom „Sztuki politycznej” zaś, inaczej niż szefom innych instytucji, nie grożą jakiegokolwiek konsekwencje.

Obecny na wystawie Białorusin Aleś Puszkina to ofiara reżimu Łukaszenki i upomnienie się o jego wolność jest bardzo ważne – grozi mu bowiem 12 lat

→ więzienia za pokazanie obrazu przedstawiającego antykomunistycznego partyzanta Auhiena Żychara. Można też potępić działania Dana Parka, ale nie zgadzać się na karanie za twórczość. Jak bowiem pisał duński pisarz i krytyk Morten Høi Jensen na łamach „Hyperallergic” – „zamykanie ludzi za wyrażanie siebie (...) zdradza brak wiary w podstawowe zasady demokratyczne”. I dodawał, że prace Dana Parka powinno się publicznie potępić, a nie wtrącać go do więzienia. To pozwoli mu jedynie przebrać się w kostium męczennika.

Przemilczenia

W przypadku Jacka Adamasa czy Wojciecha Korkucia, a także wielu innych twórczyni i twórców obecnych na wystawie, owym „prześladowaniem” okazuje się przede wszystkim... niedostateczne uznanie ich twórczości przez środowiska artystyczne. Jednak to nie z powodu sporów o artystyczne hierarchie czy – sięgając po sformułowanie Ludwika Dorna – „głodu uznania” warto się wystawie przyglądać.

„Sztuka polityczna” pozwala zobaczyć lęki czy obawy części europejskich społeczeństw. Uderzające jest wszechobecne w Zamku Ujazdowskim poczucie strachu przed zmieniającym się światem, przed pojawieniem się w najbliższym otoczeniu Innych – imigrantów czy osób LGBT+, przed zmianą hierarchii społecznych czy wzorców kulturowych.

Urodzona w Czechosłowacji, a mieszkająca obecnie w Niemczech Jana Zimová w cyklu „Wilki w owczej skórze” przedstawia uchodźców, którzy przybyli w 2015 r. do Europy, jako podstępne bestie, przebiegłych najeźdźców pragnących zniewolić tamtejsze społeczeństwa. Brytyjska artystka przedstawiająca się jako Mimsy kreuje Sylanę, udawany świat zamieszkały przez kolorowe pluszaki, które nie potrafią dotrzeć do czających się tuż za rogiem islamskich fundamentalistów. Sylanianie są ufnymi, otwarci i empatyczni dla innych, czyli według Mimsy głupi, wegetujący w iluzji, że – jak pisze – „z uśmiechniętą buzią i piosenką na ustach nic nas nie zabol, a jak już zabol, to z naszej winy”. Uwe Max Jensen przerabia znane zdjęcie Jewgienija Chałdeja przedstawiające żołnierzy sowieckich zatykających flagę na ruinach Reichstagu. Flagę ZSRR zamienia na tęczową, a samą pracę tytułuje „Tęczowy wojownik – o to walczyliśmy”. U Jacka Adamasa

tęczowy kolor mają natomiast neony w formie policyjnych pałek (sama praca niedawno została zakupiona do zbiorów Zamku Ujazdowskiego).

Może wydawać się nieporozumieniem mówienie o przemocy ze strony osób LGBT+, podczas gdy to one nieustannie jej doświadczają, także od policji. Jacek Adamas pokazuje, że dla znacznej części polskiej prawicy, której on jest reprezentantem, obecność nieheteronormatywnych osób w sferze publicznej jest skandalicznym aktem przemocy na heteroseksualnej większości. Nie mówiąc już o tym, że mają one czelność domagać się szacunku i praw takich samych, jakie posiada dominująca większość. Skandalem jest też fakt, że obecność imigrantów zmienia Europę i wprowadza do niej większą różnorodność, wielokulturowość.

„Społeczne lęki trzeba rozwiewać, a nie wyśmiewać” – podkreśla Ziemowit Szczрек w opublikowanym w „Gazecie Wyborczej” felietonie poświęconym warszawskiej ekspozycji. Nie jest dobrym rozwiązaniem unikanie rozmowy o kwestiach trudnych, od nierówności i przemocy po problemy, jakie niesie z sobą migracja. Ich przemilczanie czy zamiatanie pod dywan. Takie postępowanie sprawia, że tematy uznane za „niewygodne”

zostają przejęte przez środowiska radykalne, nacjonalistyczne czy faszystowskie i to one zaczynają narzucać język rozmowy, ale też coraz częściej dyskryminacyjne rozwiązania.

Ignorowanie, pomijanie czy bagatelizowanie nie dotyczy jednak wyłącznie środowisk liberalnych czy lewicowych. I to nie ich problemem jest Uwe Max Jensen, który podczas performansu towarzyszącego otwarciu wystawy – ku aplauzowi części zgromadzonych gości – wymachiwał flagą Konfederacji będącej dziś symbolem rasistów, a następnie, nago, pomalowany na czarno, włókł się po podłodze, powtarzając ostatnie słowa zamordowanego przez policjanta George’a Floyd’a: „Nie mogę oddychać!”. To problem środowisk, z którymi popierający akcje duńskiego artysty się identyfikują.

Alibi

Dan Park usunął w cień inne artystki i artystów obecnych na wystawie. Tymczasem „Sztuka polityczna” jest znacznie bardziej zróżnicowana. Są tu zarówno karykatury Mahometa, jak i katolickiego kleru. Przede wszystkim są twórczynie i twórcy mówiący o bardzo realnych i ważnych problemach. Jak Oscar Oliva-res, który w swych pracach nie tylko opo-

PIOTR KOSIEWSKI





MATERIAŁY PRASOWE CSW

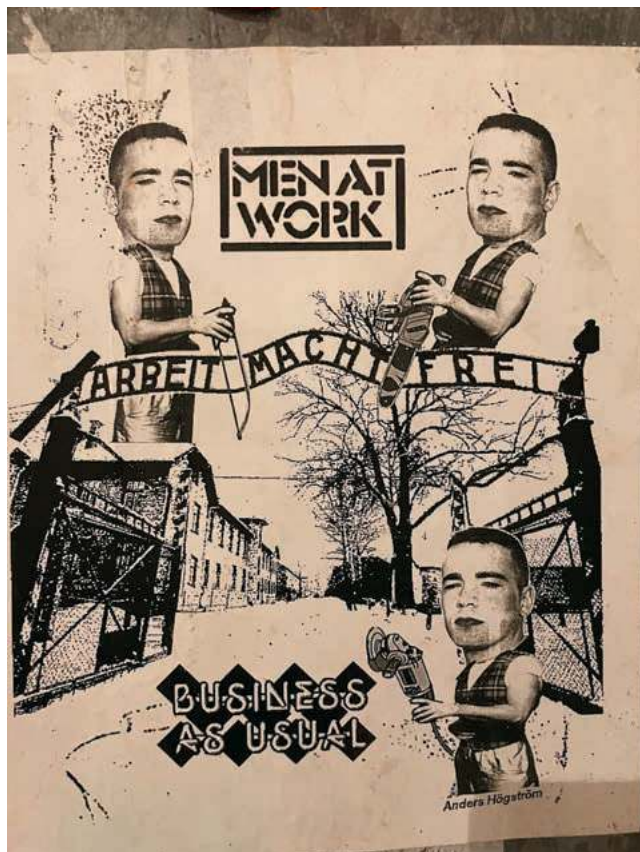


Wojciech Korkuć, *Achtung Russia!*, 2021, light box

Po lewej: Tasleem Mulhall, *Ukamenowana*, 2015, kamień, drewno; na drugim planie Firoozeh Bazrafkan, *Skakanka*, 2011, wideo

Po prawej: Dan Park, *metalowa konstrukcja z kółkami [fragment]*, 2005–2014 r.

CSW, Warszawa, wrzesień 2021 r.



MATEUSZ KANIEWSKI

wiadał o protestach przeciwko rządowi Nicolása Madura, ale jego przedstawienia demonstrujących Wenezuelczyków znalazły się na tarczach chroniących protestujących przed kulami policji.

Koreanka Gongsan Kim w swych pracach upamiętnia ofiary autorytarnych rządów w Korei Północnej, tych, którzy – jak podkreśla – „zostali wrzuceni do ciemnych dołów bez nagrobka i zapomniani”. Urodzona w Jemenie Tasleem Mulhall opowiada o sytuacji kobiet w ortodoksyjnym islamie. W Zamku Ujazdowskim znalazło się nawet miejsce na mówienie o pedofilii w Kościele katolickim, o której opowiada Anglik Séamus Moran. Pokazano też pracę nieżyjącego już Krzysztofa Junga „Rosja 1917–1951” z 1979 r. To seria sześciu map szkolnych Europy z zaznaczonym czarnym długopisem terytorium Rosji. Niezwykle sugestywnie przedstawia ona rozrastanie się imperium sowieckiego.

Wszystkie te prace rozmyślają jednoznaczny obraz wystawy Bernatowicza i Lundberga, ale też uwiarygodniają skrajne poglądy tak silnie na niej obecne. Bardziej niż wątpliwe jest też to, by Krzysztof Jung w ogóle zgodził się na udział w ekspozycji pokazującej prace ksenofobiczne czy homofobiczne,

o czym przypomnieli opiekunowie jego spuścizny w specjalnie wydanym oświadczeniu. Nie jedynym zresztą, bo protest w sprawie wystawy wystosowały m.in. środowiska żydowskie.

Koniec długiej historii

„Sztuka polityczna” okaże się zapewne kluczowym wydarzeniem dla samego Zamku Ujazdowskiego. W ostatnich 30 latach odgrywał on szczególną rolę w polskim życiu artystycznym, wpływając na jego kształt. Był też stale obecny w obiegu artystycznym wykraczającym poza polskie granice, a wystawy w nim organizowane były ważne dla międzynarodowej obecności artystów z naszego kraju, ale też całego regionu. Dziś ten sam Zamek Ujazdowski z jego reputacją, wiarygodnością i wieloletnim dorobkiem został użyty do legitymizacji Dana Parka i galerii Jona Eirika Lundberga.

Wystawa nie sprawi jednak, że Læso Kunsthal stanie się ważną instytucją w świecie sztuki, a Szwed znaczącym twórcą. Inaczej z Zamkiem Ujazdowskim. Teraz każda kolejna wystawa czy inne wydarzenie mogą zostać uznane za wsparcie dla programu instytucji, która daje przestrzeń dla osób o poglądach rasistowskich czy ksenofobicznych.

„Sztuka polityczna” jest ważna z jeszcze jednego powodu. Wcześniej programowe ekspozycje Piotra Bernatowicza „Strategie buntu” (2015) i „Historiofilia” (2017) można było potraktować jako swoisty wskaźnik zmian zachodzących na polskiej prawicy. Ukazywały jej samopoznanie jako wykluczonej, uciskanej czy stygmatyzowanej mniejszości. Żyjącej w nieustannym zagrożeniu. Pokazywały, że konstytutywne dla polskiej prawicowej tożsamości stały się: antykomunizm, stosunek do aborcji, praw kobiet i mniejszości seksualnych. „Sztuka polityczna” odzwierciedla kolejną istotną zmianę – ważnymi tożsamościowymi wskaźnikami dla tych środowisk stały się lęk przed uchodźcami i islamofobia, ale też tolerancja dla postaw – nawet tych, które ocierają się o antysemityzm – przez lata w głównym nurcie środowisk prawicowych czy tradycjonalistycznych uznawanych za niedopuszczalne. Nie jest to dobra wiadomość.

© PIOTR KOSIEWSKI

SZTUKA POLITYCZNA, Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski, wystawa czynna do 16 stycznia 2022, kuratorzy: Piotr Bernatowicz i Jon Eirik Lundberg.

W akwariu z rekinami

JAKUB MAJMUREK

Twórcy „The Morning Show” przekonująco pokazują wady, uwikłania i układy sił, w jakich działa telewizja. Ale nie dają nadziei na to, że jej zmierzch oznaczałby mniej zmanipulowaną debatę publiczną.

TEN PROGRAM PRZEZ LATA TOWARZYSzył zaczynającym dzień Amerykanom. W zmieniającym się świecie pewne było to, że gdy włączy się rano telewizor, na ekranie pojawiają się Alex Levy i Mitch Kessler. Ulubiona para Amerykanów z (telewizyjnego) sąsiedztwa, dostarczająca rozrywki i informacji, a co najważniejsze – poczucia, że świat nie jest wcale aż tak zły i niezrozumiały, jak mogłoby się wydawać po przebudzeniu.

Pewnego dnia ta bezbłędnie działająca maszyna się zacina. W środku nocy, gdy ruszają przygotowania do startującego z samego rana programu, w telewizyjnym studiu w Nowym Jorku pracownicy powtarzają sobie szeptem wiadomość, w którą nikt początkowo nie może uwierzyć: Mitch Kessler wylatuje z programu, wkrótce ma się pojawić artykuł demaskujący go jako seksualnego drapieżcę, który latami wykorzystywał kobiety ze stacji pozostające wobec niego w zależności służbowej. Alex musi przez kilka dni sama unieść program, co nie jest łatwe. W dodatku docierają do niej wiarygodne informacje, że jeszcze przed wybuchem afery Kesslera stacja podjęła decyzję, by pomału, lecz zdecydowanie szukać jej następczyni.

W ten sposób zaczynał się pierwszy sezon „The Morning Show”, jednego z lepszych seriali 2019 r. Warto przypomnieć go sobie – albo jeśli ktoś nie widział, obejrzeć po raz pierwszy – przed planowaną na 17 września premierą sezonu drugiego na Apple TV.

Każda strona historii

Tym, co przede wszystkim zwraca uwagę od początku „The Morning Show”, jest fakt, że produkcja traktuje swoich widzów jak osoby dorosłe. Nie, nie chodzi o sceny seksu czy przemocy, ale o założenie, iż widz rozumie to, że świat i zy-

cie ludzkie są czymś szalenie skomplikowanym, że bardzo łatwo dać się nabrać na pozory, ponieść panice moralnej czy manipulacji. Że ludzie (i ich działania) rzadko bywają całkowicie dobrzy lub po prostu źli, życie rozgrywa się między odzieniami szarości. Dlatego warto każdy fakt, każdą narrację, pretensję, oskarżenie, obronę obejrzeć z wielu stron, obsadzić w odpowiednim kontekście, skonfrontować także z niewygodnymi dla naszych instynktownych sądów faktami.

Ta filozofia przekłada się na narracyjną strukturę serialu. Na rzeczywistość porannego programu w stanie kryzysu patrzymy z punktu widzenia kilku postaci. Są wśród nich Alex; walczący o obronę kariery i dobrego imienia Mitch; obawiający się o przyszłość audycji producent „The Morning Show” Chip; nowy dyrektor stacji ds. informacji Cory, który zamierza wykorzystać kryzys do wstrząśnięcia medialnym konglomeratem i otwarcia sobie drogi na jego szczycie.

Jako widzowie naturalnie utożsamiamy się ze spojrzeniem nowej dziennikarki w stacji, Bradley Jackson. Gdy poznajemy ją w pierwszym odcinku, Bradley pracuje dla lokalnej telewizji. Jej kariera od lat nie może wystartować, kobieta ciągle zmienia pracę, żadna nie jest na miarę jej talentu i inteligencji. Gdy w trakcie relacjonowania protestu gdzieś pośrodku niczego zaczyna się kłócić z górnikiem, coraz bardziej agresywnie konstruując jego zaprzeczające zmianom klimatu bzdury, Bradley staje się wiralem. Traci pracę, ale trafia do „The Morning Show”, najpierw jako gość, następnie – za sprawą gier i intryg różnych walczących o pozycję w stacji osób – jako niespodziewana następczyni Mitcha.

Perspektywa Bradley nigdy nie jest jednak decydująca. Narrację ciągle przerywają retrospekcje, rzucające nowe światło na fakty, które – jak nam się wy-



dawało – znaliśmy, oraz zmuszające do weryfikacji naszych ocen różnych postaci i ich realnych motywacji. „The Morning Show” przez cały sezon uzupełnia obraz sytuacji w tytułowej audycji o kolejne, tyleż subtelne, co znaczące nuanse.

Te nuanse udaje się pokazać na ekranie dzięki doskonałej obsadzie. Jennifer Aniston, która od czasu końca sezonów „Przyjaciół” (2004) nie zagrała żadnej istotnej roli, tworzy tu swoją najwybitniejszą kreację w karierze. Rewelacyjny jest też Steve Carell jako Mitch: potrafi pokazać zarówno beczelne poczucie przywileju telewizyjnej gwiazdy i jej megalomanię, która nie pozwala zaakceptować, że to naprawdę koniec, jak i wydobyć ludzkie cechy swojej postaci, tak by nie zmieniła się w łatwą karykaturę.

Właściwie każdy z wykonawców zasługuje na podobne pochwały: Billy Crudup jako niesiony przez nieograniczoną ambicję Cory Ellison, Mark Duplass jako wiecznie funkcjonujący na granicy depresji wydawca Chip czy Gugu Mbatha-Raw jako producentka skrywająca kluczową tajemnicę sezonu. Świetnie pracuje także drugi i trzeci plan – trudno w ostatnich latach o serial, gdzie cała obsada została dobrana tak trafnie i tak doskonale współgrała ze sobą na ekranie.



Kadr z serialu „The Morning Show”

chodzi oczywiście o obronę postaci Mitcha i jego zachowania wobec podległych mu służbowo kobiet ze stacji czy panującej w telewizji przez dekady głęboko seksistowskiej kultury. Jak się przekonujemy, w trakcie rozwoju sezonu przynosi ona czasem tragiczne konsekwencje.

Nie ma wątpliwości, że twórcy „The Morning Show” uważają zmiany, jakie przyniósł upadek takich postaci jak Ailes czy Lauer, za idące w ogólnie dobrym kierunku. Jednocześnie serial uczula nas, by nie oddawać się nadmiernemu entuzjazmowi z powodu upadku ludzi takich jak Mitch, a przynajmniej by mieć świadomość, że chodzi tu nie tylko o sprawiedliwość i zadośćuczynienie ofiarom, ale także o grę różnych dbających o swoje interesy sił.

W „The Morning Show” widzimy, że stacja, dopóki gwiazdor zarabia dla niej pieniądze i nikt się głośno nie skarży, nie tylko toleruje jego zachowanie wobec kobiet, ale i pomaga łagodzić ewentualne kryzysy przy pomocy pieniędzy, awansów i różnych innych marchewek. Także ekipa produkująca tytułowy program zgodnie udaje, że niczego nie widzi. Gdy jednak nastroje społeczne się zmieniają, gdy za sprawą afery MeToo zaczynają spadać pierwsze głowy, a do mediów docierają oskarżenia przeciw Mitchowi, stacja bez wahania wrzuca go pod autobus. Nie tyle z powodu moralnego oburzenia czy troski o bezpieczeństwo swoich pracowników, co z ekonomicznej kalkulacji.

W świecie korporacyjnej telewizji – jak pokazuje to serial – słuszne moralne oburzenie na męski przywilej, przedmiotowe traktowanie kobiet, kulturę normalizującą molestowanie – bardzo łatwo może zostać strategicznie zinstrumentalizowane przez ludzi (bądź ich grupy), którzy walczą o swoje kariery, nie o jakąkolwiek sprawę. Podobnie zinstrumentalizowana jest w serialowej stacji kwestia rasowej reprezentacji i sprawiedliwości, o czym przypomina ciągle odbijający się od szklanego sufitu czarny dziennikarz „The Morning Show”, Daniel Henderson. Stacja wielokrotnie obiecuje mu przełom w karierze i miejsce na szczycie, i wielokrotnie nie dotrzymuje obietnicy.

Instrumentalizacja podlegają także kwestie dziennikarskiej niezależności, mówienia prawdy władzy – w tym kor-

poracyjnym właścicielom medium. Gdy oglądaliśmy dramatyczny konflikt dziennikarzy z kierownictwem stacji w finale sezonu, nie wiemy, czy obserwujemy stracącą wierność etosowi wolnych mediów czy korporacyjną rozgrywkę.

Telewizja jest bowiem w „The Morning Show” tyleż oknem na świat, co – z perspektywy znajdujących się w środku osób – akwarium pełnym drapieżnych ryb. Jedne są potężne, ale już dość stare, powolne, zbyt mało agresywne. Inne są mniejsze, za to młodsze, szybsze, bardziej zdeterminowane, by dogryźć się do pozycji na szczycie. Każda z nich uwikłana jest w brutalną walkę wszystkich ze wszystkimi.

Medium w kryzysie

Ta walka przybiera formy tym dramatyczniejsze, że w telewizyjnym akwarium coraz trudniej żyć: w wodzie zmniejsza się ilość tlenu, brakuje pożywienia, temperatura staje się coraz mniej komfortowa. „The Morning Show” przedstawia telewizję jako medium w głębokim kryzysie.

Z jednej strony jego ekonomiczną pozycję podkopują internet i nowe media, które zdolne są dać odbiorcom to, czego nie może dać telewizja. Nie tylko wrażenie uczestniczenia w wydarzeniach w czasie rzeczywistym, ale także poczucie interakcji przez komentarze, udostępnienia, lajki. Symboliczne jest zresztą, że „The Morning Show”, najlepszy serial o MeToo w telewizji, wyprodukowała nie żadna stacja telewizyjna, ale platforma VOD niedawno założona przez firmę zajmującą się do tej pory produkcją elektroniczną.

Jeszcze poważniejszym problemem stacji z serialu jest jednak to, że coraz gorzej rozumie ona współczesną Amerykę. Najlepiej pokazuje to pierwszy kryzys wywołany w audycji przez Bradley. Gdy debiutuje w roli prowadzącej, dziennikarka mówi na żywo na wizji o swojej aborcji. Kierownictwo stacji jest przerażone, boi się odpływu bardziej konserwatywnych widzów i reklamodawców. Nie może jednak zwolnić dziennikarki – bo to oznaczałoby oburzenie widzów o liberalnych przekonaniach i odpowiednią reakcję reklamodawców adresujących do nich swoje produkty. Załamanemu tą sytuacją szefowi stacji nie pozostaje nic innego, niż ponarzekać, czemu „The Morning Show” nie może, jak kiedyś, być medium

Moralne wzburzenie i interesy

Centralny problem serialu dotyczy splotu seksu i władzy za kulisami telewizji. Medium to, podobnie jak kino, przeszło przez własną serię skandali spod znaku MeToo. Konserwatywna stacja Fox News z powodu oskarżeń o molestowanie i przemoc seksualną w pracy musiała się rozstać zarówno ze swoim dyrektorem programowym – i faktycznym twórcą formuły kanału – Rogerem Ailesem, jak i jedną z jego czołowych gwiazd, Billem O'Reillym. Upadek tego pierwszego przekonująco pokazał Russell Crowe w mini-seriale „Na cały głos”, a toksyczną kulturę panującą w stacji rekonstruuje film „Gorący temat”, gdzie historia opowiedziana zostaje z punktu widzenia pracujących w Fox News kobiet. Z tych samych powodów z pracą pożegnać musiały się także gwiazdy bardziej mainstreamowej NBC News, Matt Lauer i Mark Halperin, oraz Charlie Rose, prowadzący popularny program poranny „CBS This Morning”.

Wszystkie te wydarzenia miały miejsce jesienią 2017 r. „The Morning Show” debiutuje dwa lata później. W przypadku produkcji telewizyjnej to niewielki dystans czasowy, pozwala on jednak na przedstawienie afery w tytułowym programie bez wpadania w schematy. Nie

→ rodzinnym, ogólnie optymistycznym, stojącym w politycznym centrum, z dala od wszelkich skrajności. Problem w tym, że we współczesnej sferze publicznej, coraz bardziej spolaryzowanej i zafiksowanej na polityce tożsamości, taka formuła dawno przestała być uniwersalna i coraz gorzej broni się na rynku treści.

Jednocześnie, mimo kryzysu, telewizja ciągle w „The Morning Show” hipnotyzuje i przyciąga. Nie tylko widzów, ale wszystkich marzących o tym, by w telewizyjnym wyścigu na szczyt wspiąć się jak najwyżej, jeśli chodzi o sławę, widoczność, wpływ, pieniądze. Twórcy serialu, przekonująco pokazując wady, uwikłania i układy sił, w jakich działa telewizja, nie pozostawiają przy tym nadziei na to, że jej zmierzch oznaczałby bardziej wolną, mniej manipulowaną sferę i debatę publiczną.

Wyzwanie drugiego sezonu

W drugim sezonie przed twórcami „The Morning Show” niełatwe zadanie. Niejeden serial nie był w stanie przejść przez tę próbę, utrzymać poziomu i zainteresowania widzów po tym, gdy w pierwszym udało się mu osiągnąć artystyczne wyżyny.

Trudno uwierzyć, by jakoś pracy aktorów, scenarzystów, reżyserów i ekipy technicznej miała się nagle dramatycznie obniżyć. Problemem może okazać się co innego: czy twórcom uda się powiedzieć coś istotnego o współczesnych mediach i sferze publicznej, czego nie powiedzieli w pierwszym sezonie? Czy oglądając nowe odcinki „The Morning Show” będziemy mieli znów wrażenie, że to nie tylko znakomita serialowa robota, ale także tekst kultury, mówiący coś istotnego o współczesnym świecie? Z niecierpliwością czekam na odpowiedź.

© JAKUB MAJMUREK

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE MÓWI SERWIS

Kadr z filmu „Najmro. Kocha, kradnie, szanuje”

Zawód: przestępca

ANITA PIOTROWSKA

Gdyby żył, miałby sześćdziesiąt siedem lat, choć po obejrzeniu tego filmu trudno uwierzyć, że naprawdę go już nie ma. Albo że w ogóle kiedykolwiek istniał.

SAM ŻYCIORYS ZDZISŁAWA NAJMRODZKIEGO przyprawia o zawrót głowy. Doczekał się świetnego przedstawienia w Teatrze Miejskim w Gliwicach, bardzo zresztą filmowego, lecz to, co zrobili twórcy „Najmro. Kocha, kradnie, szanuje”, przypomina jeszcze bardziej rozpędzony rollercoaster. Debiutant Mateusz Rakowicz zabiera nas w szaloną jazdę nie tyle do późnych lat 80. i początków III RP, ile raczej do zbiorowego imaginarium narosłego wokół tamtych epok. Postać „króla ucieczek” jest tu pretekstem do wytarzania się z dziką rozkoszą w rodzimej popkulturze tamtych lat. Efekt? Tak dobrego kina rozrywkowego nie mieliśmy dawno.

Grany przez Dawida Ogrodnika tytułowy bohater, czyli przystojny wśczech, włamywacz i złodziej samochodów, 29 razy zdołał wystrychnąć na dudka organy ścigania. W 1988 r., mając na przeciw siebie znienawidzoną przez większość rodaków Milicję Obywatelską, stał się wcieleniem antysystemowca, symbolem wolności i oporu,

żywym dowodem na to, że „państwo nie daje rady” – w dodatku obdarzonym szelmowskim wdziękiem. Scenariusz Rakowicza i Łukasza M. Maciejewskiego rozkłada karty niby znaczone (przez lokalny mit i uniwersalne wzorce kulturowe), ale – także dzięki aktorskim kreacjom – cudownie odświeżone.

Oto główni antagoniści Najmrodzkiego dobrani na zasadzie znanego gatunkowego schematu: porucznik Barski (Robert Więckiewicz) i sierżant Ujma (Rafał Zawierucha). Jeden to ambitny i kanciasty prowincjusz, drugi zaś jest ofermowatym gryziopiórkiem. Dynamiczna, acz szorstka relacja między milicjantami tudzież zabawa w kotka i myszkę uprawiana przez całą trójkę napędzają i jednocześnie świetnie zagęszczają akcję. Jej najważniejszym paliwem są oczywiście beczelne włamania do pewexów, szaleńcze pościgi polonezami, coraz zmyślniejsze ucieczki z zakładów karnych. Jednakże energia „Najmro” bierze się przede wszystkim

z przepysnej kreacji świata przedstawionego. Po prostu strasznie chce się w nim przebywać.

Zwłaszcza w rozwibrowanej „ejtiso-wej” części tej historii, kiedy legenda przebiegłego kryminalisty była w pełnym rozkwicie. Kamera Jacka Podgórskiego porywa wówczas w dyskotekowo-dancingowy trans, a rzeczywistość sprawia wrażenie przepuszczonej przez kolorowe szkiełko. Stąd obasypany brokatem PRL, z kolorystyczną dominantą indygo i ostrej miedzi, wygląda chwilami wręcz psychodelicznie. Filmowany pod dziwacznymi kątami, teledyskowo zmontowany obraz Rakowicza klisze gatunku zwanego kinem milicyjnym zamienia jeśli nie w złoto, to z pewnością w lśniące cekiny. Brawurowo fetyszyzuje scenografię, kostiumy, rekwizyty i charakteryzację, nade wszystko jednak czerpie garściami z dobrze znanego polskim widzom uniwersum. Znajdziemy w nim kultowe dzisiaj peerelowskie filmy („Kłątwa Doliny Węży” Marka Piestraka, uchodząca przez lata za najgorszy polski tytuł wszech czasów, doczekała się tu zasłużonej rehabilitacji), a obok popularne seriale, kreskówki, audycje radiowe i programy telewizyjne na czele z „997”.

Owe cytaty, chociaż wprost wylewają się z ekranu, są organicznie wrośnięte w tkankę filmu. Reżyser opowiada nimi o pewnym umownym czasie i zarazem o swym bohaterze, podrasowując w ten sposób biografię i tak już większą niż życie. W filmie wyprzedza ona również swoje miejsce i czas – patrz fragment, gdzie Najmro zdążył przejrzeć psychologię marketingu, zanim stało się to modne. Obraz urokliwego złodzieja raz po raz płynnie przechodzi w portret rozbawionego swą popularnością showmana, by nie rzec: celebryty, a może nawet wielce utalentowanego performera, co Dawid Ogrodnik odgrywa dziarsko, dwuznacznie i całym sobą.

To film, który opowiada obrazem i nic dziwnego – Rakowicz, z wykształcenia rysownik, pracował wcześniej przy storyboardach (obrazkowych scenopisach filmowych), potrafi więc nakreślić klimat epoki czy ustrojowe przemiany w celnym komiksowym skrócie. Kiedy Zdzisław odbywa kolejną odsiadkę, wystarczy kilka znaków, by świat obrócił

się o sto osiemdziesiąt stopni. W telewizji pada właśnie mur berliński, milicja przemalowuje się na policję, orzeł zyskuje koronę, dziewczyna z kasy kina trafia do wypożyczalni kasety wideo, zaczynają się „bandyckie” lata 90... Jeszcze lepiej słysząc ową rewolucję na ścieżce dźwiękowej, nad którą czuwał Andrzej Smolik. Wcześniej układała się w przebojową playlistę, od Niemena do Manamu, od Jantar i Sośnickiej po Urszulę i Zauchę, a kiedy Beata Kozidrak rozpaczliwie pytała „Co mi, Panie, dasz w ten niepewny czas?!” czuliśmy się jeszcze bardziej u siebie w domu. Wraz ze skrzętem w nową dekadę film gwałtownie zmienia atmosferę i fonosferę, wchodzi w jednostajny rytm techno, staje się upiorną podróżą „na kwasie”. Najmrodzki zaś, rozpoczynający właśnie zupełnie nowy etap, musi stawić czoło komuś znacznie groźniejszemu niż stróż prawa.

Podtytułem „Kocha, kradnie, szanuje” można by też opisać – rzecz jasna, z przymrużeniem oka – reżyserską strategię, wyrastającą z wielkiej miłości do kina, ze znajomości jego reguł i osiągnięć. Najważniejsze, że w tej zwariowanej zabawie wszystko ze sobą „trybi”, również wątki oraz postacie z drugiego i trzeciego planu. Nawet te ryzykowne, ocierające się o karykaturę, jak np. hipisowsko wyzwolona matka bohatera (Dorota Kolak) czy pracująca na sukces filmowego Najmro „ferajna”: Sandra Drzymalska, czyli „Młoda”, Andrzej Andrzejewski jako „Teplic”, a zwłaszcza Jakub Gierszał w fantastycznej, jakże rozwojowej roli „Antosa”. Udaje się w tym filmie zachować także dość chybliwą równowagę między zgrywą i powagą, przerysowaniem i lekkością. Weźmy choćby scenę erotyczną z udziałem Zdzisława i Teresy – potrafi być równocześnie ironiczna i seksowna. Zresztą Marta Wągrocka gra ukochaną głównego bohatera w taki sposób, jakby doskonale wyczuwała, iż występuje w czymś więcej niż awanturnicza komedia w stylu retro. Ale gdyby „Najmro” miał pozostać tylko nią i niczym więcej, należałoby zapytać: właściwie dlaczego nie? ©

NAJMRO. KOCHA, KRADNIE, SZANUJE

– reż. Mateusz Rakowicz. Prod. Polska 2021. *Dystryb. Mówi Serwis. W kinach od 17 września.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Surogatka



Dramat, reż. Jeremy Hersh, USA 2020, Cinemax, 15 IX, 20.00, 16 IX, 11.25
Młoda mieszkanka
Nowego Jorku decyduje się urodzić dziecko parze zaprzyjaźnionych gejów. Sprawy komplikują się, gdy badania prenatalne wskazują na obecność dodatkowego chromosomu odpowiedzialnego za zespół Downa. Bliżej słuchowiska niż kina, bardziej studium przypadku niż opowieść, ale daje do myślenia.

2. Daniel Day-Lewis



Dokumentalny, reż. Jeanne Burel, Nicolas Maupied, Francja 2021, Premiery Canal+, Player

Podtytuł „Geniusz z Hollywoodu” nie wyczerpuje fenomenu tego aktora, który po filmie „Nić widmo” (2017) rozstał się z ekranem. Twórcy dokumentu przyglądają się aktorstwu Day-Lewisa również z perspektywy jego osobistych doświadczeń, a w szczególności rodzinnego dziedzictwa.

3. Jinpa



Dramat, reż. Pema Tsenden, Chiny 2018, Nowe Horyzonty VOD
Gdzieś na przecięciu
kina drogi z medytacją

o zemście i odkupieniu odbywa się podróż po Wyżynie Tybetańskiej. Wraz z kierowcą ciężarówki o tytułowym imieniu przemierzamy surowy pejzaż, w którym każde spotkanie i szczegół nabierają symbolicznej czy surrealistycznej mocy. Nagroda za scenariusz na festiwalu w Wenecji.

4. Biały Lotos



Seriał, reż. Mike White, USA 2021, HBO GO
Luksusowy kurort
na Hawajach ukazuje

Amerykę w pigułce i jednocześnie w krzywym zwierciadle. Spoteczno-obyczajowe diagnozy, te poprawne i niepoprawne politycznie, oraz galerię wyrazistych typów ludzkich dopełnia kryminalna zagadka i świetna „tropikalna” muzyka, którą stworzył Cristóbal Tapia de Veer.

JAN

Klata: Pakowanie



OPAKOWANIE ŁUKU TRIUMFALNEGO JEST samo w sobie dużym wyzwaniem, ale pośmiertne opakowanie Łuku Triumfalnego stanowi wyzwanie istic tytaniczne. Artysta znany jako Christo pakuje nawet zza grobu. 25 tysięcy metrów kwadratowych Łuku Triumfalnego zasłoniętych zostanie całkowicie już za kilka dni, jako hołd dla artysty, spełnienie marzenia snutego od 1962 r. Udało mu się z Pont Neuf, udało się z Reichstagem, powiedzie się także z Łukiem Triumfalnym, od którego się wszystko zaczęło.

Oczywiście, w epoce naszego wychodzenia ze zdegenerowanej Unii nie można nie podkreślić różnic pomiędzy artystowskimi fanaberiami a naszym zdrowym podejściem. Nie muszę zaznaczać, że różnic na naszą korzyść. Przede wszyst-

kim my wiemy, że żeby coś zasłonić, najpierw trzeba odsłonić. Wobec tego przewencyjnie, zgodnie ze starą zasadą, że lepiej zapobiegać, niż leczyć, nie spieszymy się z oddawaniem czegośkolwiek do użytku, żeby nam jakiś – pozał się Boże – artysta tego nie zasłonił. Nie wolno dopuścić, żeby jakiś późny wnuk Christa opakował nam port lotniczy w Baranowie, nieprawdaż? Jak wtedy będziemy lądowali, skoro i tak generalnie przed naszymi lądowaniami piętrzą się problemy? Pozwolę sobie postawić śmiałą tezę, że budowa Centralnego Portu Lotniczego leży z tego właśnie strategicznego powodu.

Idźmy dalej: przekop Mierzei Wiślanej. Trzeba chronić wykopany bezcenny bursztyn przed artystycznym zasłonięciem! Christo mógł sobie opakowywać krajobraz w Kolorado, u nas nie będzie tak kolorowo. Opakowany przekop mógłby być przykrywką dla jakiejś kreciej roboty piątej kolumny, a zatem nie wolno na niego przyzwolić. Z drugiej strony oczywiście rozumiemy, że wariaci muszą się wyszumieć. Żeby skanalizować jakoś artystyczną energię, można ewentualnie dać im zasłonić tęczę na placu Zbawiciela... a nie, nie ma takiej potrzeby, nie, nie i jeszcze długo, długo nie. O, palmę w Alejach Jerozolimskich niech sobie dziwacy pakują.

A jak już spakują, to niech zabiorą, i gdzieś razem z nią wyjadą. Będzie spokój. ©

Lektor: Kronika strasznych lat



■ Lidia Czukowska, **ZAPISKI O ANNIE ACHMATOWEJ.**

TOM 1: 1938-1941, TOM 2: 1952-1962, TOM 3: 1963-1966

Przekład z rosyjskiego: Eugenia Siemaszkiewicz, Halyna Dubyk,

Ewangelina Skalińska. Posłowie do tomu 1: Adam Michnik.

Kolegium Europy Wschodniej, Wrocław 2021, ss. 544 + 776 + 484.

TRZY POTĘŻNE I STARANIE opracowane tomy (komentarze, przypisy, wiersze Achmatowej) to lektura niezbędna dla każdego, kogo interesują losy pisarzy rosyjskich i rosyjskiej kultury w minionym stuleciu. Niezwykły, bo szkicowany z bliska, portret jednej z największych poetek/poetów XX wieku – nie tylko rosyjskich. Dokument o wielkim znaczeniu, choć

przez autorkę świadomie cenzurowany, pełen niedomówień i ukrytych aluzji. Bo przecież „Zapiski” prowadzone były w czasie, kiedy – jak pisze Eugenia Siemaszkiewicz – „kilka nieopatrznie zapisanych słów, wpłątane w notatki nazwisko, najniewinniejszy szczegół opisu – wszystko mogło przemienić byle karteluszek w akt oskarżenia o nieodwracalnych

konsekwencjach”. Także wiersz mógł przynieść zgubę. „Dokonała obrzędu” – pisze kilkakrotnie Czukowska o Achmatowej. To znaczy na skrawku papieru zapisała fragment wiersza, dała przyjaciółce do przeczytania, a kiedy ta zapamiętała, Achmatowa „spaliła skrawek nad świecą, wypowiadając jednocześnie tonem kobiety światowej obojętne zdanie o pogodzie czy herbacie”. Lidia Czukowska (1907-1996) była córką Kornieja Czukowskiego, autora świetnych książek dla dzieci. W 1938 r. zamordowano w więzieniu jej męża, fizyka Matwieja Bronsztejna, sama tylko przypadkiem uniknęła aresztowania. Napisana zimą 1939/40 powieść o okresie czystek ukazała się dopiero w 1965 r. w Paryżu. Spotykać się z Achmatową Czukowska zaczęła w listopadzie

1938 r. „W owych latach – wspomina – Anna Andriejewna żyła w zaklętym kręgu katowni, żądając od siebie i innych nieustannej pamięci o niej”. Pierwszego męża Achmatowej, poetę Nikołaja Gumilowa, rozstrzelano w 1921 r. Jej syna Lwa Gumilowa i jej kolejnego partnera, historyka sztuki Nikołaja Punina aresztowano; takie jest tło wspianego poematu „Requiem”. „Zapiski” obejmują dwie dekady (w latach 1943-52 wzajemne stosunki zamarły – nie była to przyjaźń łatwa!). W tomie trzecim jednym z najważniejszych tematów jest proces Josifa Brodskiego. I ostatnie lata poetki; ciężko chora, odbywa jednak dwie podróże: na Sycylię (nagroda Etna-Taormina) i do Anglii (doktorat *honoris causa* w Oksfordzie). Triumf? Za jak straszną jednak cenę! ©

PAWEŁ

Bravo:

Ciężar chleba



DZIESIĘĆ. TYŁE PŁACĘ ZA CHLEB ŻYTNIO-pszenny u pana Janka ze Stu Bochenków. Spory, bardzo ścisły, więc starcza mi na prawie tydzień. Patrząc od strony Excela, wychodzi niewiele, dziennie tyle, co pół biletu na tramwaj. Ale, po pierwsze, jadam w ogóle mało chleba, ze dwie cienkie skibki rano z serem albo miodem, dobrze zaś wiem, że dla wielu to fundament codziennej diety, zresztą jak jeszcze karmiłem dwójkę dzieci, to pamiętam, ile tego schodziło. A po drugie, przy chlebie słabo działa racjonalna kalkulacja i bilanse, jego symboliczne korzenie sięgają tak głęboko, że cenę ma łatwopalną. Dla mnie właśnie dziesięć to taka psychiczna bariera, nie umiem sobie pozwolić na droższy, jakim kuszą butikowe, ach, jakże tradycyjne (choć założone najdalej w zeszłej dekadzie) i po stokroć naturalne piekarnie.

Zdaje się, że ten irracjonalnie założony próg bólu znowu podejdzie wyżej, w miarę jak paru znanych mi uczciwych piekarzy wreszcie podniesie ceny, żeby nie odpaść od inflacyjnego trendu. W tym, rzecz jasna, kontekście dziennikarze zadali w zeszłym tygodniu premierowi sławne pytanie: to po ile ten chleb? Sławne, bo odpowiedź zapewniła na kilka dni paliwo dla memów i dowcipów. Faktycznie, był to wspaniały popis wykręcania kota ogonem: pan premier zaimprowizował trwający półtorej minuty pokrętny wywód o współzależności cen artykułów spożywczych z cenami skupu, coś w duchu, że tani chleb oznacza tanie zboża, więc jeśli drożeje, to rolnik się cieszy, a rolnik jest ważny, tym bardziej że bardzo cierpi z powodu pomoru świń, a emeryt nie odczuje różnicy, bo dzięki naszym zmianom podatkowym zostaną mu dwie stówki w kieszeni, bla bla bla.

A może coś w tym jest? Pytanie należy do klasyki populistycznej debaty, z dużą dozą pewności można założyć, że adresat – z konieczności wyniesiony ponad realia szarego człowieka – nie zna odpowiedzi. Kiedyś Donald Tusk pytał o jabłka, a jako pierwszy użył tego chwytu bodaj François Mitterrand, gdy przyłapał w przedwyborczej debacie Jacques'a Chiraca na nieznamość ceny biletu na metro. Może ludzie Morawieckiego zadbali, by ich szef miał w pamięci parę cen, ale wybrał inną taktykę, dobrze już nam znaną: popłynął swoim drętwym głosem w technokratyczne rozważania – tak bardzo nie na miejscu w wywiadzie dla bulwarówki.

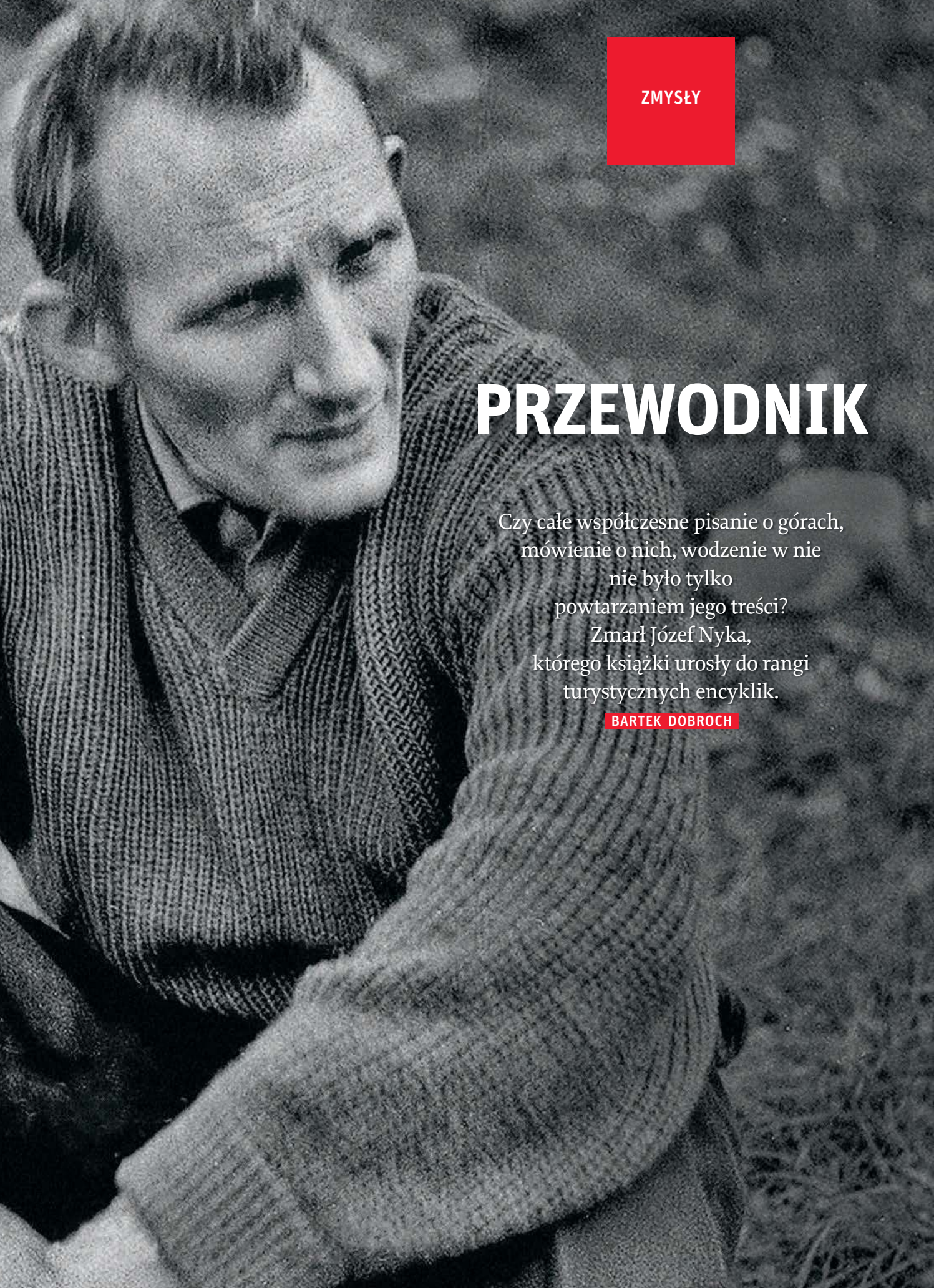
Za to całkiem na miejscu, jeśli chodzi o meritum. O to, że zanim się

odetnie piętę, skądś przyjeżdża worek z mąką. Najlepiej żeby przyjechał z pobliskiego regionu, a nie np. z Kanady (z całą sympatią dla tego zdumiewającego kraju, w którym byle łąn pszenicy potrafi być większy od polskiego województwa). Aż by się chciało, żeby ktoś biegły w sztuce memicznej przerobił boleśnie niegramatyczną wypowiedź premiera na przystępne hasła, które by przypomniały, że na razie generalnie żywność jest za tania. A ściślej: kształt rynku spożywczego jest raczej niekorzystny dla producentów i gdyby chcieć sprawiedliwiej go urządzić, to by oznaczało tak czy siak wzrost cen dla nas na targu i w sklepie, niezależnie od tego, jak działa reszta makroekonomicznej machinerii.

Jak trudno jej działanie zrozumieć, cennie ujął nasz czytelnik z Nowego Jorku, który 20 lat temu opisał w liście do redakcji, jak 11 września rano zaczytał się w „Tygodniku”, przez co spóźnił się do pracy w jednej z bliźniaczych wież i ocalił życie. „Moi koledzy po fachu czytali wtedy »The Wall Street Journal«, »Financial Times« lub lokalne brukowce (wszystkie pozwalają przewidywać rynki finansowe równie dobrze jak nekrologi zamieszczone w Waszym piśmie)”. Spór, czy inflacja była do uniknięcia albo co dalej z nią robić (przynajmniej ten toczony na dostępnych mi forach) obserwuję z równym dystansem do stron, jak kłótnię o to, czy gotując jajko na miękko lepiej je wsadzić do zimnej wody, czy od razu do wrzątku. Jedną znam inflację, która na pewno szkodzi: słów. Dobrze jest czasem zatkać uszy, akceptując fakt, że na razie mniej możemy kupić za ten sam papierek złożony na pół w kieszeni. Co się tyczy większości rzeczy do jedzenia marnowanych przez nasze miejskie życie, nie zaszkodzi nam jeszcze więcej pokory. Jeśli ten chleb stanie się cenowo cięższy, będziemy go brać w ręce z większą uwagą. ©P

Jeśli chodzi o turbulencje cenowe, to zauważyłem, że pierwsze gruszki kosztują mniej więcej tyle, co jabłka – w poprzednich latach różnica była zauważalna, być może gruszki, jako owoc zdecydowanie drugorzędny, doszłusują inflacyjnie dopiero za jakiś czas. Z kłapsami, które teraz królują na straganie, jest jeden problem: najpierw są bardzo twarde i cierpkie, później mają krótki moment optymalnego smaku, potem zaś szybko parcieją i nadają się na kompost. Jeśli zdarzy nam się, że nie zdążymy zjeść kupionych gruszek we właściwym czasie, możemy te jeszcze twarde podgotować w karmelu. Do 700 ml wody dodajemy 2 łyżki soku z cytryny, 100-150 g brązowego cukru, łaskę cynamonu, gwiazdkę anyżu, kilka goździków (opcjonalnie kawałek imbiru). Podgrzewamy aż do zagotowania, utrzymujemy w stanie lekkiego wrzenia przez 5 minut. Zanurzamy 4 obrane całe gruszki. Istnieje inna szkoła, która każe gotować w ćwiartkach. Jeśli tak wolimy, to pamiętajmy je po przekrojeniu skropić sokiem z cytryny. Gotujemy na wolnym ogniu ok. 10 minut – powinny być miękkie, ale nadal zwarte. Ostrożnie wyjmujemy, potem jeszcze kilka minut na większym ogniu zagęszczamy syrop, żeby polać nim gruszki na talerzyku (albo dodać np. do porannego jogurtu, to dla mnie najcenniejsza część tego dania).



A black and white photograph of a man with short hair, wearing a textured, ribbed sweater. He is looking slightly to the right with a thoughtful expression. The background is blurred, suggesting an outdoor setting.

ZMYSŁY

PRZEWODNIK

Czy całe współczesne pisanie o górach,
mówienie o nich, wodzenie w nie
nie było tylko
powtarzaniem jego treści?
Zmarł Józef Nyka,
którego książki urosły do rangi
turystycznych encyklik.

BARTEK DOBROCH

SZTUKA PISANIA – MÓWI PAWEŁ HERTZ – JEST PRZED W SZYSTYM sztuką wyboru wśród zawitych kształtów świata. Umiejętność ta jest szczególnie ważna przy pisaniu przewodnika – pisał Józef Nyka w przedmowie do jednego z wydań swoich „Pienin”.

Pisanie krótkiego przewodnika po życiu najbardziej znanego autora górskich przewodników musi być zatem także sztuką wyboru spośród nieprzebranych przestrzeni jego światów.

NYKA JÓZEF – taternik i alpinista, publicysta, redaktor, działacz organizacji alpinistycznych, z zawodu dziennikarz. Dokonał około 20 pierwszych przejść letnich i zimowych. Jest autorem niezliczonych publikacji o tematyce górskiej i alpinistycznej. Jest też autorem bardzo popularnych przewodników turystycznych.

Biogram w tomie „Ludzie gór” „Wielkiej Encyklopedii Gór i Alpinizmu” Małgorzaty i Jana Kielkowskich nie mieści wszystkich ról. Ani nie podaje imienia Józeczek, jakim określali go przyjaciele. Dla każdego świadomego użytkownika górskiej przestrzeni był kimś innym.

Dla historyków strzelcem podhalańskim, gorczańskim partyzantem, żołnierzem niezłomnym.

Dla turystów autorem rzetelnych, precyzyjnych przewodników, których wznowienia nie wynikały z chęci zysku czy pobijania wydawniczych rekordów, ale z potrzeby aktualizacji. „Tatry Polskie” ukazały się w 22 wydaniach, „Pieniny” w 13, „Tatry Słowackie” – 11.

Dla przewodników górskich (choć sam takowym nie był) i wszystkich ludzi górskiej pracy – nauczycielem, mentorem i przewodnikiem właśnie.

Dla taterników współautorem nowych, bardzo lub nadszwyczaj trudnych dróg, prowadzących m.in. lewym filarem wschodniej ściany Rysów, północno-wschodnią ścianą Małego Młynarza czy direttissima wschodniej ściany Mniszka. A przez 28 lat od 1963 r. redaktorem „Taternika”.

Dla dziennikarzysty starszym kolegą, mistrzem dziennikarstwa specjalistycznego, zwanym Wielkim Redaktorem. W dodatku dziennikarzem o światowym zasięgu, publikował bowiem od „La Montagne” po „Bergsteigera”, od „American Alpine Journal” po japoński „Iwa To Yuki”. Światowe kontakty umożliwiały mu znajomość języków: perfekcyjna niemieckiego, komunikatywna włoskiego, angielskiego i francuskiego. Czytał po hiszpańsku, czesku i słowacku, nawet po japońsku, którego uczył się w ramach Studium Języków i Zagadnień Wschodnich. Uczęszczał do niego prawie równolegle ze studiami dziennikarskimi ukończonymi w 1951 r.

Ze swoją pasją zapisywania świata przez całe życie pełnił rolę człowieka-księgi, ratującego miejsca i ludzi od zapomnienia. W prowadzonym przez siebie, wydawanym własnym sumptem górskim czasopiśmie „Głos Seniora” przez 35 lat pożegnał ok. 250 przyjaciół i znajomych, z reguły obszerniejszymi biogramami, nie kilkudziesięcioma nekrologami, bo chciał „zadbać o to, by odchodzący koledzy nie wpadali w dziury niepamięci”. Na początku żegnał głównie seniorów i nestorów oraz młodszych kolegów, którzy ginęli w górach. Z czasem liczba tych drugich rosła, w końcu prześcigał wiekiem już wszystkich, których żegnał. Ostatnim był pięć lat temu młodszy aż o 13 lat alpinista Ryszard Szafirski.

Józef Nyka w Dolomitach, 1963 r.

Wtedy pożegnał się też z redagowaniem. Pierwszy numer mającego w zamiarze kontynuację jego dzieła pisemka internetowego „Echa Gór” był podziękowaniem za jego wieloletni kronikarski i wydawniczy trud.

Andrzej Paczkowski: „Konkretność, rzetelność, operowanie sprawdzonymi faktami zawsze były przymiotami Józka”.

Małgorzata i Jan Kielkowscy: „Jeszcze się taki nie narodził, który potrafiłby ogarnąć wielość publicystycznych dokonań Józka”.

Wojciech Brański: „Myślę, że cokolwiek by o Józku napisać, to i tak będzie to próba ogarnięcia postaci Kolosa z żabiej perspektywy”.

PAŁUKI – region kulturowy w granicach historycznej Wielkopolski. Jego nazwa nawiązuje prawdopodobnie do ukształtowania terenu. Trawiastych nizin, podmokłych łąk, łęgów lub też łęków, czyli łuków morenowych garbów falujących nieznacznie na terenie Pojezierza Gnieźnieńskiego. We wsi Łysinin koło Gąsawy, 5 grudnia 1924 roku urodził się Józef Nyka.

W tamtym roku w wyniku reformy pieniężnej Władysława Grabskiego markę polską zastąpił złoty, reprezentacja Polski wzięła udział po raz pierwszy w igrzyskach olimpijskich, Władysław Reymont otrzymał Literacką Nagrodę Nobla, a George Mallory i Andrew Irvine zaginęli podczas próby zdobycia Everestu.

Tatrański sezon nie obfitował w przełomowe przejścia, ale zdarzenie z progu Doliny Pięciu Stawów Nyka wspomni później w przewodniku: „Długi pas wygładzeń polodowcowych tzw. Danielki jest niebezpieczny przy oblodzeniu skały. W grudniu 1924 r. wskutek poślizgnięcia spadł tu do wody i poniósł śmierć przewodnik zakopiański Jan Gąsienica Daniel”.

Najwybitniejsi znawcy polskich gór rodzili się często z dala od nich, na nizinach. Nykę w góry rzuciły koleje życiowych przypadków. Miejsce pochodzenia ciekawego świata młodzieńca skłaniać mogło raczej do zajęcia się historią średniowiecza i badania okoliczności zbrodni gąsawskiej, czyli zamordowania Leszka Białego, albo kulturą łużycką, bo w pobliskim Biskupinie w czasach dzieciństwa Nyki archeolodzy odkryli pozostałości starożytnej osady.

Dom rodzinny otoczony był parkiem pełnym starych drzew, na które wspinał się z braćmi. Nyków wysiedliła z niego wojna i rzuciła do Czarnego Dunajca, gdzie Józef przymusowo pracował w niemieckiej fabryce wyposażenia lotnisk.

W 1940 r. po raz pierwszy turystycznie był w Tatrach. Od tamtej pory w każdej wolnej chwili wsiadał na rower i pędził z kolegami w Tatry Zachodnie, raz ze ściągniętą ze strychu linką do suszenia bielizny, przy pomocy której weszli na Kominiarski Wierch wprost z Doliny Dudowej. Wspinać zaczął się dopiero w 1952 r. Równolegle z początkami turystyki zaczął działać w konspiracji.

OCHOTNICA – jedna z największych i najbardziej malowniczych wsi w Polsce. Zajmuje nieckę rz. Ochotnicy, wciętą między Pasma Lubania a główny grzbiet Gorców. Chlubną rolę odegrała wieś podczas okupacji. Była ona ogniskiem oporu przeciw Niemcom i główną pod Tatrami ostoją partyzantów, zwaną „wolną republiką ochotnicką”.

W domu rodzinnym historyka Dawida Golika od zawsze stał na półce przewodnik „Gorce”. Gdy zbierając materiały do pracy o AK na Podhalu sięgnął do niego, zauważył, że autor

→ doskonale orientuje się w niuansach związanych z konspiracją. W materiałach wspomnieniowych partyzantów pojawiał się Józef Nyka ps. „Szpis”. Nawiązali kontakt.

Konspiracja w Czarnym Dunajcu polegała głównie na zdobywaniu broni i informacji. Na głowie Nyki był nasłuch radiowy. Jednym z zadań było pozyskiwanie wiadomości od pewnego Stabsfeldwebela, czyli sierżanta sztabowego. Niemieckich podoficerów tego szczebla określano mianem Spiess, stąd wziął się spolszczony pseudonim. W 1944 r. został zmobilizowany do partyzantki. Punkt zborny dla chłopaków z Czarnego Dunajca był w rejonie Turbacz. Wraz z młodszym bratem Janem ps. „Pantera” trafił do oddziału kpt. Juliana Zapały „Lamparta”, przekształconego następnie w IV Batalion 1 Pułku Strzelców Podhalańskich AK. Centralnym punktem aktywności była Ochotnica. Od sierpnia 1944 r. pozostawali w lesie.

– Skalne Podhale, jako zbyt surowe, do partyzantki się nie nadawało, a kompleksy leśne w Gorcach były dla akowców idealne. Dlatego tam właśnie Obwód AK Nowy Targ mobilizował ludzi – tłumaczy Golik. Nyka brał udział w akcjach bojowych, rozbrajał słowackie placówki graniczne na Spiszu i Orawie oraz niemiecką ochronę kolei w Lasku na Podhalu, rozbił oddział Wehrmachtu w Tylmanowej-Rzekach i ledwo uszedł z życiem z bitwy pod Tylką. W ramach rajdu w Tatry chor. Kazimierza Kargego „Białego” tropił Wacława Krzeptowskiego oraz innych konfidentów i działaczy Goralenvolku, a przez Krzyżne i Gładką Przełęcz przeprowadzał radzieckich łączników.

Uczestniczył także w trzydniowej bitwie z Niemcami nzwanej „bitwą ochotnicką”. Walczył, strzelał, widział zabitych Niemców, był blisko „Lamparta” podczas odwrotu. Ale zwracał uwagę też na rzeczywistość partyzancką: dostrzegał coś, co nazywał „psychozą konfidentką”. Ze łatwo było kogoś pomówić, a w efekcie zlikwidować.

– Miał do końca życia wyrzuty sumienia związane z jednym wydarzeniem – mówi Golik. – Gdy w styczniu 1945 r. Niemcy wycofywali się z Podhala i przez Ochotnicę przejeżdżało niemieckie wojskowe auto sanitarne, wraz z innym partyzantem był w tyle patrolu, który celowo przepuścił ten samochód. Ale reszta oddziału już tego nie zrobiła. Zginęło dwóch Niemców, w tym lekarz. Nyka uważał, że strzały padły niepotrzebnie.

AK opuścił w styczniu 1945 r. Po powrocie do rodzinnej Wielkopolski zaangażował się w struktury poakowskie i dopiero z końcem roku złożył broń.

DOLINA ROZTOKI I PIĘCIU STAWÓW POLSKICH, zachodnie odgałęzienie Doliny Białki, największej i krajobrazowo najpiękniejszej doliny tatrzańskiej, oparkaniła się szczerlnie, jak zazdrośny gospodarz. Nie widać jej z Kasprowego Wierchu, nie widać z Bukowiny ani z Poronina, a stojąc na „panoramicznym” szczycie Gubałówki można najwyżej wskazać ręką grani łączącą Świnicę z Koszystą i powiedzieć: „o – tam!”.

Takim opisem zaczyna swoje pierwsze górskie dzieło, wydaną w 1954 r. monografię tych tatrzańskich dolin. W opublikowanej dwa lata później kolejnej monografii krajoznawczej



Józef Nyka ps. „Szpis”, IV Batalion 1 Pułku Strzelców Podhalańskich AK, 1944 r.

ARCHIWUM RODZINNE MONIKI NYCZANKI

„Dolina Rybiego Potoku” ambicje literackie autora, nawiązujące do klasycznej tatrzańskiej literatury opisy, szczery, autentyczny zachwyt, niekryjący sentymentalizmu ton są jeszcze bardziej widoczne.

„Na obszarze wielkości małego miasta skupiły się tu – chyba z jednym wyjątkiem lodowców – wszystkie cuda wysokogórskiej krainy. Lasy na stokach i nieprzebyte gąszcze kosodrzewin, śmigłe iglice Mnichów i potężne, ubielone płatami śniegów ściana, nitki strumieni, majolikowe oka jezior. Dusi żywiczna woń kosówek, szumi Rybi Potok, wielogłośność muzykują sikkawy...”

Z czasem te ambicje porzucił na rzecz literatury użytkowej, w której piękno słowa ustępowało miejsca faktograficznemu kon-

kretoowi. Było ono jednak od początku wsparte ogromem wiedzy, trwającymi po dwa lata studiami, spędzaniem kilkunastu godzin dziennie w archiwach i bibliotekach. Pracę nad przewodnikiem „Tatry” poprzedzały wyjazdy do Budapesztu, Wiednia, Lipska oraz lektura ksiąg, przez które prawdopodobnie nikt – wliczając Witolda Paryskiego – nie przebrnął, jak choćby 44 sążnistych tomów roczników Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego. A także wyjazdy poprzedzone nawet dwumiesięcznym oczekiwaniem na przepustkę.

– Nie wolno było określać drogi jako szosa, droga szybkiego ruchu, tylko trasa. Ani pisać o mostach [cenzura bała się, że precyzyjnie opisane ciągi komunikacyjne mogą być obiektem ataków wroga – red.]. W moich przewodnikach jeszcze długo po okresie cenzury poniewierały się takie określenia, jak „droga się przerzuca przez Dunajec w Krościenku” – opowiadał 13 lat temu, gdy gościliśmy z Przemysławem Wilczyńskim w jego warszawskim mieszkaniu pełnym ksiązek, notatek, wypisów, wycinków, fiszek, map i zdjęć.

– Miałem problemy za konspiracją powojenną – opowiadał. – To smutnych panów głównie interesowało. Wydaje się, że z tego powodu w 1952 r. straciłem pracę. Nowej nie mogłem znaleźć. A potem już nie chciałem.

Pisanie i pogłębianie wiedzy stało się jego pełnowymiarowym zajęciem. – Tytan pracy – mówi o Nyce Apoloniusz Rajwa, dziennikarz i nestor przewodnictwa. – Mało kto tyle w ciągu życia zrobił. Myśląc o znawcach gór całego świata, porównuję go tylko do zmarłego rok temu Jana Kiełkowskiego.

Pracę przerywały wspinaczki w Tatrach, także z żoną Małgorzatą Surdel-Nykovą, a w latach 60. trzy wyjazdy wspinaczkowe w Dolomity, w czasie których przeszedł m.in. południową ścianę Marmolady, północne ściany Tre Cime di Lavaredo oraz obarczoną największym ryzykiem nową drogę na Schiare. Wkrótce po tym, będąc już ojcem dwóch córek, z uwagi na nie zaniechał wspinaczek. Najstarsza z czwórki rodzeństwa Monika z czasem stała się jego prawą ręką, publikującą i aktualizującą kolejne wydania.

A przewodniki Nyki bywały przedmiotem pożądania. Wiesław Wójcik, redaktor „Wierchów”, pamięta, jak podczas licealnej kolonii w 1961 r. dostrzegł przewodnik „Gorce” w witrynie oddziału PTTK w Krościenku. – Chodziłem, oglądałem, odkładałem na niego – opowiada Wójcik. – Gdy się zdecydowałem, okazało się, że został sprzedany. Szukałem w Krakowie, pisałem



ARCHIWUM RODZINNE MONIKI NYCZANKI

Od lewej: Barbara Morawska, Józef Nyka i Małgorzata Surdel (jego przyszła żona). Po zimowym przejściu na Mnichu, 1960 r.

do księgarni gdzieś w Olsztynie. Kupiłem dopiero w antykwariacie, chyba z osiem lat później.

Wójcik ocenia, że dążność Nyki do doskonałości, perfekcjonizm, akrybia, utrudniały mu pracę i graniczyły z pychą, choć był człowiekiem skromnym, nieznoszącym hołdów. Jego przewodniki urosły jednak do rangi turystycznych encyklik. Młody flisak na spływie pienińskim opowiadał, jak książka Nyki przygotowała go do egzaminów zawodowych, prostowała powielane w publikacjach i na mapach błędy, choćby ten dotyczący wysokości i lokalizacji opadającej do Dunajca skały Facimiech. Dzisiejsze przewodniki to najczęściej informatory. Mówią, jak dojść, gdzie się zatrzymać. Nadają się do przeglądania. Przewodniki Józefa Nyki się czyta. Wędrówka z nimi zaczyna się w lekturze. A ich kolejne wydania są historycznym świadectwem przemian gór i turystyki.

KOŃCZYSTA (2535 m) – dwuwierzchołkowy szczyt w słowackich Tatrach Wysokich. Dziesiąta spośród najwyższych szczytów Tatr. Nie prowadzi na nią żaden szlak, jest jednak stosunkowo łatwo dostępna dla wprawnych turystów. Główny, południowy wierzchołek wieńczy groteskowe skalne Kowadło.

Wejście na ową formację ułatwiał ludzkich rozmiarów wyszczerbiony skalny ząb. Wystarczyło wspiąć się półtora metra, stanąć na nim, sięgnąć krawędzi Kowadła, by wciągnąć się na jego grzbiet. Był tam od zawsze, czyli przynajmniej od kiedy sięga fotograficzna pamięć. I wydawał się trudny do wyłamania, choć piorun odszczepił kawałek samego Kowadła. Andrzej Marcisz, taternik, autor przewodnika „Wielka Korona Tatr”, otrzymał dwa zdjęcia z soboty 4 września tego roku. Na wykonanym o godz. 12 ząb ów szczyrzył się jak zawsze. Na zrobionym o godz. 17 już go nie było. Powyższe hasło w większości

przepisałem z przewodnika „Tatry Słowackie”. Ale czy całe współczesne pisanie o górach przez niego opisanych, mówienie o nich, wodzenie w nie nie było tylko przepisywaniem, powtarzaniem jego treści? Józef Nyka dla co najmniej trzech pokoleń świadomych górskich turystów wydawał się istnieć od zawsze i bezterminowo, jak skała, o którą opierała się turystyka górską, wiedza o Tatrach, Pieninach, Gorcach.

Aż tego samego 4 września 2021 roku skała ta oberwała się za Niebieską Grań. Pięć lat wcześniej pożegnanie z czytelnikami swojego „Głosu Seniora” zatytułował prozaicznie „Wszystko kiedyś się kończy”.

■ ■ ■

Tytuł ukazującego się od 1980 r. „Głosu Seniora”, który w ciągu 20 lat ewoluował od przebitek pisanego na maszynie Erica biuletynu do gazety internetowej, z początku miał być żartem. – Lubił się tym podeszłym wiekiem afiszować, gdy jeszcze daleko mu było do starości – mówi Monika Nyczanka. Przez ostatnich kilkanaście lat niechętnie opuszczał warszawskie mieszkanie, jego niewidoczność w towarzyskich kręgach była widoczna. Fizyczną nieobecność rekompensował kontaktami listowymi, mailowymi czy telefonicznymi.

13 lat temu zadzwonił dziś już nieżyjący, znany historyk sportu przygotowujący książkę o dziennikarzach sportowych. – Nazywam się Bogdan Tuszyński, czy rozmawiam z redaktorem „Taternika”? – Nie całkiem, bo z byłem redaktorem. – Ale może będzie mi pan w stanie pomóc? Nie mogę ustalić, kiedy zmarł Józef Nyka. – Dobrze pan trafił, bo właśnie pan z nieboszczykiem rozmawia. – Niech pan napisze – odparł speszony Tuszyński – wszystko, co pan chce o sobie, ja to wydrukuję.

© BARTEK DOBROCH

JACEK

Podsiadło:

Rapcio i ojcio



NIE WIEDZIAŁEM O ISTNIENIU RAPERA Maty, dopóki jego ojciec nie zaczął w mojej lodówce opowiadać, że napisał o synu książkę, że powinienem ją przeczytać i że on wie, jak („dobrym pomysłem jest międzypokoleniowa lektura tej książki:

dziecko czyta część o piosenkach Michała i tłumaczy ją rodzicom, rodzice analizują część wykładową i tłumaczą ją dziecku”). Natomiast nazwisko Matczak obilo mi się o uszy. Teraz sprawdziłem i wiem, że tato rapera to katolik, profesor, „specjalista w zakresie teorii i filozofii prawa”, konstytucjonalista i „prawnik celebryta”.

Bez większego zainteresowania przelatywałem oczami wywiady, szumne zapowiedzi i fragmenty źle napisanej książki, aż przy jednym z tych fragmentów otworzył mi się korkociąg w kieszeni. „Magazyn Wyborczej” opatrzył go tytułem „Wolę, żeby chłopaki roztrząskiwali butelki po piwie nad Wisłą, niż głowy rówieśników na wojnie”, co okazało się dokładnym odzwierciedleniem myśli przewodniej autora. Pochwałę rozbijania butelek specjalista od filozofii prawa głosi przy okazji omawiania utworu swego syna „Schodki”. Otóż na schodkach „jest cudownie normalnie, a chłopaki z Batorego nie muszą iść na śmierć. Niech idą na Orlenka i do Kerfa, byleby nie w stronę Pałacu Blanka, tam gdzie Krzysztofa Kamila Baczyńskiego (...) trafiła w głowę kula snajpera, przez co straciliśmy być może największy nasz talent poetycki”. Czyli zdaniem ojca-konstytucjonalisty raper Mata, kupując na Orlenie i łojąc nad rzeką browary, ratuje poetów od śmierci z rąk najeźdźczy. Jo!

Ponieważ mam pod nosem takie same i tak samo zawłaszczone przez pijaków schodki – tyle że nie nad Wisłą, a nad Odrą – przy lekturze „części wykładowej” rower składak mi

się otworzył w piwnicy. Prof. celebr. Matczak pisze bowiem, że „często dochodzi tam do zderzenia młodzieżowej potrzeby bycia głośnym i przynależnej nieco starszym wiekowo grupom potrzeby ciszy”, co powoduje skargi mieszkańców. Tymczasem schodki to „miejsce, gdzie spotykasz się z innymi, śmiesz się, pijesz, zakochujesz się i patrzysz na wodę albo niebo. (...) Jest to także miejsce, o które walczysz, jeżeli jest zagrożone. Egzystencja warszawskich Schodków była zagrożona przez skargi tych, którzy chcieli je młodym odebrać. O tym, żeby je natychmiast oddali, jest ta piosenka”.

Tatusiu, jak słodko kłamiesz, kiedy mi się podlizujesz! Że niby to patrzenia w wodę i miłości nam zabraniają, tak? Ale w utworze nie ma mowy o patrzeniu w wodę, jest za to o „stawianiu kłosa”. Nie ma nic o zakochiwaniu się, chyba że tajemny związek z zakochaniem ma fraza „Ktoś się z kimś przelizał, ktoś się zrzygał”. W obronę prawa synalka do chłania, rzygania i rozbijania butelek prawnik-katolik angażuje Arendt i Fromma. Odlatuje na punkcie pokojowego przesłania utworu i pisze: „Ta scena jest głęboko pacyfistyczna”, „W tej metaforze chodzi o społeczność, która ma ciągoty militarne”, „W »Schodkach« zadziwia pozbawione agresji podejście”, „to, co Michał mówi, rozbija nienawiść drugiego człowieka. To postawa często wyśmiewana: nadstawienie policzka zamiast agresji”. Przywołuje fragment „Jak chcesz dać mi w mordę, ziombel, to po prostu daj mi w mordę”, przemilcza za to frazę „Jebie nas to, że stare baby na Powiślu nie mogą zasnąć” oraz refren „Jebane młotki, zostawcie nasze schodki”.

Profesorze. „Głęboko pacyfistyczny” utwór raperka jest ohydny, agresywnym bełkotem beztalencia („w mordę” i „ziombel” to słaby asonans, dużo lepiej byłoby „w trąbę”), któremu się wydaje, że jak użyje wulgaryzmu, to my, jebane stare baby, podkulimy ogony i przeprosimy, że żyjemy. W zasadzie nie jest konieczne, aby uczynić zadość jego prośbie i mu, *excusez le mot*, „dać w mordę”. Wystarczy, że Pan po nim posprząta na schodkach, bo smród straszny i psy sobie łapy na szklach kaleczą. Tylko proszę się nie wyręczać „Ukrami”, jak synek Pański nazywa w swoim największym przeboju Ukraińców sprzątających apartamenty bogatym Polakom. Wiem, wiem, lepiej nazywać Ukraińców Ukrami, niż ich zabijać. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



JUŻ CZAS!

**Na wschód, zachód czy w Polskę,
w podróż na bieguny**

w reportażach, esejach, bizarach, wywiadach
zabiorą Was autorki i autorzy „Tygodnika”.

Kup Tygodnikowy „Atlas miejsc niezwykłych. W drogę!”,
usiądź i podróżuj wygodnie!

„W drogę” dostępne już także jako ebook!
Więcej na powszech.net/wdroge



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

TYGODNIK
POWSZECHNY



PARTNERZY WYDANIA:



S-Biznes internet symetryczny dla firm



s-net.pl

Symetryczne łącze internetowe z gwarancją parametrów



wysyłanie



odbieranie

Korzyści dla Twojej firmy niezależnie od pakietu



SLA 99,9%
bezpieczeństwo sieci



Wirtualna centrala
do 25 stanowisk



Hosting w chmurze
Biznes Premium



Techniczne
wsparcie IT

S-Biznes
1000Mbps



S-Biznes
500Mbps



Sprawdź na s-net.pl